

Liryczne Jasło

*Wiersze i opowiadania laureatów
XXVI Ogólnopolskiego Konkursu
Literackiej Twórczości
Dzieci i Młodzieży*

XXVI Ogólnopolski Konkurs
Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży

Liryczne Jasło



mbp
www.mbp.jaslo.pl

Miejska
Biblioteka
Publiczna
w Jasle

Miejska Biblioteka Publiczna w Jasle
Jasło 2021

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
www.mbp.jaslo.pl

Redakcja: Dorota Woźnica
Magdalena Chart

Korekta: Elżbieta Sławniak
Krystyna Ziemba
Anna Kozioł
Agnieszka Kozubal

Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Magdalena Chart

Druk: ATTYLA Władysław Kardasz, Jacek Kardasz Sp.j.

Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
ISBN 978-83-957913-4-5

spis treści

| | |
|------------|---|
| 7 | A łódź najmłodszej literatury wciąż płynie |
| 9 | Lista osób nagrodzonych |
| 14 | Kategoria I Szkoly podstawowe, klasy 4-6 |
| 64 | Kategoria II Szkoly podstawowe, klasy 7-8 |
| 122 | Kategoria III Szkoly ponadpodstawowe |

A łódź najmłodszej literatury wciąż płynie

Coraz trudniej w tych niewesołych pandemicznych czasach znajdować wokół siebie coś optymistycznego i podnoszącego na duchu. Tym bardziej więc jest dla nas krzepiącą myśl, że literatura wciąż pozostaje ważnym sposobem mówienia o sobie i świecie dla najmłodszych adeptów pióra. Dla nas, czyli pomysłodawców i jurorów Ogólnopolskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży, który od lat organizowany jest przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jasle. Niniejsza antologia prac nagrodzonych i wyróżnionych wieńczy XXVI edycję jasielskiego konkursu.

Zgodnie z formułą OKLTDiM autorzy nadsyłają wiersze i prozę. Różnicowanie gatunkowe tych utworów mówi niemało o inspiracjach, fascynacjach, lekturach młodych autorów. W poezji widać to choćby w naśladowaniu znanych twórców, ale również – dotyczy to utworów najlepszych – w ciekawych próbach gry, dialogu z poetyką tradycją, stylistyczną konwencją czy ważną dla piszących poetyką. W tych wierszach zauważamy nie tylko czytanie młodych, ale również udane próby własnego głosu, wpisywanie się po swojemu w pewne sposoby oglądu i wypowiedzania rzeczywistości. Podobnie jest w prozie. Od lat dominują teksty, które nawiązują do literatury fantasy, science fiction, kryminału czy prozy historycznej. Coraz częściej pojawiają się również opowiadania, które w konwencji baśniowej, przygodowej czy też pamiętnikarskiej podejmują tematy związane z ochroną środowiska, z zagrożeniami dla naszej planety, których przyczyną są ludzie; ich nieodpowiedzialne decyzje oraz zachowania. Specyfiką tegorocznej edycji jasielskiego konkursu są wiersze, opowiadania, fragmenty dziennika, eseje, które traktują o doświadczeniach i spostrzeżeniach związanych z pandemią. Co ciekawe, najlepsze z nich wcale nie uderzają w katastroficzne i apokaliptyczne tony, ale pomysłowo wykorzystują poetykę groteski czy absurdu.

O popularności jasielskiego konkursu świadczy liczba uczestników oraz ilość nadsyłanych prac. Regularnie oscyluje ona w okolicach 600, 700 utworów. W tegorocznej edycji 337 osób nadesłało łącznie 751 utworów, wśród których było 506 wierszy i 245 tekstów prozatorskich. Prace pochodzą z całej polski, a zdarzały się także utwory z zagranicy. Podczas obrad jury często wspominamy jedną z edycji konkursu, na którą nadesłano pracę z...Chin.

À propos jury. Od lat prace konkursowe ocenia zespół w składzie: Aleksandra Dacyl (polonistka, animatorka kultury), Mariusz Kalandyk (poeta, literaturoznawca, redaktor naczelny rzeszowskiego „Kwartalnika Edukacyjnego”), Grzegorz Kociuba (poeta, krytyk literacki, polonista – przewodniczący jury), Jan Tulik (poeta, prozaik, eseista, dramaturg).

Cóż powiedzieć jeszcze? Może tylko to, że niezmiennie cieszy nas fakt, iż łódź najmłodszej literatury wciąż płynie. I chociaż dzisiaj młodzi ludzie budzą się i zasypiają przed ekranem laptopa, z komórką w dłoni, to literatura, zdawać by się mogło anachroniczne narzędzie, wciąż pozostaje niezastąpiona w wyrażaniu, wypowiedaniu, nazywaniu tego, „co komu w duszy gra”.

Grzegorz Kociuba

Lista osób nagrodzonych

Kategoria I

Szkoły podstawowe, klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

Grechut – Grzegorz Sobkiewicz, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

Blasia – Barbara Kotula, kl. 6 Klub Literacki „Pegazik” Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile – *cykl wierszy*

3 miejsce

Luna – Anna Adamczyk, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Evanlyn – Aleksandra Sieńkowska, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaśle – *cykl wierszy*

Dżurajski – Michał Kiciński, kl. 5 Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bądkowie – *cykl wierszy*

Aron – Jacek Suder, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Ropience – *cykl wierszy*

Gwiazda – Eleonora Rybak, kl. 4 Szkoła Podstawowa nr 5 w Mińsku Mazowieckim – *Kwiatowe myśli*

Opowiadania

1 miejsce

Mrs. Popi – Julia Pietrzak, kl. 5 Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bądkowie – *Ręczne zapiski e-uczennicy*

2 miejsce

Janek – Jan Kocot, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Kasjopeja – Marta Czupajło, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa w Dobrem – *cykl opowiadań*

Gamma – Natalia Miechowska, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 344 w Warszawie – *Pamiętnik pana Kron’c*

Wyróżnienia

Rybak Aaron – Bartosz Mirowski, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 139 w Łodzi – *Złote kłosa*

Tauriel – Maria Sadrak, kl. 5 Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6 w Warszawie – *Kwiat zmieniający życie*

Miss Tree – Ewa Świerk, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 2 w Dębicy – *Pod płaczącą wierzbą*

Under10 – Nina Dreger, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 48 w Gdańsku – *Szklane przeznaczenie*

Kategoria II

Szkoły podstawowe, klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

Agatha – Dobrochna Kołoczek, kl. 7 Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 12 w Krakowie – *cykl wierszy*

Eleanor Rigby – Weronika Drewniak, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 38 w Krakowie – *Listopad w Brescii i Bergamo. Pięć wierszy włoskich*

2 miejsce

Kuba.M – Jakub Miklus, kl. 8 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

3 miejsce

Zuzka – Zuzanna Kopczyńska, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 7 w Łodzi – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Katrin znaczy Kitka – Daria Walusiak, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 2 w Zielonej Górze – *cykl wierszy*

Nika 2 – Nikola Bigos, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 1 w Osobnicy – *cykl wierszy*

Bisobi – Bianka Biliczak, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24 w Opolu – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Anta – Aleksandra Kocot, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu – *Ślady życia*

2 miejsce

Żetka – Kacper Życzyński, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Nutka fantazji – Natalia Ciepiela, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa Sióstr Salezjanek w Jastrzębiu-Zdroju – *cykl opowiadań*

Wyróżnienia

Antoni Timeo – Joanna Celi, kl. 8 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24 w Radomiu – *cykl opowiadań*

Ikarianna – Anna Łazarowicz, kl. 8 Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6 w Warszawie – *Pudełko z wyobraźnią*

Hermenegilda Blumenstein – Oliwia Maciejewska, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 3 w Piotrkowie Trybunalskim – *cykl opowiadań*

Duszek – Natalia Paszkiewicz, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie – *Enigmat Galdona*

Davidof – Dawid Halerz, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaśle – *Na tropie kocich łapek*

Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

Trafny – Adam Drewko, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące Dwujęzyczne w Gliwicach – *cykl wierszy*

2 miejsce

Pietruszk4 – Natalia Pietruszka, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi w Wałbrzychu – *cykl wierszy*

3 miejsce

Banachówna – Zuzanna Banach-Dziura, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące w Jasle – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Fatamorgana – Hanna Gołąb, kl. 2 III Liceum Ogólnokształcące w Katowicach – *cykl wierszy*

Ranna Cebula – Julia Nguyen Van, kl. 1 I Liceum Ogólnokształcące w Jasle – *cykl wierszy*

Xawery – Jakub Borys, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu – *cykl wierszy*

Ofelia Lis – Anna Kociszewska, kl. 3 Zespół Szkół Artystyczno-Projektowych w Tarnowskich Górach – *Szkic*

Jankar – Karol Janiga, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Shivellion – Wiktoria Oleksy, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące w Wałbrzychu – *Na szczyt*

2 miejsce

Anonim – Weronika Łopacka, kl. 2 Liceum Ogólnokształcące w Międzyrzeczu Podlaskim – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Eirene – Karolina Niemiałkowska, kl. 1 Liceum Ogólnokształcące nr 4 w Lublinie – *Dziewczynka z sierocińca*

Wyróżnienia

Ranna Cebula – Julia Nguyen Van, kl. 1 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *Szczęśliwego nowego roku*

Hazel Green – Zuzanna Zaborek, kl. 1 VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach – *Ciszej tam, Cyprianie*

Virago – Patrycja Gotfryd, kl. 3 II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *cykl opowiadań*

Aire – Natalia Pikusa, kl. 1 Liceum Ogólnokształcące w Tuchowie – *cykl opowiadań*

Kawka – Natalia Hetman, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące Dwujęzyczne w Gliwicach – *cykl opowiadań*

Moonlight – Emilia Gotfryd, kl. 3 II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *Czerwona wstążka*

Kategoria I

Szkoły podstawowe

klasy 4-6

Wiersze

Miejsce 1

15 Grzegorz Sobkiewicz: *Azyl*

Miejsce 2

16 Barbara Kotula: *Muzeum Tajemnicy*

Miejsce 3

16 Anna Adamczyk: *Wena*

Wyróżnienia

17 Aleksandra Sieńkowska: *Pudełko marzeń*

18 Michał Kiciński: *Taka rymowanka*

19 Jacek Suder: *Moje fantazje*

20 Eleonora Rybak: *Kwiatowe myśli*

Opowiadania

Miejsce 1

21 Julia Pietrzak: *Ręczne zapiski e-ucznicy*

Miejsce 2

26 Jan Kocot: *Herosi*

Miejsce 3

28 Marta Czupajło: *Ferie u dziadka*

31 Natalia Miechowska: *Pamiętnik pana Kron'c*

Wyróżnienia

33 Bartosz Mirowski: *Złote kłosa*

43 Maria Sadrak: *Kwiat zmieniający życie*

53 Ewa Świerk: *Pod płaczącą wierzbą*

56 Nina Dreger: *Szklane przeznaczenie*

Grzegorz Sobkiewicz (Grechut), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Azyl

w domu mojej babci
muzyka szumi jak brzoźowy las
od drzwi wita mnie
dotyk nieba i wiśniowa konfitura
tu zawsze słyszę
jak się masz?
co u ciebie kochany?
Grzesiu kiedy tak urosłeś?
rozmawiamy o wszystkim i o niczym
a troski wysyłamy na spacer w nieznane
to tu jestem wyjątkowy
i tu jest mój świat
z moim aniołem
w wełnianych skarpetach

kiedy przeglądam się w okularach
zsunionych na nos
bujany fotel mruczy jak kot
a ja wtulam się w pachnący
wanilią pled
i dziękuję, że Ją ciągle mam...

Barbara Kotula (Blasia), kl. 6
Klub Literacki „Pegazik”
Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile

Muzeum tajemnicy

Patrzę tajemnicy w oczy
wyczuwam aromat światła,
widzę odrzucone marzenia.

Cała tajemnica w mej głowie.
Spokojna – na pozór!
nie mieści się już we mnie,
łamie zaklęcia i przysięgi.
Wyrzywa się z ust.

Tajemnice – rzadko spotykany
okaz w muzealnej gablocie
odziera mnie z prawdy.

Patrzę w sztuczne odbicie w lustrze.

Anna Adamczyk (Luna), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9
w Stalowej Woli

Wena

Delikatnością motyla
przybywa gdzieś spoza codzienności
uskrzydla
odchyla od nicości.
Bywa, że pojawia się nagle
pędzi nieokrzesanym galopem
powietrza siwych koni.

Czasem balansuje na krawędzi dnia i nocy,
Kiedy indziej – kolorami snów
maluje obrazy
wprowadza w inne wymiary.

Wynurza się z bliska albo z daleka
czai się w zakamarkach ciszy
rozkwita w serc ogrodach.
Wyłania się z morskiej piany
ze słonecznej łąki wyrasta
czasem ze zwykłego bólu głowy albo zmęczenia
i z wielu innych miejsc przybywa
z których tak samo blisko
do nieba jak i do piekła.

Teraz spływa wodospadem
do głębin umysłu
wkłada pióro do dłoni
pozwala mi tworzyć.

Aleksandra Sieńkowska (Evanlyn), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaśle

Pudełko marzeń

Dostaję pudełko pełne skarbów
Wyobraźnia pracuje tak mocno,
Że zaczyna jej brakować sił...
Co jest w środku?
Gra komputerowa?
Kolorowe szkiełka?
Ptasi puch?
A w pudełku... drewniane pudełko
Z naciągniętymi strunami

Rozczarowana? Tylko chwilowo
Moje pudełko nie wygląda minorowo
To pudło pełne cudów – gitara
Dziękuję jej za pocieszenie w smutku
Kojenie samotności w zimowe wieczory
Dźwięk w ciszy nie do przebicia
Możliwość radosnego szarpania
Zawsze gotowych do czarowania
Napiętych strun...

Michał Kiciński (Dżurajski), kl. 5
Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bądkowie

Taka rymowanka

Uczyć nie jest sprawą łatwą,
każdy wie od przedszkolaka,
a ja dzisiaj podziękuję
mojej Pani „od polaka”.

Bo gdy dosyć mam pisania,
wszyscy myślą – będzie draka,
sytuację tę rozwiąże
moja Pani „od polaka”.

Dzień mam gorszy – brak skupienia,
świat oglądam z lotu ptaka,
wyjaśnienie na to znajdzie
moja Pani „od polaka”.

Zjem czasami klika liter,
jak u Mateusza – szpaka,
też na pewno to zrozumie
moja Pani „od polaka”.

Żeby wiedział z jakich liter,
pisać smoka z grodu Kraka,
raz kolejny mi przypomni
moja Pani „od polaka”.

Jak odmienia się czasownik,
funkcja przymiotnika jaka,
na to wszystko zna odpowiedź
moja Pani „od polaka”.
A w konkursach biorę udział,
no to rzecz nie byle jaka,
chcę by była ze mnie dumna
moja Pani „od polaka”.
Więc dziękuję, tak jak umiem,
rymowanka moja taka,
tak chcę właśnie podziękować
mojej Pani „od polaka”.

Jacek Suder (Aron), kl. 5
Szkoła Podstawowa w Ropience

Moje fantazje

Mam takie swoje fantazje,
bo chcę, żeby jak dawniej było,
by móc jeździć na nartach,
by szczęście wokół się skrzyło!

Chcę pływać sześć razy w tygodniu,
chcę zmęczyć się na pływaniu,
chcę żeby mama szczęśliwa
skupiła się na Nas kochaniu!

By tata mógł nadal pracować
By Covid przepadł jak zmora!
By ludzie jak dawniej żyli,
By troski wpadły do wora!

By wór ten wystrzelić w kosmos!
By nigdy do nas nie wracał!
By ludzie bez masek chodzili,
By dzień się nigdy nie skracał!

By wszyscy radośni byli,
przed Boga tym Narodzeniem,
by troski mu wszystkie złożyli,
by nigdy nie byli swym cieniem!

Eleonora Rybak (Gwiazda), kl. 4
Szkoła Podstawowa nr 5
w Mińsku Mazowieckim

Kwiatowe myśli

Jestem różą.
Mam różowe, białe i czerwone płatki.
Kocham wodę, ziemię i troskliwą opiekę.
Moje płatki czasem spadają w dół,
lecz nic nie czują, bo nie mają nóg.
Czasem ktoś je zerwie, do kąpieli doda,
lecz ja i tak was, ludzi, kocham.

To ja lawenda.
Fioletowa jestem.
Moja woń mnie przepęlnia,
przyciąga stado motyli i pszczoł.
Do koszyczka mnie zbierz,
w wiązanki powiąż i ususz na zimę.
Będę pięknie pachnieć tobie.

Ja żółty kwiat mam.
Potem białą przybieram szatę,
wiatr mnie rozsiewa.
Niekiedy dzieci ze mnie wianki robią,
a ich mamy miód z płatków gotują.
Czy wiesz kim jestem?
Tak! Mlecz mam na imię.

Zwą mnie lilią wodną.
Pływam po stawie.
Na liść mi wskoczyła żabka zielona.
Odpocznie, zarechocze i popłynie dalej.
Czy ci się podobam?
Czy mnie lubisz troszeczkę?
Tak tylko z daleka, przechodząc, zerkasz na mnie.

To tylko niektóre, z nas kwiatów postacie,
co cieszą twe oko swoim widokiem.
Rozkwitamy, karmimy nektarem owady.
Na zimę zasypiamy snem głębokim,
by znów wiosną obudzić się do życia.
Patrz na nas – podziwiaj – lecz nie niszcz.
Daj cieszyć się innym naszym istnieniem!

Julia Pietrzak (Mrs. Popi), kl. 5
Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bądkowie

Ręczne zapiski e-uczennicy

Julka z wielką nadzieją wpatrywała się w ekran laptopa, jednak, jak zwykle ostatnio po przeczytaniu najnowszych informacji, zaczęła ze złością powtarzać: „Jeszcze za wcześnie, jeszcze nie teraz, jeszcze nie czas na powrót do szkoły”. Stawała się coraz bardziej zniechęcona, marzyła wręcz o pobycie choćby w pustej klasie

szkolnej... Bezmyślnie zaczęła przeglądać swoje zapiski z ubiegłorocznej nauki zdalnej...

20 kwietnia 2020 r.

Dzień jak co dzień. O 7.55, czyli całe pięć minut przed rozpoczęciem matmy, obudził mnie budzik. Pięć minut – mnóstwo czasu, zdążę przecież się ubrać... albo w sumie mi nie warto... ustawię kamerkę tylko na twarz. Muszę jeszcze pracę domową odrobić, ale zdążę to zrobić, kiedy Pani będzie sprawdzać obecność. Tak właśnie to wygląda podczas „e-nauczania”.

Całe szczęście, że u nas w klasie nigdy nie ma nudy... i zawsze się coś dzieje. Mistrzem żartów jest Maciek. Dziś jednak przegiął. Naprawdę wkurzył naszą Panią od matmy, która jest dość wyluzowana. Zaczęło się całkiem zwyczajnie. Pani Madzia poprosiła Maćka, żeby odpowiedział na pytanie, które mu zadała, na co on, że do osiemnastego roku życia odpowiadają za niego rodzice. Było grubo, rodzice faktycznie zostali wezwani do tej „odpowiedzi”. Wyczuwając złość naszej Pani, do końca lekcji byliśmy potulni jak baranki.

Na polskim z kolei przebywałam tylko parę minut. Ciągłe mnie coś ścinało. Gdy włączałam kamerkę, od razu „opuszczałam” lekcję, a polonistka zaczęła być podejrzliwa. Wkurzałam się na sprzęt, nauczycielkę i cały świat. Reszta dnia upłynęła względnie spokojnie, oprócz angielskiego... Pani Ania poprosiła Bartka, żeby włączył kamerkę i wykonał zadanie piąte z podręcznika – Nie mogę, proszę Pani, włączyć kamerki, bo nie jestem uczesany, a od rana nie mogę znaleźć grzebienia – odpowiedział ze stoickim spokojem. lol:)

29 kwietnia 2020 r.

Dziś był jeden z najgorszych dni w moim życiu! Nie dość, że miałam trudny sprawdzian z historii, to jeszcze zaliczyłam wpadkę roku. Na biologii robiłam sobie ściągę na sprawdzian, Pani napisałam, że mnie wyrzuciło, żeby zdążyć wszystko spisać. Wtedy

do pokoju weszła moja mama, pytając co robię. Powiedziałam, że powtarzam materiał na historię. Wszystko pięknie, ale nie zauważyłam, że mam mikrofon włączony. Co za wtopa! Pani wahała się, czy na koniec semestru wystawić mi 3 czy 4, no – to rozwiąłam jej wątpliwości... Trochę poprawił mi się humor, kiedy Tomek na niemieckim zgłosił nieprzygotowanie, bo zostawił zeszyt na dole w kuchni...

10 maja 2020 r.

8.00. Link: „Zapraszam na wychowanie fizyczne”. Ludzie, kto wymyślił tę lekcję na pierwszej godzinie? W dodatku bez rozgrzewki, którą zawsze miałam, pędząc rano na autobus. Zaspana jeszcze, próbowałam skupić się na tym, co mówi do nas Pan. – Pajacyki, dziś zaczniemy od robienia pajacyków – powiedział. „Od czego?” – dopytywał jak zawsze spóźniony Karol. Już miałam mu powiedzieć, że w sumie w jego przypadku wystarczy, że postoi, a będzie to samo. Ugryzłam się jednak w język.

Druga lekcja. Polak... I tu przez chwilę zrobiło się śmiesznie. Polonistka chciała nam przeczytać wiersz, ale nie mogła znaleźć okularów. Wszyscy oczywiście widzieliśmy, że ma je na głowie, ale nie znalazł się śmiałek, który by Jej o tym powiedział. Dobre i pięć minut, co lekcji zleci. Po kilku minutach zawibrował mój telefon. Wiadomość od Kuby: „Kto Jej powie?”. Wreszcie zorientowała się sama, wyjaśniając nam, że dla niej nauka zdalna to wielki stres, gdyż boi się, że coś źle zrobi..., dlatego nie zauważyła, że upodobniła się do Pana Hilarego.

Po kilku minutach na czacie pojawiły się hasła: „Wyrzuciło mnie”, „Nie mogę dołączyć”. Powinny one stać się najpopularniejszymi słowami roku 2020. Bywają i tacy, którzy wolą bardziej wyluzowaną formę, jak nasz Kuba, i piszą: „Wywaliło mnie” – geniusze normalnie.

Reszta dnia upłynęła całkiem spokojnie, ale co się dziwić... dziś e-wywiadówka, i coś mi się wydaje, że naszym rodzicom internet będzie sprzyjał. 😊

15 maja 2020 r.

Nie sądziłam, że to powiem, ale ja chcę do szkoły. Wczoraj cały dzień nie miałam zasięgu, a jak już udało mi się połączyć, to i tak nic nie słyszałam. Masakra jakaś! Dobrze, że mogę liczyć na moją kumpelę, która wysłała mi wszystkie zadania i rozwiązania. Aga mówiła, że nie tylko ja tak dziś miałam, Karol też słyszał co piąte słowo. Na matmie usłyszał coś o kangurze. Myślał, że Pani planuje wycieczkę do zoo. Pani mówiła oczywiście o konkursie. XD 😊

29 maja 2020 r.

Jestem jedynaczką, generalnie zazdroszczę innym rodzeństwa, ale to, co siostra Zuzy odwaliła, to jakiś kosmos. Umiesz liczyć, liczyć na siebie – to będzie moje nowe motto życiowe. Zuza opowiadała, że zawarła pakt ze swoją starszą siostrą Majką. W zamian za pomoc na sprawdzianie z biologii, Zuza obiecała ścielić łóżko Mai przez cały tydzień. Skąd mogła wiedzieć, że tym razem wyjątkowo Pani będzie kazała włączyć kamerki. Majka skitrała się pod biurkiem i w ten sposób pomagała siostrze. Na pytanie o podstawową jednostkę organizmu, Zuza zamiast komórka zwierzęca napisała komórka zajęcza – bo tak zrozumiała odpowiedź Mai. Dodatkowo Pani się zorientowała, kiedy usłyszała jakieś szepty i uciekający wzrok Zuzki. 😊

1 czerwca 2020 r.

Mam doła! Wielkiego jak Morze Bałtyckie!!! Dziś nie dość, że są moje urodziny, to jeszcze Dzień Dziecka. Do tej pory jeden z moich ulubionych dni w roku. W szkole był luz, nie prowadzono zajęć, tylko zawody sportowe, które uwielbiam, lody, słodycze. A dziś co? No właśnie nic! Pani z niemca oczywiście złożyła nam życzenia, a potem jak gdyby nigdy nic przeszła do nowego tematu. Do tego fakt, że na dworze jest piękna słoneczna pogoda i niemalże 30 stopni, a my co? Siedzimy przed komputerem! (nie to żebym była jakimś wrogiem komputera). Znajomym na Messengera wysłałam emotki z cukierkami, a niech mają 😊. Koronawirusie znikaj!!!

5 czerwca 2020 r.

Wpadki, gafy i kompromitacje to normalka na e-lekcjach. Tylko, że tym razem to nie my, a żona Pana od geografii padła ofiarą zdalnej lekcji. Pan Marek dziś wyjątkowo prowadził zajęcia z domu, a nie jak do tej pory ze szkoły. Kiedy objaśniał nam mapę hipsometryczną, w tle ukazała się jego żona mówiąca podniesionym głosem: „Widziałeś rachunek za wodę w tym miesiącu? Czy oni już poszaleli? Od teraz to chyba będziemy się myć raz w tygodniu!”. Gdy zorientowała się, co zrobiła, speszona przeprosiła i szybko zniknęła z naszych ekranów. Ale wiadomo przecież jak jest... co się w internecie raz usłyszy... ☺

15 czerwca 2020 r.

Tak się zastanawiam, czy Marcel to rzeczywiście taka noga z polaka, czy tylko udaje... Dziś mieliśmy o zdaniach złożonych. Pani poprosiła, żeby Marcel podał przykład takiego zdania, na co on: „Złożyłem ubrania” Trzymajcie mnie! Potem Karolina, kiedy ją Pani o coś zapytała, zaczęła udawać, że mikrofon jej nie działa. Poruszała bezdźwięcznie ustami, że niby wie i mówi... tylko jej nie słyszać. Przeszłaby ta ściema, gdyby wcześniej wyniosła swoją papugę, której się na śpiew zebrało.

Mnóstwo zabawnych sytuacji przyniosła nam nauka przez internet, ale nic na świecie nie zastąpi nam „normalnej” szkoły. Tęsknię za szaleństwami na przerwach, za pogaduchami, za zbijakiem, za wszystkimi wycieczkami i za lodami, na które chodziliśmy całą paczką po szkole. Mam nadzieję, że po wakacjach wszystko wróci do normalności...

– Ale nie wróciło – westchnęła Julka.

We wrześniu uczyliśmy się w szkole, lecz wyznaczone strefy na korytarzu, maseczki, ciągłe mycie rąk..., później Covid wśród uczniów i nauczycieli. Gdy ktoś kichał, od razu tłumaczył się, że jest alergikiem. Poza tym wszechogarniający strach, nie tylko

przed chorobą, ale przed odrzuceniem. Przez przypadek widziałam naszą polonistkę płaczącą na zapleczu klasy (po jej powrocie do szkoły ze zwolnienia lekarskiego)... i pamiętam jej słowa wypowiedziane na lekcji: „Moi drodzy, przede wszystkim bądźmy ludźmi, nie dajmy się zwariować”.

No właśnie, nie dajmy się zwariować, a ja czuję, że za chwilę wybuchnę – pomyślała, po czym strząsnęła samotną łzę spływającą po policzku i zaczęła pisać w swym dzienniku: „Nigdy nawet by mi do głowy nie przyszło, że będę miała dość laptopa i swej komórki. Życie jest nieprzewidywalne...”.

Jan Kocot (Janek), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu

Herosi

Lato 1939 obejmowało nas ciasno swoimi promieniami, jak gdyby chciało ochronić przed złem, które miało nadejść. Wspólnie ze Staszkiem, Witkiem i Gutkiem obsiadaliśmy gałęzie drzew niczym dzikie ptaki, chichocząc i szepcząc wśród traw. Pochłonięci drobnymi sekretami próbowaliśmy zrozumieć świat, który otaczał nas ciasnym kokonem.

Tego gorącego sierpniowego dnia upajaliśmy się widokiem Wisły. Rzeka naszej młodości płynęła turkusową barwą, wolniutko, wąskim korytem, porośniętym gęsto chwastami. Nierzadko niemalże znikiała, by potem wezbrać gwałtownie i lizać coraz gwałtowniej brzeg. Raz płynęła błękitem, przypominając bezchmurne niebo. Raz znowu pląskała kolorem pomarańczy, jakimi raczyliśmy się na święta, innym razem przyjęła zielonkawy kolor butelek, z których piliśmy oranżadę. Czasem był to kolor czerwonej szminki, którą w sekrecie podebrałam matce.

Magia miejsca skłoniła nas do ujawnienia naszych najskrytszych marzeń. Jeszcze w maju świętowaliśmy przejście do maturalnej klasy. A już pierwszego września zacznie się nauka! Oj i to ostra! Profesor Wilczur nie odpuści nam!

– Zdam z was najlepiej tę maturę – spojrzałam zuchwale chłopakom w oczy – i zostanę lekarzem. Wyleczę wszystkie chore serca w Polsce.

– Powinnaś zacząć od tych zakochanych – wtrącił Witek, dusząc się ze śmiechu i spoglądając na rumieniącego się Gutka.

– A ja – wyprostował się dumnie Staszek – będę aktorem. – Ach, moi drodzy, przebiję sławą Clarka Gable’a – udawał, że podkręca wąsik, a my parsknęliśmy śmiechem.

– Bliżej ci urodą do Hitlera, mój drogi – znowu naśmiewał się Witus – Wąsik, ach, ten wąsik – zaśpiewał i kręcąc się dookoła rzekł dalej:

– Poznajcie państwo następcę Malczewskiego, Maestro Witka – odpowiedział mu nasz śmiech.

– A ty stary, jakie masz palny? – zapytał Gutka – Oprócz wyleczenia zakochanego serca, oczywiście – dodał żartując i klepiąc przyjaciela po plecach.

– Ach – zaczął wolno najbardziej nieśmiały z moich kompanów – może ja Ojczyzny bronić będę! Przecież gadają, że Polskę Szkopy napaść mogą!

– No co ty! – odpowiedzieliśmy mu zgodnym chórem.

– Hitler nie odważy się podnieść ręki na nasz kraj. My mu ją odrąbiemy – rzekł Staszek. – Teraz jesteśmy bezpieczni. Stoją za nami Anglicy, mamy sojusze. Zresztą jesteśmy herosami, jesteśmy nieśmiertelni!

– Łuuuuuuuuuuu, jesteśmy nieśmiertelni!!! – krzyczeli chłopcy – Jesteśmy herosami!!!

Nikt nie słyszał mojego cichego szeptu, kiedy dodałam:

– Ale herosi to tylko półbogowie, kiedyś czeka ich przeprawa przez Styks...

Wszyscy moi przyjaciele, moi herosi, nie doczekali końca wojny, ich marzenia płyną jednak dalej z biegiem Wisły, która znała nasze plany i marzenia. Kochani, docieńcie, że życie w czasach pokoju i wspominajcie czasami na historii o chłopakach takich jak Staszek, Witek i Gutek.

Ferie u dziadka

Ferie zbliżały się dużymi krokami, a my z siostrą byliśmy coraz bardziej nerwowe. Wszyscy się dziwili, dlaczego nie cieszymy się na wyjazd do dziadka. Może ktoś, kto ma dziadziusia radosnego, wesołego, hodującego na przykład gołębie, to lubi z nim spędzać całe dwa tygodnie. Niestety nasz był raczej nerwowy, wiecznie zajęty dłubaniem w garażu, no i co tu ukrywać – małowówny. Jeszcze jak żyła babcia, było inaczej. Ona zawsze potrafiła nas zająć i zapewnić nam ciekawe atrakcje. To miały być pierwsze ferie bez niej, stąd nasze obawy rosły z dnia na dzień.

Gdy już byliśmy w drodze, rodzice zauważyli nasz niesmak i zaczęli wypytywać, o co chodzi. Moja młodsza siostra – papla – powiedziała, że nie chcemy jechać do dziadka, bo on jest nudny i przez to zepsuje nam całe ferie. Mama przez chwilę się zamyśliła, po czym zaczęła snuć nam pewną opowieść.

Kiedyś, gdy miałam około dwunastu lat, podobnie jak wy teraz, wraz z moją siostrą, jechałyśmy do moich dziadków na wakacje. Nie miałyśmy na to zbyt ochoty. Babcię kojarzyłyśmy z robótkami na drutach, a dziadka ze śledzeniem wiadomości w telewizji. Na miejscu postanowiłyśmy urozmaicać sobie czas zwiedzając okolicę. Obejrzałyśmy opuszczony młyn, drewniany kościółek i w końcu trafiłyśmy na stary cmentarz. Przechadzając się alejkami, na niektórych grobach zauważyłyśmy dziwny symbol, przypominający kaganek. Dzień wcześniej zauważyłyśmy taki sam na dziadkowej koszuli. Bardzo nas to zainteresowało i zaczęłyśmy dokładniej przyglądać się nagrobkom z tym znakiem. Było ich kilka i wszystkie należały do mężczyzn. Mało tego, były to osoby, które urodziły się w podobnym czasie i teraz byłyby w zbliżonym wieku, co nasz dziadek. Zachodziłyśmy w głowę, o co w tym wszystkim chodzi i postanowiłyśmy się tego od niego dowiedzieć. Dogodny moment nadarzył się wieczorem. Zapytałam dziadka

o symbol, który zawsze ma przy sobie. Wspomniał nam wtedy, że podczas wojny, jako nastolatek, stworzył z kolegami z okolic grupę wspomagającą lokalnych partyzantów. Dostarczali im jedzenie, lekarstwa lub ubrania. Podczas niebezpiecznych akcji, ukrywali się w jaskiniach lub w dawnych sztolniach. Za każdym razem czuli wsparcie ducha podziemi – Skarbnika. Właśnie dlatego nazwali swoją grupę jego imieniem, a na znak rozpoznawczy wzięli jeden z atrybutów „Pana kopalni”, czyli kaganek. Razem z siostrą zaczęłyśmy wypytwać dziadka, w jaki sposób Skarbnik im pomagał. Wtedy dowiedziałyśmy się, że podczas ucieczki niejednokrotnie nagle znajdowali opuszczone sztolnie, w których mogli się schować. Nigdy nie wiedzieli, kiedy minie niebezpieczeństwo, ale światełko w tunelu było dla nich znakiem, że mogą wyjść na zewnątrz. Tak naprawdę nie mieli pojęcia, skąd bierze się ten blask. Po prostu się pojawiał. Nikt nie umiał tego wyjaśnić w racjonalny sposób. Nie ukrywam, że opowieść dziadunia bardzo nas zachwyciła, dlatego od tamtego wieczoru codziennie zasiadałyśmy w jego towarzystwie i słuchałyśmy kolejnych historii.

Kiedyś dziadek wspomniał, że przez zażyłość ze Skarbnikiem, postanowił po wojnie zostać górnikiem. Podczas wieloletniej pracy pod ziemią, los niejednokrotnie jeszcze krzyżował ich drogi. Duch kopalni miał jeszcze kilka razy przyjść mu z pomocą. Wydarzenia, które najbardziej utkwily dziadkowi w pamięci, rozegrały się pewnej grudniowej nocy. Pewnego razu, gdy z przyjaciółmi byli na tak zwanym przodku, doszło do zawału. Dziadek zdążył uciec, ale jego koledzy zostali odcięci przez skały. Liczyła się każda chwila, dziadziuś pełen zapału i determinacji usuwał kamienie. Było ich jednak zbyt dużo i były zbyt ciężkie, by mógł sobie poradzić z nimi jeden człowiek. Już myślał, że będzie musiał się poddać, gdy nagle obok ktoś się zjawił i zaczął mu pomagać. Razem udało im się zrobić przejście dla uwięzionych górników. Wykończony, ale szczęśliwy chciał podziękować pomocnikowi, jednak nigdzie go już nie było. Dziadek był pewien, że był to sam duch podziemi – Skarbnik. Zważywszy na ilość i wielkość skał, nie mógł to być

przecież człowiek. Od tamtego czasu na każdej szczytce, zostawiał jemu w ramach podziękowania drugie śniadanie.

Dziadek wspominał też o innym wydarzeniu. Podczas jednej ze zmian, gdy jechali do wyrobiska, doszło do awarii hamulca w lokomotywie. Pociąg był bardzo rozpędzony i groziło im rozbitcie się o ścianę. Nagle rozbłysło mocne światło, a po chwili zrobiło się zupełnie ciemno i pociąg się zatrzymał. Nie było naukowych wyjaśnień na to, co się wydarzyło, więc wszyscy górnicy dopatrywali się działania ich przyjaciela Skarbnika.

Było wiele sytuacji, kiedy duch kopalni się ujawniał. Niejednokrotnie koledzy dziadka opowiadali, jak to Skarbnik wskazał im drogę, gdy się zgubili, czy zdradził gdzie kopać, by dobry węgiel wydobyć. Nawet będąc już na emeryturze, dziadziuś miał spotkanie ze Skarbnikiem. Pewnego dnia spacerując po lesie, w oddali zauważył człowieka, który wyrzucał śmieci do opuszczonej sztolni. Chciał zareagować, lecz nagle obok mężczyzny pojawił się starzec z fajką i kagankiem. Coś do niego powiedział. Tamten zbladł, nerwowo zaczął zbierać śmieci, po czym szybko uciekł. Duch kopalni odwrócił się w stronę dziadka, zaciągnął się fajką, uśmiechając się puścił oczko, po czym zniknął.

W tym miejscu mama zakończyła swoją opowieść. Odwróciła się do nas i po dłuższej chwili milczenia, dodała:

– Razem z siostrą zrozumialiśmy, że dziadek to bardzo ciekawa osoba, o barwnej przeszłości i pełna niespodzianek. Od tamtej pory uwielbiałyśmy do niego jeździć przy każdej nadarzającej się okazji. Dziadkowie też często skrywają tajemnice. Może i wasz zaskoczy was czymś wyjątkowym.

Dzięki opowieściom mamy, podróż minęła bardzo szybko. Ani się obejrzałyśmy, a już byłyśmy na miejscu. Dziadek wyszedł nam na przeciw. Podczas przywitania, rzucił mi się w oczy sygnet na jego lewej dłoni. Widniał na nim jakiś nieznany nam symbol. Zrozumiałam, że jest to zagadka do rozwikłania dla mnie i dla mojej siostry. Przeczucia podpowiadały mi, że będą to bardzo udane ferie.

Pamiętnik pana Kron'c

Zazwyczaj ludzie, którzy osiągnęli pełnię szczęścia, nie są szczęśliwi. Dobrym przykładem była Nenda. Cóż jej nie odpowiadało w piaszczystych plażach, nagich skałach i szumiących puszcach wyspy Do'Arra? Każdy Do'Arrańczyk uważał to miejsce za istny raj na ziemi. Każdy – oprócz Nendy. Tę dziwną niechęć rozbudził w niej ojciec, podróżnik. Wieczorami opowiadał jej o obu Amerykach, o krainie zwanej Afryką, w której mieszkali dziwni, czarni ludzie. O europejskich cywilizacjach i o żółtych Chińczykach. O Oceanie Spokojnym i o Hawajach.

Czym wobec tego była mała wysepka Do'Arra, którą zamieszkiwało kilkudziesięciu ludzi? I o której nie wiedział nikt poza Do'Arrańczykami? Niczym.

– Chodź już, kochanie – mama pocałowała Nendę w głowę. – Zanimiesz mleko pani Kron'c.

– Mamo, czy Europejczycy są żółci?

– Nie wiem. Zapytasz tatę, jak już wróci.

– Tata mówił, że Australia jest daleko stąd – powiedziała Nenda. – I podróż trwa kilka tygodni.

– Mówił także, abyś się mnie słuchała. A ja obiecałam pani Kron'c...

Nenda westchnęła ciężko, wzięła butelkę mleka od mamy i poszła. Rozmyślała przy tym o świecie. Ciekawe, jak wyglądają Japończycy. Czy są żółci jak Chińczycy, czy czarni – jak Murzyni? A może, skoro też mieszkają na wyspie, są jak Do'Arrańczycy? To znaczy – opaleni na czekoladowo i jasnowłosi. Ach, żeby już tata wrócił! Żeby już wrócił z tej Australii! Spytałaby go o to wszystko, co kłębiło się w jej jedenastoletniej głowie od miesiąca. A ciekawe, jaki jest największy kraj świata?... Ale nie miała wiele czasu, aby się nad tym zastanowić, bo oto stała przed domem pani Kron'c.

Był on niewielki, lecz zbudowany z porządnego sekwojowego drewna. Nenda zastukała kołatką w kształcie liścia. Nie czekała długo. Pani Kron'c otworzyła drzwi i popatrzyła na nią brązowymi oczami, które lśniły jak dwa klejnoty osadzone w wyblakłej, pomarszczonej twarzy.

– Dzień dobry – przywitała się Nenda. – Przyniosłam mleko.

Pani Kron'c przeniosła wzrok na butelkę i rzekła:

– Dobrze. Chodź, napijmy się kawy.

– A w Europie dzieci nie mogą pić kawy... – przemknęło Nendzie przez głowę i zorientowała się, że powiedziała to na głos.

Staruszka przyjrzała jej się uważniej i zapytała:

– Interesuje cię świat?

– Bardzo.

– To chodź... Nendo.

Nenda wzdygnęła się – mama nazywała ją „kochanie”, tata: „Kicia”, ale nikt nie mówił do niej po imieniu. Poszła posłusznie za panią Kron'c.

– Zobacz – odezwała się kobieta i wyjęła coś z szuflady biurka. – Myślę, że tutaj znajdziesz odpowiedzi na wszystkie pytania. To pamiętnik mojego brata, który był podróżnikiem.

Dziewczynka drżącymi rękami otworzyła brulion. Na chybił - trafił. Przeczytała:

Dziś przybiliśmy do brzegów Francji. Ludzie tu są zupełnie biali i mają tak dziwny język, iż na początku nie wierzyliśmy, że to Europejczycy! Jedzą żaby i ślimaki – ohyda. 17.06.1877

Data była podkreślona dwoma liniami. Zapanowała długa cisza, przzerwana wreszcie przez panią Kron'c:

– Mój brat zaginął trzy lata później. Przypuszczam, że zatonął wraz ze swym okrętem.

– Czy mo-mogłabym pożyczyć ten pamiętnik? – spytała Nenda, głaszcząc bezwiednie kartkę z opisem Francuzów.

– Oczywiście, Nendo.

– Dziękuję!... Do widzenia.

Gdy tylko znalazła się za drzwiami, przycisnęła brulion pana Kron'c mocno, z całej siły, do piersi.

Bartosz Mirowski (Rybak Aaron), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 139 w Łodzi

Złote kłosa

Liam biegł przed siebie, najszybciej jak mógł. Za sobą słyszał ciężkie kroki grupy orków, która niespodziewanie wdarła się do skryptorium niszcząc cenne dzieła i zabijając wszystkich nie-szczęśników, którzy akurat znajdowali się w atakowanym budynku. Prawie wszystkich. Liam, jedyny ocalały, kierował się w stronę wejścia do wieży, która połączona drewnianym mostkiem z główną częścią świątyni była jedyną drogą ucieczki. Korytarz, którym biegł skręcał. Za sobą usłyszał huk. Odwrócił głowę, a jego oczom ukazały się szczątki rzeźby proroka Natira z Gittaru, którą mijał przed chwilą na zakręcie. Cóż, widocznie miał szczęście, a magiczny pocisk, bo niewątpliwie był to magiczny pocisk, nie trafił go. Nie miał jednak czasu na oglądanie się, gdyż zza zakrętu wyłoniły się sylwetki orków odzianych w ciężkie czarne pancerze. W rękach dzierżyli topory i miecze, którymi wymachiwali, groźnie wykrzykując bojowe hasła w ich ojczystym języku. Nad nimi przeleciała postać odziana w ciemną szatę, lądując miękko dobre paręnaście metrów dalej od bandy. Był to elf, ale nie byle jaki elf. Ostre rysy twarzy, wysokie czoło, blada cera i oczy w nienaturalnie wręcz jasnym kolorze wskazywały na jedno. Był to *Tisse'lain*, elf z pradawnego szczepu swej rasy, elf ze Srebrnych Gór. Odłam *Tisse'lainów* odłączył się od swych pobratymców dawno temu, by osiedlić się na dalekiej północy. Od tamtego czasu niewielu miało okazję kontaktować się z tym tajemniczym ludem. Tylko... co *Tisse'lain* robił tutaj? W Górnym Alderze?

Elf podniósł swą dłoń i skupiając energię, wystrzelił w stronę Liama magiczny pocisk. Fala uderzeniowa trafiła w płaskorzeź-

bę wykutą w ścianie. Chłopak zasłonił głowę rękoma, chroniąc się przed lecącymi w jego stronę odłamkami. Biegł przed siebie. Na końcu korytarza znajdowały się schody prowadzące na szczyt wieży. Elf wystrzelił w zdeorientowanego Liama następny pocisk. Kolejna fala dosięgnęła celu. Chłopak przechoziłkował w powietrzu i padł na plecy. Jęknął z bólu. Z trudem podniósł głowę. *Tisse'lain* szedł w jego stronę. Pomiędzy jego dłońmi zaczęły pojawiać się niebieskawe błyski. Elf z kamienną twarzą wystrzelił w stronę Liama grad błyskawic. Ten w bezwarunkowym odruchu zasłonił się przedramieniem. Zaciśnął oczy i czekał na nieuniknione. Zdziwiony tym, iż nie poczuł bólu powoli otworzył oczy. Ze zdziwieniem obserwował jak masa iskier i błyskawic rozlewa się po niematerialnej barierze stojącej tuż przed nim i promieniującej złotym blaskiem. Odwrócił głowę i zauważył brodatego starca odzianego w białą szatę obszytą złotą nicią. W ręce trzymał bogato zdobiony drewniany kostur – symbol władzy. Liam znał tego człowieka bardzo dobrze. Dla innych był on arcykapłanem Attasem, naczelnym opiekunem świątyni poświęconej bogu Keliosowi i jednym z najwyższych postawionych osobistości w hierarchii kościoła. Dla niego zaś był nauczycielem i opiekunem. Osobą, która zaopiekowała się nim kiedy stracił rodziców. Był mentorem, na którego zawsze mógł liczyć.

– Uciekaj chłopcze! – krzyknął w stronę Liama.

Chłopakowi nie trzeba było powtarzać. Z grymasem bólu na twarzy wstał z ziemi i najszybciej jak mógł pognał w stronę krętych schodów. Wspinając się na szczyt wieży, Liam zastanowił się, czy postąpił dobrze, zostawiając Attasa samego. Wiedział, że arcykapłan Keliosa mimo podeszłego wieku zachował swą potęgę, jednak elf mógł okazać się godnym rywalem. Poza tym oddział orków dotarł już pewnie na miejsce, co nie ułatwiało kapłanowi zadania. Mimo to powrót na dół, by pomóc Attasowi, nie wchodził w grę. Liam nie do końca wiedział, jak by mógł pomóc kapłanowi... Poza tym napastnicy mogli przebić się przez jego zaporę, więc powrót wiązałby się ze zmarnowaniem szansy, którą dostał. Niestety, ale jedyne co mu pozostało, to mieć nadzieję, iż arcykapłan ja-

koś z tego wyjdzie. Kiedy chłopak dotarł na sam szczyt, wpadł do drewnianego przejścia łączącego skryptorium i główną świątynię. Mniej więcej w połowie drogi zatrzymał się. Był zbyt zmęczony, by biec dalej, ale był też zbyt zaniepokojony.

Spojrzał przez jedno z nielicznych ciasnych okienek i zamarł. Miasto, w którym się wychowywał, które było dla niego domem, płonęło. Wszędzie dało się słyszeć krzyki, płacz, wrzaski. Wychylił się bardziej, by móc zobaczyć całą metropolię. Budynki, które z tej wysokości wyglądały niczym małe domki, trawił pożar. Wiele z nich zawałiło się, grzebiąc żywcem domowników. Po ulicach biegały całe zastępy orków i osobników bardzo podobnych do elfa w czarnej szacie, wybijając mieszkańców, którzy do tej pory nie znaleźli żadnego schronienia. Widząc co dzieje się w centrum, Liam z nadzieją spojrzał w stronę jednego z dwóch budynków, który mógł oprzeć się atakowi z zewnątrz. Dom jarla miasta Tangradu położony był na wzgórzu oraz posiadał własne mury obronne. Sam budynek zaś był małą, wielopiętrową fortecą, co pozwalało bronić go z kilku poziomów. Jednakże, ku zdziwieniu Liama, został już zdobyty i dzielił los budynków mieszkalnych. Z daleka chłopak był w stanie zobaczyć małe, czarne postacie otaczające kilku pozostałych przy życiu strażników, z daleka wyglądających niczym małe srebrne punkciki.

To wszystko oznaczało, iż jedynym budynkiem, który był w stanie się bronić, była świątynia poświęcona bóstwu ludów północy – Świątynia Keliosa. Katedra nie leżała co prawda na wzgórzu i nie miała własnych murów obronnych, jednak była na tyle wysoka, by napastnicy nie mogli wspiąć się bez pomocy drabin i haków. Poza tym była dość stabilna i posiadała grube mury. Jak się okazało, nie tylko on to zauważył. Grupa mieszkańców Tangradu chroniona przez niedobitki wojów z miasta i strażników świątynnych wpychała się przez główne wejście do świątyni.

Chłopak usłyszał odgłosy walki od strony wyjścia z wieży. Odwracając się, ujrzał Attasa, który nie mogąc uspokoić napadu kaszlu, starał się rozgonić ręką ciemny dym przepełniający wieżę. Z pogardą w oczach wystrzelił z dłoni złotą smugę światła w kie-

runku krętych schodów. Sądząc po jego minie, zabieg ten pozwolił zatrzymać na jakiś czas atakujących. Arcykapłan zaczął biec, dając chłopakowi znak, by ten uczynił to samo. Kiedy Liam dotarł na koniec przejścia, jego uwagę przykuło zachowanie kapłana. Attas zatrzymał się na chwilę i wskazał podłogę. Nagle z jego palca wytrysnął jasny, wręcz biało-świełisty płomień, który rozlał się po drewnianym przejściu. Na wieży pojawił się elf w czarnej szacie, jednak widząc, iż kapłan wrzuca prosto w ogień małą sakieweczkę, szybko zniknął z powrotem w wieży. Attas rzucił się w stronę bocznego wejścia do świątyni. Za jego plecami nastąpił wybuch, który rozerwał drewniany pomost na strzępy, uniemożliwiając wdarcie się do świątyni od strony skryptorium. Liam zamknął szybko kamienne drzwi bocznego wejścia i pomógł wstać arcykapłanowi. Ten podziękował mu i położył dłoń na wrotach, szepcząc przy tym słowa modlitwy. Runy i wzory na bramie zapłonęły nagle jasnym blaskiem. Przejście zostało zapieczętowane. Kiedy obydwójce byli w miarę bezpieczni, Attas zwrócił się do niego.

– Posłuchaj mnie uważnie, Liam. My... My nie damy rady obronić świątyni. Musimy pomóc... ewakuować wszystkich... – mówiąc to, często robił pauzy. Oddychał ciężko. W jego oczach dało się widzieć zmęczenie. – Jest... jedno wyjście... Pod katakumbami jest... portal. Został on bardzo dawno zamurowany... Musimy się do niego dostać. To jedyna opcja. Posłuchaj mnie, chłopcze... Udasz się do katakumb przez magazyn. Zabierzesz ze sobą... proch... Na dole powinni już czekać... ocalali. Wyszadziecie... ścianę... wschodnią ścianę. Tam znajduje się portal. Wtedy my, kapłani, odpalimy go i ewakuujemy wszystkich... Ten portal połączymy z ruinami w *Dol Tarrieth*. To najbliższy portal – dokończył kapłan, powoli odzyskując oddech.

Liam czytał dużo o podróżach międzyportalowych i samych portalach, więc wiedział, że przedsięwzięcie to było bardzo ryzykowne. Korzystanie z dawno nieużywanych portali, przez które ma nagle przejść grupa osób, samo w sobie było niebezpieczne, a co dopiero, kiedy taki portal podłączony zostanie do tysiącletnich ruin portalu. Możliwe, że podczas takiej podróży kilka jed-

nostek zostanie wyrzuconych gdzieś po drodze do *Dol Tarrieth*. Możliwe też, że kilka z nich straci podczas takiej podróży kończy-ny, nie wspominając już o możliwości utraty życia. Jednak takie rozwiązanie dawało jakieś szanse na przeżycie, w przeciwieństwie do pozostania w obleganej świątyni. Zanim jednak Liam udał się w stronę magazynu, zapytał jeszcze:

– Ojcie Attasie... Dlaczego zostaliśmy zaatakowani? I przez kogo? Co się dzieje?

– Wszystko wyjaśni się w swoim czasie, chłopcze... Powodzenia, synu. Mówiąc to, starzec miał w oczach łzy. Uśmiechnął się, by dodać otuchy sobie i Liamowi, po czym skierował się długim kamiennym korytarzem w stronę głównego wejścia, aby tam odpie-rać atak.

Liam nie bardzo wiedział, co się dzieje. Nie był w stanie trzeź-wo myśleć. Krzyki, huki i łomoty dochodzące zewsząd nie pozwa-ły skupić się, zastanowić. Zdezorientowany, ruszył w stronę magazynu. Idąc przez ciemne korytarze, oświetlane tylko nikłym blaskiem latarni podwieszonych do ścian, Liam mógł wreszcie odetchnąć od zgiełku walki. Tutaj, w podziemiach świątyni, od-łosy bitwy były stłumione, brzmiały niczym odległy ryk burzy popędzający wędrowców uciekających przed deszczem. Chłopak szedł szybkim krokiem, rozmyślając o tym, co tak właściwie się stało. Dzisiejszy dzień zaczynał się jak każdy inny. Liam już od dawna przygotowywał się do wyjazdu do Twierdzy Smoczego Ży-wołu, ucząc się i poszerzając swą wiedzę dzięki zwojom i księgom zebranych przez kapłanów Keliosa. Twierdza Smoczego Żywiołu – zwana także przez elfy *Allaie The'a* Wieżą Cudów – była miejscem nauk i badań na temat smoczych artefaktów, run, cmentarzysk i siedlisk oraz pradawnej rasy *Kaaletic*, pochodzącej ze wchodu, która według zdobytych informacji, miała dość bliskie stosunki ze smokami. Nie wiadomo, co się stało z rasą i ze smokami, jednak od jakiegoś czasu pozostałości po ich kulturze zaczęły emanować pradawną, nieznaną dotąd magią. Do badań nad takimi obiektami i przedmiotami potrzebne są osoby, które już od dziecka wykazy-wały łatwość w rozumieniu i zapamiętywaniu smoczego pisma, na

którym to opiera się cała kultura Kaaletic. Smokobłogosławieni, bo tak popularnie zaczęto nazywać takowych badaczy, wraz z znikaniem smoczej magii przestali być potrzebni i rozwiązali swoje stowarzyszenie. Teraz jednak, kiedy pradawne artefakty znowu przesiąkły mocą, każda osoba znająca choć podstawy smoczych run była na wagę złota. A tak się złożyło, iż Liam bardzo dobrze znał podstawy. Rozszerzenie podstaw również. W takim wypadku Attas postanowił oddać swego wychowanka pod opiekę Smokobłogosławionych, aby Ci poddali go testom i przyjęli w swe szeregi. Jednak była to tylko oficjalna wersja. Pewnego razu Liam usłyszał przez przypadek kawałek rozmowy Attasa z wysłannikiem z Twierdzy Smoczego Żywiołu. Usłyszał, iż nauki na Smokobłogosławionego są tylko drugorzędnym celem, a głównym powodem jego wyjazdu jest wykonanie na nim *Tharicjiv'u*, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „Uścisk dymu”. Niczego więcej nie usłyszał. Na początku dogłębnie badał sprawę i szukał informacji o czymś takim jak *Tharicjiv* jednak z czasem, kiedy jego próby dowiedzenia się czegoś nie powiodły się, zaprzestał poszukiwań. Wierzył Attasowi i uznał, iż arcykapłan musi mieć powód, by ukrywać przed nim prawdę, dlatego jak gdyby nigdy o niczym nie usłyszał, kontynuował swe codzienne życie. Aż do dziś. Dziś, kiedy wraz z grupą skrybów przebywających w skryptorium usłyszeli okrzyki zdziwienia. Następnie krzyki bólu. Nim zdążyli zrozumieć, co się dzieje, przez wybite witraże, dawniej przedstawiające świętych, wpadła grupa orków. Niektórzy kapłani próbowali się bronić, jednak wszelkie modły i okrzyki wystawiające Keliosa urywały się, kiedy ostrza przebijały nieszczęśników na wylot. Nie minęło dużo czasu, kiedy Liam zorientował się, że pozostał jedynym przy życiu. Widząc barczystych, okutych w ciemne pancerze orków i ich oręż niebezpiecznie wskazujący w jego stronę, od razu, wręcz instynktownie, niczym zwierzę uciekający przed łowcą, rzucił się w stronę jedynej drogi dającej szansę przeżycia. Dalej wszystko potoczyło się już szybko...

Liam doszedł do skrzyżowania korytarzy i skręcił w prawą odnogę. Odnoga ta była tak naprawdę krótkim korytarzem, na

końcu którego znajdowało się małe pomieszczenie przypominające trochę zbrojownię. Na nieszczęście Liama, wejście do magazynu – metalowa kratka z furtką – okazało się zamknięte. Chłopak już zaczął zastanawiać się, czy byłby w stanie wyważyć metalowe drzwiczki, kiedy usłyszał za sobą szybkie kroki. Odwrócił się i ujrzał małą grupkę osób, na których czele szli dwaj młodzi kapłani. Bliźniacy Barlien i Kerlion byli praktycznie identyczni; wysocy i szczupli, dobrze zbudowani. Mieli długie proste włosy w kolorze złota, które dodawały im majestatu i wyniosłości. Ich blade twarze zlewały się z biało-czerwonymi, takimi samymi szatami, które tylko potęgowały wrażenie identyczności. Aby mieszkańcy świątyni byli w stanie ich jakoś rozróżniać, bracia nosili na prawych przedramionach srebrne płytki ze swoimi inicjałami.

Kerlion, starszy z braci, odezwał się:

- O! Ty też przychodzisz po proch, Liam? To idealnie się składa, bo mamy za mało rąk do pracy!
- Przepraszam za niego – powiedział widocznie zirytowany Barlien. – Trwa oblężenie, a on jak zwykle w nadzwyczaj dobrym humorze!
- Nie zapominaj bracie, że kiedy Kelios przebywał na Ziemi pod postacią swego awatara, śmiał się na wieść, że umrze.
- Tylko że ty nie jesteś Keliosem.
- Twe słowa ranią moje serce bracie. Może nie jestem Keliosem, ale jestem jego wiernym akolitą naśladowującym jego postępowanie
- odpowiedział głosem poszkodowanego starszy z braci.
- A moje serce, bracie, rani twoja głupota. Dawaj klucze.

Kerlion posłusznie podał bratu obręcz z licznymi kluczami dzwoniącymi przy każdym ruchu, jednak nie zapowiadało się, by jego humor miał choć trochę ulec zmianie. Barlien otworzył przejście za pierwszym razem, bez sprawdzania kluczy. Nie zdziwiło to Liama, ponieważ od zawsze wokół młodszego z braci krążyła opinia „tego rozważnego” i w przeciwieństwie do starszego brata – „myślącego”. Gdyby ktoś powiedział Liamowi, że Barlien przesiedział całą noc, żeby nauczyć się na pamięć, który klucz otwiera które przejście, nie zdziwiłoby go to. Razem z kapłana-

mi, brodatym krasnoludem i kilkoma ludźmi, Liam zaniósł parę beczulek z prochem do katakumb. Przed wejściem do miejsca pochówku wielu osobistości, stała spora grupa ocalałych po rzezi miasta. Beczki zostały ustawione pod wschodnią ścianą, tak jak zalecał Attas. Kerlion, który ostatni wychodził z pomieszczenia, przed wyjściem narysował na jednej z beczek skomplikowany glif. Będąc już w bezpiecznej odległości od beczek prochu, wyciągnął zza pasa oszlifowaną, kwadratową płytkę, na której znajdował się identyczny glif jak na beczce.

– Lepiej zakryć uszy, bo może być głośno – powiedział Kerlion.

Barlien przewrócił oczami, widząc dziwną ekscytację na twarzy swego brata i razem z kilkoma innymi kapłanami przebywającymi wśród członków grupy przygotował się, aby w razie potrzeby zatrzymać walące się sklepienie. Kilka osób stojących najbliżej zejścia do katakumb zakryło uszy. Liam, dla pewności, postanowił wziąć z nich przykład. Starszy z bliźniaków skupił się na glifie leżącym na podłodze tuż przed nim. Po kilku minutach znak ten zaczął jaśnieć aż wreszcie świecił czerwonym blaskiem tak jasnym, że wydawało się, iż zaraz zapłonie. I tak też się stało. Liam domyślał się, iż dwa glify w jakiś sposób są ze sobą połączone, dlatego rozgrzanie jednego z nich skutkowało rozgrzaniem drugiego. W tym momencie nastąpił wybuch. Kilku ludzi skuliło się bardziej. Kapłani w ciągłej gotowości przyglądali się sklepieniu, mrużąc oczy przed spadającym z sufitu tynkiem. Kiedy kurz wzbity w powietrze z powrotem opadł na ziemię, kilku akolitów Keliosa weszło do katakumb i dalej przez wyrwę we wschodniej ścianie do dużego pomieszczenia z pradawnym portalem umieszczonym naprzeciwko „wejścia”.

Po dłuższej chwili, kiedy nic niespodziewanego się nie stało, kapłani dali znać czekającym na zewnątrz, by ci weszli do środka. Na początku wchodzili oni niepewnie, jednak kiedy po całej świątyni rozległ się potężny dźwięk nieznanego pochodzenia, zaczęli oni wpychać się w bezmyślnej panice do katakumb. Kwestią czasu było, kiedy pozostali kapłani odpierający atak wraz z paladynami świątyni przyjdą, by odpalić portal. Wracając, zawalali bądź

pieczętowali oni wszelkie zejścia w głąb katedry, aby utrudnić dostanie się do katakumb napastnikom. Kiedy wszyscy znaleźli się już przy portalu, młodsi kapłani jeszcze raz zaczęli tłumaczyć pospólstwu, co będą musieli teraz zrobić oraz jak działają portale, natomiast starszyzna zaczęła przygotowania do uruchomienia go. Kapłani otoczyli pradawne wrota półkolem i rozłożywszy ręce ku górze, skupili całą swą energię magiczną. Wśród zgromadzonych dało się słyszeć głucho okrzyki, kiedy w środku portalu pojawiło się małe złotawe światełko. Światełko to zaczęło rosnąć, wprawiając w jeszcze większe zdziwienie zgromadzonych. W końcu stało się ogromnym, jasnym światłem wypełniającym ramy portalu niczym lustro odlane ze szczerzego złota. Kiedy praca nad uaktywnieniem starożytnej bramy dobiegła końca, kapłani zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami zaczęli po kolei odczepiać swą moc od całości, jaką był przepełniony energią portal. Miało to na celu powolne ustabilizowanie go, aby ten był w stanie utrzymywać się z własnego źródła magii. Pierwszy z kapłanów powoli opuścił dłoń, zaprzestając wysyłania mocy w stronę złotego lustra. Wydało się, iż wszystko idzie zgodnie z planem. Drugi z kapłanów również powoli opuścił ręce, aby zakończyć swój udział w rytuale.

To był błąd. Portal zaczął mienić się kolorami, z jego wnętrza dochodziły piski i huki. Ocalali przyparli do ścian, by znaleźć się jak najdalej od nieznośnych wrzasków. Dwaj odłączeni kapłani, widząc, co się dzieje, z powrotem przyłączyli się do rytuału, by pomóc ustabilizować wrota swym braciom. Powykęceni, widocznie zmęczeni kapłani, z trudem zapanowali nad sytuacją. Portal znowu zachowywał się jak wcześniej. Zdziwieni akolici Keliosa z lękiem w oczach zakończyli rytuał. Portal znowu był już tylko starymi ruinami bez krztyny magii. Z grupy ocalałych zaczęły dobiegać ciche pomruki, które już po chwili przerodziły się w jednogłośny okrzyk niezadowolenia i nieufności. Spośród kapłanów wyłonił się Attas, który wyszedł naprzeciw grupy. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, po całej świątyni rozległ się już drugi, jeszcze głośniejszy od poprzedniego huk. To wystarczało, aby przypomnieć ocalałym, w jakiej sytuacji się znajdują. Arcykapłan

obiegł jeszcze wzrokiem po uciszonym i złęczonym tłumie, po czym wrócił do kapłanów, zarządzając chwilę przerwy na naradę. Killkoro młodszych akolitów, wyznaczonych do pilnowania ocalałych, uciszało jeszcze ostatnie pomruki niechęci do – jak określił to pewien krasnolud – „tego diabelstwa”.

Liam zbliżył się do kapłanów i niezauważony przysłuchiwał się rozmowie.

– Portalu nie da się ustabilizować, dlatego...

Attas spojrzął kątem oka w stronę Liama, którego zauważył.

– Dlatego będę musiał tutaj zostać...

– Co?! – wykrzyknął chłopak, zupełnie zapominając o dyskrecji.

– Samodzielne utrzymanie portalu znajdującego się w takim stanie jest praktycznie niemożliwe, Attasie. Zostanę z tobą – powiedział spokojnie Morgendil, jeden z wyższych rady i zaufany towarzysz arcykapłana. Zignorował zachowanie Liama. Wiedział, że z Attasem łączy go silna więź.

– Nie ma takiej opcji. Na Keliosa! Ja jestem strażnikiem tej świątyni i zrobię wszystko, żeby uratować jak najwięcej istnień! A wy mi w tym pomożecie słuchając mnie i uciekając razem z innymi – przemówił arcykapłan, po czym cicho, jakby od niechcenia, powiedział do Morgendila – Jesteś jedynym który wie...

Po tych słowach w oczach przyjaciela Attasa pojawiły się iskierki zrozumienia. Kiwnął głową i razem z innymi kapłanami zaczął przygotowania do ponownego otwarcia wrót. Zanim Attas zdążył do nich dołączyć, dopadł do niego Liam.

– Nie ma innego wyjścia? Musi być! – zawołał rozpaczliwie. Arcykapłan położył mu dłoń na ramieniu. W jego oczach było widać lęk, ale i również nadzieję.

– Niestety, chłopcze... Obiecuj mi jedno, Liam. Nie zapomnij o mnie – powiedział, po czym dołączył do pozostałych kapłanów. Liam poczuł w sobie pustkę. To wszystko działo się tak szybko. Kapłani znowu aktywowali portal. Przez świątynię przeszedł tajemniczy huk. Ocaleni krzyknęli cicho, a Liam zdał sobie sprawę, że jest tylko jedną małą, zagubioną cząsteczką w ogromie świata.

Na ustalony sygnał wszyscy kapłani, prócz Attasa, zaprzestali przesyłania energii i pognali w stronę portalu, prowadząc grupę ocalałych. Coraz to głośniejsze huki i grzmoty dobiegały zza ścian, jakby napastnicy byli dosłownie tuż po drugiej stronie. Liam zatrzymał się i odwrócił. Ostatni raz spojrzał na Attasa, który teraz klęczał na ziemi. Jego skóra wyschła, oczy zaszyły mgłą. Z rąk, a raczej szkieletu pokrytego zaschłymi fałdami skóry wystrzeliwał złoty promień zasilający portal. Arcykapłan poświęcił się, poświęcił całą swoją energię życiową, aby uratować innych. Jego krzyk ucichł. Liam poczuł, jak ktoś łapie go za ramię. Był to Morgendil. Szybko zaciągnął go w stronę portalu i razem skoczyli w jego gąsnące wrota.

Maria Sadrak (Tauriel), kl. 5
Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6
w Warszawie

Kwiat zmieniający życie

W Warszawie, przy ulicy Klimczaka, na parterze dużego białego bloku mieszkała rodzina Stoffsfordów. Liczyła ona sześciu członków: pana i panią Stoffsford, ich trzy córki oraz syna. Piotr Stoffsford był barczystym czterdziestolatkiem o przyjaznym obliczu i łagodnym spojrzeniu, w którym ukrywał się wyraźny cień smutku. Powodem tego była choroba żony. Anna Stoffsford cierpiała bowiem na jakąś dziwną, nieznaną lekarzom dolegliwość, w wyniku której ta piękna jasnowłosa kobieta o miłej, choć wymizerowanej twarzy, w każdej chwili mogła odejść z krainy żyjących. Ona sama o nic się tak nie martwiła, jak o swoją rodzinę. Wiedziała, że osiemnastoletnia Alicja mogłaby zająć się domem, ale zdawała sobie również sprawę, że dzieci na pewno będą zrozpaczone po jej śmierci.

Nagle do pokoju pani Anny wpadły Dora i Kasia – ośmioletnie bliźniaczki.

– Mamo! Michał zrzucił mnie z huśtawki! – szlochała Kasia. – Wpadłam w błotnistą kałużę i ubrudziłam sobie sukienkę!
– Doro – głos mamy zabrzmiał jak dzwon pogrzebowy. – Zawołaj proszę Michała. Ty, Kasiu, idź do pokoju się przebrać.

Po pewnym czasie w korytarzu zadźwięczały kroki i w drzwiach ukazała się Dora w towarzystwie dziesięcioletniego chłopca o twarzy urwisa.

– Czy to, co słyszałam, jest prawdą? – spytała mama.
– Zależy co słyszałaś – Michał nie wyglądał na skruszonego.
– Czy zrzuciłeś Kasię z huśtawki?
– To nie moja wina! Ona nie chciała mi dać się pohuścić, chociaż jej tura minęła!
– Czy to wystarczający powód, by zrzucić siostrę na ziemię?
– No może nie...

Mały winowajca zwiesił głowę. Nie podobało mu się, że mama jest przez niego smutna.

– Więc proszę cię, byś tego więcej nie robił. Przeprós Kasię i idź się bawić.

Michał wybiegł na dwór i zaczął zbierać kwiaty z zamiarem podarowania siostrze pięknego „przeprosinowego” bukietu. Miał już wracać, gdy coś przykuło jego uwagę. W rogu ogrodu pod wielkim drzewem rosła złocista lilia, tak piękna, że chłopiec nie mógł oderwać od niej oczu. W końcu podszedł do niej i dotknął błyszczących płatków. W jednej chwili cały świat przesłoniła mgła, a Michałowi zdawało się, że wszystko wokół niego wiruje.

Nagle upadł na coś miękkiego, a opary przesłaniające jego oczy powoli zaczęły się rozrzedzać. Leżał na trawie pośród ruin jakiegoś wielkiego miasta. Na początku czuł się trochę nieswojo, ale zaraz uprzytomnił sobie, że to przecież jest przygoda, taka o jakiej marzył od dawna. Wstał więc z puszystej murawy i począł iść naprzód bez wyraźnego celu. Po mniej więcej pół godzinie forsownego marszu, podczas którego nie spotkał żadnej żywej istoty, dotarł do zamku ogrodzonego murem zrobionym z jasnozielonego kamienia. Bez namysłu przeszedł pod rzeźbionym łukiem bramy i stanął olśniony. Nie wyobrażał sobie nigdy, że może istnieć coś

tak ogromnego i wspaniałego. Przy tym budowla, na którą patrzył, wyglądała na bardzo starą. Tutaj także nikogo nie było, więc chłopiec doszedł do wniosku, że tu nic nie żyje prócz trawy. W jednej z komnat natrafił na małą figurkę ptaszka, a w następnej stały dwa kamienne jelenie i lis. Im dalej szedł, tym więcej widział posągów przedstawiających zwierzęta, ale nie było wśród nich takiego, który byłby w całości. W trzydziestej już chyba szóstej komnacie, coś się odmieniło. Na postumentach stali ludzie. Te postacie również były pokruszone, a ich twarze miały smutny wyraz. Nagle dobiegł do jego uszu niespodziewany piękny dźwięk. W głębi zamku ktoś się śmiał!

Michał przyspieszył kroku. W jednej z mijanych sal chłopiec zatrzymał się zdziwiony. Stały tu dwie figury zupełnie niezniszczone. Jedna przedstawiała radosną dziewczynkę, a druga pieska stojącego na dwóch łapkach. Nagle śmiech zabrzmiał po raz drugi, tym razem bardzo blisko i mały odkrywca ruszył w stronę kolejnych drzwi. Na progu stanął olśniony.

Komnata kształtem przypominała gotycką katedrę. Pośrodku, w wielkiej kryształowej misie, rosło drzewo o złotym pniu i srebrnych liściach. Na ścianach widniały kunsztownie wykonane płaskorzeźby. Posadzka z rubinów i sufit ze szmaragdów błyszczały niesamowicie. Nagle uwagę Michała przykuło coś zaskakującego. Naprzeciwko niego stała taka sama dziewczynka jaką widział kilka minut temu w poprzedniej sali, w towarzystwie kamiennego psa, którego żywa postać biegała teraz dookoła próbując złapać swój ogon.

– Jak masz na imię i skąd przybywasz? – spytała dziewczynka podchodząc nieco bliżej.

– Nazywam się Michał Stoford i jestem z Warszawy.

– Ja mam na imię Riviet, a to jest Volgiś.

Na dźwięk swojego imienia szczeniaczek podskoczył i zaczął merdać ogonkiem.

– Gdzie ja jestem? – spytał Michał.

– W Rzeźboświecie.

– Czy to miejsce nazywa się tak, z powodu tych licznych posągów?

– Niezupełnie. Raczej dlatego, że od nich zależy nasze trwanie. Tam pod drzewem – dziewczynka wskazała kryształową misę – była woda życia. Gdy kropla rubinowej żywicy z tego drzewa wpadała do niej, gdzieś w obrębie pałacu, tworzył się posąg. Po chwili z figury wychodziła postać, która była żywą kopią swojego pomnika.

– To bardzo ciekawe! Czy wasze figury starzeją się razem z wami?

– Nie. Jeśli ktoś przyszedł na świat jako dziecko, dzieckiem zostanie na zawsze.

– Czy są tu również dorośli?

– Byli...

– Co masz na myśli? Czy teraz ich już nie ma?

– Niestety! Ja jestem ostatnim człowiekiem, który mieszka w tym miejscu.

– To wy tu nie żyjecie wiecznie?

– Nie. Istniejemy, dopóki nie zniszczą się nasze posągi.

– A dlaczego nie powstają nowe rzeźby?

– Dwieście trzydzieści sześć lat temu była wielka bitwa. Podczas gdy armie prowadziły ze sobą zażartą walkę, mały oddział nieprzyjaciół wtargnął do miasta. Najeźdźcy dotarli do tej oto komnaty. Toporami rozbili misę, która wówczas była jeszcze z kamienia i rozlali wodę życia, bez której nie mogą powstawać nowe posągi. Jakiś czas później było trzęsienie ziemi. Wszystkie figury, dotychczas niezniszczone, pokruszyły się.

– To bardzo smutna historia, ale jakim cudem ty i Volgiś przeżyliście, skoro, jak powiedziałeś, żadna rzeźba nie ocalała?

– Woda życia wsiąkła w ziemię, ale dwie krople zostały na kamieniu obok drzewa. Gdy rubinowa żywica zmieszała się z nimi – powstały nasze posągi.

Michał myślał nad położeniem mieszkańców Rzeźboświata i zastanawiał się, czy nie mogli uciec przed trzęsieniem ziemi.

– A czy nie było żadnej drogi ratunku? – zapytał.

– Jediną możliwością byłoby przeniesienie się do miejsca, którym rządzą inne prawa istnienia, ale tego nie możemy zrobić bez

pomocy jakiegoś cudzoziemca. Teraz ty mi opowiedz coś o sobie i koniecznie powiedz, jak się tu znalazłeś.

Michał opowiedział jej więc o swoim domu, o tym, że jego chora matka jest dla niego bardzo dobra, i o tym jak znalazł magiczny kwiat, który przeniósł go do Rzeźboświata.

Gdy chłopiec doszedł do momentu, w którym opisywał swoją podróż przez zrujnowane miasto, Riviet podbiegła do niego i złapała go za rękę. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Co się stało? – spytał Michał, który nie zauważył nic, czego można by się bać.

Dziewczynka wskazała na drzewo. Jego gałęzie i liście drżały.

– Zaczyna się trzęsienie ziemi – wyszeptała. – Musimy uciekać!

– Dokąd?

– Jest tylko jedna możliwość.

– To znaczy?

– Musimy przenieść się do innego świata.

– Wiesz jak to zrobić?

– Nie, ale wiem, jak się dowiedzieć.

– Jak?

– Musimy wspiąć się na strażnicę Vist. Znajduje się tam Księga Wiedzy.

Nie zwlekając, dziewczynka chwyciła Volgisia na ręce i pobiegła w stronę wysokiej wieży. Michał pobiegł za nią. Gdy dotarli do celu chłopiec jęknął. Wieża była tak wysoka, że jej szczyt ginął za zasłoną chmur. Nagle ziemia zatrzęsała się pod nogami dzieci.

– Szybko! Musimy się pośpieszyć! – krzyknęła Riviet. – Mamy mało czasu!

Przeszli przez zbutwiałe, zwisające na jednym zawiasie drzwi i zaczęli iść krętymi schodami prowadzącymi stromo pod górę. Marmurowe ściany pokrywały dziwne zdobienia kształtem przypominające sowy.

– Dlaczego wszędzie są tu wyrzeźbione sowy? – spytał Michał, próbując nadążyć za swoją nową znajomą.

– Tu znajduje się Księga Wiedzy, a sowa jest symbolem mądrości.

– To tak samo jak u nas!

Po pewnym czasie Riviet zatrzymała się i krzyknęła radośnie do Michała, który był nieco w tyle.

– Szybko, to tu!

Chłopiec zebrał wszystkie siły, by przebyć ostatni kawałek drogi i stanął obok koleżanki. Teraz oboje wpatrywali się we wrota do komnaty wiedzy. Całe zrobione były ze złota i ozdobione drogimi kamieniami, które układały się w kształt sowy.

– No to nam się udało! – wykrzyknął Michał z tryumfem.

– Jeszcze nie całkiem. Będiesz mógł to powiedzieć dopiero, kiedy przeniesiemy się do innego świata.

Teraz największym problemem było otworenie drzwi. Gdy się to nareszcie udało, Riviet podbiegła do stołu, na którym leżała pięknie zdobiona księga.

– Czy tu można znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania? – spytał chłopiec.

– Tak. Dzięki niej poznałam historię mojego świata i dowiedziałam się wszystkiego, co wiem. Teraz daj mi się skupić.

Po kilku minutach przewracania kartek, dziewczynka przywołała swego towarzysza i podała mu księgę. Michał przeczytał głośno następujące słowa:

„Podróżowanie między światami wymaga obecności obcoświatowca.

1. Złapać za rękę cudzoziemca.

2. Uśmiechnąć się do siebie.

3. Podskoczyć raz na lewej nodze i trzy razy na prawej

4. Wypowiedzieć jednocześnie nazwę wybranego świata.

* Cudzoziemcy mogą samodzielnie przenosić się do swojego świata”.

– To takie proste! – wykrzyknęła Riviet – Gdzie się przenosimy?

– Skąd pochodzi woda życia? – spytał Michał.

– Jej źródło znajduje się w Linever.

– W takim razie schrońmy się właśnie tam. Przy okazji zabierzemy stamtąd trochę wody i spróbujemy ożywić twój świat!

– To świetny pomysł! Możemy pomóc również twojej mamie.

– Co masz na myśli?

– Mówiłeś mi, że jest chora, a ta woda leczy wszystkie choroby.

– To wspaniale!!!

– Wystarczy jej tylko jeden łyk – to mówiąc dziewczynka podała Michałowi mały, kryształowy flakonik. – A teraz szybko złapmy się za ręce.

Dzieci podały sobie dłonie, a Riviet dodatkowo chwyciła łapkę szczeniaczka. Kiedy dokonali rytuału, wszystko zawirowało i przesłoniło się mgłą. Po kilku sekundach leżeli już na podściółce lasu.

– Chyba nam się udało! – ucieszył się Michał – Czy tu są jakieś miasta?

– Chyba tak, przecież ludzie muszą gdzieś mieszkać.

– Proponuję iść po prostu na przód. Tym sposobem na pewno gdzieś dojdziemy.

– Świetny pomysł, ale...

Dziewczynka nagle urwała i padła na ziemię pokazując jednocześnie ręką, by jej towarzysz zrobił to samo. Chłopiec przykucnął w gąszczu paproci i wstrzymał oddech. Ku nim szła grupa żołnierzy. U pasa mieli miecze w bogato zdobionych pochwach, w rękach trzymali łuki. Michał zauważył, że hełmy nowoprzybyłych zdobią pęki pawich piór, a uwagę Riviet przykuło godło, które każdy z nich miał przypięte na ramieniu. Widniał na nim strumień, obok którego kroczył paw w koronie. Dzieci z całego serca pragnęły, by Lineverianie się oddalili. Nagle stało się coś strasznego! Michał, który przez cały czas kręcił się nie mogąc znaleźć sobie wygodnej pozycji, natrafił ręką na zeschniętą gałązkę, która z trzaskiem załamała się pod nim.

– Tam coś jest! – krzyknął jeden z żołnierzy – Może to jakieś zwierzę!

Jego towarzysze napięli łuki i wycelowali w kępę paproci. Michał nie widząc innego wyjścia wstał woląc spotkać się z Lineverianami twarzą w twarz niż zostać ugodzonym zielonopiórą strzałą.

– Nie strzelajcie! – krzyknął dowódca oddziału – Złapcie go, żeby nie uciekł!

Wojownicy związali chłopcu ręce i poprowadzili przed sobą.

Przez cały ten czas Riviet leżała cicho, tuląc przerażonego pieska. Gdy żołnierze z jeńcem oddalili się o kilkanaście kroków, wstała, wzięła Volgisia na ręce i bezszelestnie podążyła za gromadą. W ten sposób Lineverianie wyprowadzili dzieci z lasu. Szli teraz przez kamienne miasto, kierując się w stronę głównego rynku nazwanego Placem Restira na cześć pierwszego króla Linever. Teraz nad tym światem panował Glotrist. Michał zrozumiał z rozmów wojowników, że właśnie do niego go prowadzą. Zastanawiał się jakie pytania zada mu władca i co on mu odpowie. Z zamyślenia wyrwał go donośny głos dowódcy.

– Musisz nas wpuścić Doriamie! Mamy jeńca dla króla!

– Kogo złapaliście Mastirze? – Strażnik bramy przyglądał się jeńcowi z zainteresowaniem.

– Nie wiemy, kto to jest. Z rozkazu króla każdego podejrzanego typka przyprowadzamy do niego.

– Bardzo słusznie. Jego królewska mość nie lubi, jeśli ktoś sprzeciwia się jego woli.

Doriam otworzył bramę i zasalutował. Michał został doprowadzony przed oblicze króla Glitrista, zasiadającego na turkusowym tronie.

– Kim jesteś? – spytał władca mocnym, basowym głosem.

– Nazywam się Michał Stofford.

– Cóż za dziwne imię.

– W naszym świecie jest dość popularne.

– To znaczy, że nie jesteś stąd?

– Jest tak jak mówisz – potwierdził chłopiec, którego od zawsze uczono, że jeśli się nie wie co powiedzieć, prawda jest najlepszym rozwiązaniem.

– Co robisz na moich ziemiach?

Na to pytanie Michał nie znalazł odpowiedzi. Nie chciał kłamać, a mówiąc prawdę zdradziłby Riviet, bo przecież to ona była powodem tej międzyświatowej wycieczki.

W końcu przemówił Mastir.

– Panie, znaleźliśmy go w lesie Dort. Siedział ukryty w gąszczu paproci i wyglądało to tak jakby nie chciał się z nami spotkać.

– To prawda – rzekł Michał. – Weźcie jednak pod uwagę, dostojni panowie, iż wcale nie wiedziałem kim jesteście. Nie paliłem się więc do spotkania z kimś, kto mógł się okazać złodziejem lub mordercą, a zważcie, iż byłem wobec was bezbronny.

– To cię nie usprawiedliwia! – zagrmiał król. – Gdybyś miał dobre zamiary, nie bałbyś się ich wyznać!

– Nie wiem, czy moja odpowiedź cię zadowoli, ale mimo to wiem, iż nie mam żadnych złych zamiarów w stosunku do ciebie i twoich poddanych.

– Więc po co tu przybyłeś?

Michał milczał.

– Zamknijcie go w lochu! – rozkazał Glotrist. – Może mu to rozwiąże język.

Żołnierze zaprowadzili chłopca do podziemi i zamknęli w ciasnej celi.

Tymczasem Riviet próbowała znaleźć źródło wody życia. Nagle usłyszała czyjś miły i przyjazny głos.

– Czy to twój piesek? Jest naprawdę śliczny.

Riviet odwróciła się i ujrzała dziewczynkę mniej więcej w swoim wieku. Obok niej na ziemi stały dwa wiadra wypełnione wodą.

– Tak, Volgiś jest mój – potwierdziła. – Jak masz na imię?

– Nazywam się Linetta. A ty?

– Ja jestem Riviet. Dokąd niesiesz te wiadra?

– Do pałacu. Są wypełnione wodą życia, którą nasz król bardzo lubi.

– Może mogłabym ci pomóc?

– Byłabym niezmiernie wdzięczna!

Dziewczynki wzięły po jednym wiadrze i ruszyły w stronę zamku. Podczas rozmowy Riviet starała się dowiedzieć jak najwięcej o położeniu lochów, a nic niepodejrzewająca Linetta zaraz je wyjawiała. Gdy dotarły do celu, Riviet wymknęła się do podziemia i odnalazła celę Michała.

– Podaj mi rękę! – krzyknęła wkładając dłoń przez kraty. – Mam wodę! Uciekamy!

Dzieci powtórzyły cały rytuał przenoszenia się i zniknęły z Linnever. W Rzeźboświecie Riviet wlała wodę życia do kryształowej misy, a Michał zaczerpnął trochę dla swojej mamy. Dziewczynka włożyła do wiadra Linetty pięknie wyrzeźbiony w kamieniu kwiat z napisem „Dziękuję” i z pomocą Michała oddała je potajemnie właścicielce.

– Teraz musimy się pożegnać – rzekł smutno chłopiec.

– Tak, ale na zawsze zostaniemy przyjaciółmi.

Michał uściśnął rękę Riviet i poklepał Volgisia na pożegnanie. Zamknął oczy i wypowiedział nazwę „Ziemia”. Gdy je znowu otworzył, zobaczył, że leży na trawie przed swoim domem z „przeprosinowym” bukietem w ręku.

– Więc to był tylko sen... Szkoda, że naprawdę nie znalazłem leku dla mamy.

Po policzku Michała spłynęła łza. Chłopiec sięgnął do kieszeni po chusteczkę, ale to, na co natrafiła jego ręka, na pewno chusteczką nie było. Po wyjęciu okazało się, że jest to kryształowy flakonik zawierający wodę życia. Nie namyślając się długo Michał popędził do pokoju mamy z nadzieją w sercu. Po drodze nieomal wpadł na Kasię wracającą ze swojego pokoju.

– To dla ciebie! – wykrzyknął podając jej kwiaty. – Zachowałem się naprawdę okropnie i bardzo cię za to przepraszam.

– Śliczny bukiet. – rzekła Kasia zaskoczona wystąpieniem Michała – Zasuszę go w zielniku.

– Kiedyś pokażę ci najpiękniejszy kwiat. Kwiat zmieniający losy światów i ludzi.

Dziewczynka zastanawiała się nad znaczeniem ostatnich słów brata, podczas gdy Michał wpadł do pokoju mamy i nalał jej do szklanki leczniczy płyn. Po jego wypiciu Anna Stoford wstała, a na jej twarzy malował się uśmiech.

– Czuję się zupełnie dobrze! Jak to możliwe?

Chłopiec opowiedział jej całą swoją przygodę. W momencie, gdy Michał skończył, do pokoju wszedł tata, niosąc na tacy obiad. W drzwiach stanął jak wryty widząc swoją żonę na środku pokoju z uśmiechem na twarzy.

– Weź ten obiad do kuchni – rzekła Anna Stafford. – Zjem razem z wami.

Michał podszedł do taty i wziął z jego drżących rąk tacę.

– Ja ją zaniosę – powiedział. – Ty porozmawiaj z mamą.

W kuchni przy rodzinnym stole siedziały trzy dziewczynki rozmawiając o nowym piesku, którego niedawno dzieci dostały od taty. Gdy Michał podszedł i postawił na stole nietknięty obiad mamy, wszystkie naraz wstały i pobiegły zobaczyć, co się stało.

Tymczasem chłopiec wymknął się do ogrodu z rękawiczkami na rękach, w których trzymał złoto-różową doniczkę. Podszedł do wielkiego drzewa i przesadził czarodziejską lilie, którą następnie umieścił w swoim pokoju. Przy pomocy kwiatu często odwiedzał swoją przyjaciółkę w Rzeźboświecie. Raz nawet zabrał ze sobą siostry, a te szybko zaprzyjaźniły się z Riviet. We wszystkich zabawach uczestniczył również Volgiś, który zakolegował się z Astirem – pieskiem Stoffordów.

Jeśli ty przeniósłbyś się kiedyś do Rzeźboświata i zechciał zwiedzić kamienne miasto, za każdym zakrętem zobaczyłbyś jakąś scenę z podróży Michała, Riviet i Volgisia, którzy zaliczeni zostali do najsłynniejszych bohaterów historycznych.

Ewa Świerk (Miss Tree), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 2 w Dębicy

Pod płaczącą wierzbą

Nie mogłem spać przez krzyki rodziców. Leżałem na łóżku i próbowałem się wyciszyć. Niestety nie jest to możliwe, kiedy ktoś krzyczy. Znowu kłócili się o jakąś bzdurę, jak to mają w zwyczaju. Dawniej próbowałem ich pogodzić, ale teraz wiem, że nie jestem w stanie tego zrobić.

Przychodziłem ze szkoły do domu, mama wracała ze szpitala, tata z gabinetu psychologicznego. Oboje zmęczeni życiem, oboje tacy podobni, a jednocześnie tacy różni. Wszystko może być

powodem do kłótni, a szczególnie dla moich rodziców. Zaraz po zjedzeniu obiadu szedłem do swojego pokoju, odrabiałem lekcje i słuchałem muzyki, żebym znów nie musiał słuchać tych krzyków. „I tak już nie usnę” – pomyślałem. Jak w transie cichuteńko przebrałem się z piżamy w wygodną kurtkę i zacząłem schodzić po schodach. Mało widziałem w ciemnościach, w końcu była noc. Rodzice chyba poszli spać na fotel i kanapę w salonie, bo w kuchni światło się nie świeciło. Wyszedłem i bezgłośnie zamknąłem za sobą drzwi domu. Poszedłem do ogrodu i ujrzałem naszą wierzbę płaczącą. Usiadłem pod nią i zacząłem rozmyślać o wszystkim. Zawsze tak robię, kiedy mam dość. Sam nie wiem kiedy, ale zacząłem płakać. Tak, chłopak beczał. Pod płaczącą wierzbą. Płakałem i płakałem, sam nie wiem ile to trwało. Nagle gałązki drzewa zaczęły się lekko poruszać, tak samo jak listki. Wiatr wiał. Cała wierzba niespodziewanie szybko zamykała swoje opuszczone, smutne gałęzie, tworząc wielką kopułę. Wszystko ustało, tak samo prędko, jak się zaczęło. Drzewo spokojnie stało nadal wrośnięte w ziemię. Pomyślałem sobie, że przecież muszę wrócić do domu, do własnego łóżka, tam będzie mi najłatwiej. Poszedłem spokojnie, zamknąłem za sobą drzwi, wszedłem na schody i ułożyłem się wygodnie. Usnąłem i obudziłem się, sam o tym nie pamiętając.

Kiedy zjadłem śniadanie mama i tata byli w niezwykle dobrym humorze. Ciągłe uśmiechali się do siebie i opowiadali żarty. Zastanawiałem się, dlaczego nastrój im się polepszył, ale byłem zbyt szczęśliwy by się o to spytać.

– Może pójdziemy na spacer, moi drodzy? – zapytała wesoła mama.

– Cudowny pomysł, kochanie – odpowiedział równie radosny tata. Wyszliśmy do parku. Szliśmy pięknymi alejkami i rozmawialiśmy o tym, co możemy jeszcze zrobić. Zaczęliśmy podziwiać fontanny i chlapać się wodą. Byłem bardzo szczęśliwy, ale również zszokowany. Jakim cudem oni chcieli w ogóle razem gdzieś wyjść? Cemu ze mną rozmawiają? Przecież nigdy tego nie robią.

– Kupimy sobie lody waniliowe? – spytał tata, a ja i mama zareagowaliśmy z ochotą. Zaczęliśmy zajadać się przepysznyimi smakołykami, a ja w końcu odważyłem się zapytać:

– Mamo, dlaczego się nie kłóćcie? Co się dzieje? Bo ja już nic nie rozumiem.

– A dlaczego mielibyśmy się kłócić? Nie ma do tego żadnych powodów. Jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną, nieprawdaż? Pamiętaj, z każdej opresji da się wyjść, wystarczy się postarać. Nie myśl o tym, co było dawniej, ciesz się teraźniejszością.

– Dobrze, mamo.

Wróciliśmy do domu. Zjedliśmy przepyszny obiad. Nastął wieczór, a my obejrzeliśmy film, którego nawet nie pamiętam. Poszedłem spać.

Rozpoczął nowy dzień, mnóstwo nowych możliwości. Mogę porozmawiać z rodzicami o tylu rzeczach. Zaproponowałem im piknik w ogrodzie. Zgodzili się z ogromnym entuzjazmem.

– Jak tam u ciebie w szkole, synku? – zapytała mama z ciekawością.

Byłem taki szczęśliwy, że spytała. Nigdy tego nie robi.

– Dobrze się uczysz? A może masz kłopoty z nauką? – dopytywała. Zapewniłem, że wszystko w porządku.

– Nigdy nie miałby kłopotów, nie nasz syn. To mądry i dojrzały chłopak – dodał tata.

Byłem szczęśliwy, że tata tak mnie chwali, ale nie zgadzam się zbyt z tym, co powiedział. „Dojrzały chłopak” – raczej nikt, kto jest dojrzały, nie płacze pod drzewem jak małe dziecko. Nagle rodzice zrobili coś, co bardzo mnie zaskoczyło. Przytulili mnie. Tak, przytulili.

– Kocham Cię – powiedziała mama – pamiętaj o tym.

– A ja was – odpowiedziałem i wtuliłem się w ich ramiona. Czułem się kochany przez rodziców. Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie, ale nic nie trwa wiecznie. Wiatr całkowicie niespodziewanie znowu zaczął wiać. Gałązki drzew zacierały się, tak samo jak listki. Stworzyły wielką kopułę. Wiatr zaczął przeszkadzać mi

w widzeniu czegokolwiek, ale widziałem, że rodzice nagle zniknęli. Ja zresztą też.

To wszystko było snem. Obudziłem się przez krzyki rodziców.

Nina Dreger (Under10), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 48 w Gdańsku

Szklane przeznaczenie

To było niesamowite. Jak rozbłysk światła i zapadnięcie ciemności jednocześnie. Gwiazdy wybuchały mi przed oczami. Trwało tylko chwilę, ale zdawało mi się, jakby ciągnęło się latami. Byłem podekscytowany. Nagle wszystko zawirowało nade mną i zapadła ciemność.

– Witaj Marsie – z letargu wyrwał mnie spokojny, cichy głos.

A no właśnie. Nazywam się Mars i jestem kotem. Zapomniałem się przedstawić.

Jak wyglądam? Zwyczajnie. Mam ciemnoszarą, prawie czarną krótką sierść i żółte oczy. Widziałem się kiedyś w tym szklanym czymś. Jak to ludzie nazywają? Chyba lustro. Powoli odzyskiwałem świadomość. Spojrzałem na nieznajomego. Był dużym, długowłosym kotem o jasnoszarej sierści w ciemniejsze pręgi. Jego szafirowe oczy patrzyły na mnie przyjaźnie.

– W-witaj. Kim jesteś? – zapytałem.

– Jestem Syriusz – przedstawił się. – Witaj na Pejzażu Lśnienia.

– Czy ja... umarłem?

– Nie. Zasnąłeś i to wszystko Ci się śni, ale kiedyś tu trafisz.

Wstałem i rozejrzałem się. Piaszczysty krajobraz przede mną rozciągał się aż po horyzont. Niebo było ciemnogrnatowe. Nie przypominał mi niczego, co znam. Wszystko otaczała niebieska poświata koloru oczu Syriusza.

– Co to za miejsce? – zapytałem.

– Każdy kot tutaj trafi po swojej śmierci, ale zanim umrze odwiedza Pejzaż Lśnienia w swoich snach – odparł Syriusz.

- Czyli niedługo umrę?! – spytałem przerażony.
 - To zależy tylko od ciebie – odpowiedział ze spokojem.
 - Co masz na myśli?
 - Umierasz wtedy, gdy wykonasz to, co było ci pisane od początku twojego istnienia. Jeśli tego nie zrobisz, odradzasz się w kolejnym życiu, pamiętając swoje poprzednie. Będzie to tak długo trwać, jak długo będziesz odwlekać swoją misję na ziemi. Jednak jeśli po upływie dziewięciu żywotów nie wykonasz swego zadania, będziesz skazany na wieczne wykonywanie tego, co ja teraz robię – zakończył.
 - Czyli informowanie mnie o tym?
 - Po części tak. Będziesz wiecznie żyć w tym miejscu, ale nie będziesz mógł korzystać z jego dobrodziejstw. Twoim zadaniem będzie oprowadzanie kotów, które się tu zjawia, jednak nie będziesz mógł doświadczyć tego, co one.
 - A czego one doświadczają? – zapytałem.
 - Radości z dobrze przeżytego życia oraz wiecznego zadowolenia. Nie umiem ci tego opisać. To trzeba po prostu przeżyć, inaczej marne szanse, że zrozumiesz.
 - Czy tutaj jest tylko pustynia? – spytałem.
 - Chodź za mną to się dowiesz – powiedział Syriusz i ruszył przed siebie.
- Okazało się, że szybko wyszliśmy z pustyni, która wydawała mi się bezkresna. Napotkaliśmy rzekę stojącą w miejscu, co bardzo mnie zdziwiło.
- To jest Rzeka Wyboru. Płynięcie na zachód daje życie, a w przeciwną stronę je odbiera.
 - Nie powinno być odwrotnie? – spytałem.
 - Powinno, ale to długa historia, kiedyś może ją poznasz. Ty też będziesz musiał przepłynąć przez tę rzekę do świata żywych, kiedy zaczniesz wschodzić słońce. Każdy kot, który chce się stąd wydostać musi to zrobić.
 - Dlaczego akurat wtedy?

– Dlatego, że kiedy zacznie się dzień znikniesz stąd. Najpierw poczujesz mrowienie w lewej, tylnej łapie. To będzie początek. Potem zaczniesz być coraz bardziej wyblakły, aż w końcu znikniesz stąd.

– To... chyba dobrze, nie?

– Owszem przypuszczam, że chciałbyś wrócić na Ziemię. Jednak jeśli zakończysz swój pobyt tutaj w ten sposób, wtedy nie wrócisz na Ziemię w takim sensie, jakiego oczekujesz. Twoje ciało przestanie istnieć, a twój duch będzie błądził po świecie żywych i Pejzażu Życia, nie mogąc osiąść w żadnym z nich.

Przeraziłem się tą myślą. Syriusz podszedł do brzegu rzeki i dał mi znak, abym zrobił to samo. Wpatrywałem się w wodę, ale nie widziałem swojego odbicia. To było dziwne.

– Chodźmy dalej – powiedział mój przewodnik i skierował się na północ.

Szliśmy kamienistą ścieżką. Pierwszą rzeczą, która przykuła moją uwagę, były ślady pazurów zostawione na kamieniach. Ciemno-granatowe niebo stało się czarne. Byłem niespokojny. Na końcu ścieżki rośło olbrzymie, zdrowe drzewo pełne soczystych, zielonych liści. Poczułem spokój, patrząc na nie. Drzewo zupełnie nie pasowało do tej mrocznej atmosfery. Kiedy podeszliśmy bliżej, zorientowałem się, że kora drzewa jest popękana i naznaczona śladami pazurów. Skierowałem swój wzrok ku wyższym partiom, zobaczyłem, że na gałęzi siedzi kotka wyglądająca jak sobowtór Syriusza, z tą różnicą, że była od niego znacznie mniejsza.

– Lilio, chodź poznać naszego gościa! – zawołał mój przewodnik i kotka zeskoczyła z gałęzi.

– Witaj Syriuszu! Kto to? – zapytała i spojrzała na mnie serdecznie.

– Jestem Mars – przedstawiłem się. – Miło mi cię poznać.

– Chciałem pokazać mu Drzewo Rozmyślań, a Ścieżka Bojaźni jest najlepszą drogą, aby się tam dostać – powiedział przewodnik.

– Masz rację, Syriuszu – odparła Lilia i dodała, patrząc na mnie. – Chodź za mną.

Kotka wskoczyła na najniższą gałąź i zaczęła wdrapywać się coraz wyżej i wyżej. Podążałem za nią. Kiedy siedzieliśmy na najwyższym konarze, zapytała mnie:

- Co czułeś, kiedy szedłeś tą ścieżką?
- Niepokój. Wydawało mi się, że za chwilę może wydarzyć się coś złego. Jak tylko spojrzałem na Drzewo, poczułem się, jakby było oazą na tej pustyni. Chciałem jak najszybciej do niego podejść.
- Lilia pokiwała głową i spojrzała na mnie poważnie.
- Tak działa Ścieżka Bojaźni. Idąc nią, czujesz strach i niepokój, ponieważ na jej obrzeżach czają się wszystkie twoje wspomnienia, kiedy robiłeś coś złego. Nie pamiętasz konkretnych wydarzeń, ponieważ są one w twojej podświadomości, a skoro ich nie pamiętasz, czujesz jeszcze większy strach, ponieważ najbardziej przeraża nas to, co nieznane. Dlatego na ścieżce są ślady pazurów. Każde zadrapanie oznacza jedno popełnione zło. Podobna droga istnieje również w twojej podświadomości. Dlatego jest nazywana Ścieżką Bojaźni – wytłumaczyła Lilia.
- A co z Drzewem Rozmyślań? – spytałem.
- Jak już mówiłam, idąc drogą, odczuwasz strach. Dlatego kiedy widzisz drzewo, napawasz się spokojem. Roślina jest duża i zdrowa, o zupełnie inna niż wszystko na tym pustkowiu. Chcesz jak najszybciej do niego podejść. Kiedy już tu jesteś, zaczynasz rozmyślać. Możesz za to podziękować drzewu. To ono ma na ciebie taki wpływ i stąd też jego nazwa.
- Teraz już wiem... – szepnąłem.
- Przypuszczam, że Syriusz poszedł pokazać Pustynię Życia innym, nowym kotom. Przepracowuje się. Radzę ci pójść do Nieba dla psów. Nie musisz się ich bać, będą trochę ciekawskie, ale powiedzą ci jak się dostać do Ognistego Jeziora. Ja, niestety, nie wiem, jak tam dojść. Jestem tu zbyt krótko – powiedziała kotka.
- Jak mam się tam dostać? – zapytałem.
- A niby gdzie jest niebo? Podskocz i tyle – odparła Lilia i zaczęła myć sobie łapy.
- Nie chciało mi się wierzyć, ale wykonałem jej polecenie. Nic się nie zadziało, nie dostałem się do żadnego Nieba, tylko spadłem z Drzewa Rozmyślań.
- Spróbuj jeszcze raz! – zawołała kotka – Uwierz w siebie i w to, co ma się wydarzyć!

Wiara w siebie, tak? Dobra, spróbuję jeszcze raz. Skoncentrowałem się, pomyślałem chwilę i wybiłem się w powietrze. Zrobiłem chyba najwyższy skok w moim życiu, ale to nic nie dało. Kręciłem się przez chwilę w powietrzu i znowu spadłem.

– Jeszcze raz! – krzyknęła Lilia.

Skoncentrowałem się raz jeszcze, tym razem dłużej i intensywniej. Wierzę w siebie, wierzę... Zaraz podskoczę tak wysoko, że znajdę się w Niebie dla psów! – Zawołałem i skoczyłem. Wybiłem się mniej więcej wysokość Drzewa Rozmyślań, zrobiłem kilka piruetów w powietrzu i poleciałem w górę. Nie pamiętam mojej podróży do Nieba. Zemdlałem. Zdołałem jednak jak przez mgłę, usłyszeć krzyk kotki:

– Pamiętaj Marsie, Syriusz cię odnajdzie! – zawołała coś jeszcze, ale już tego nie słyszałem.

– Żyje czy nie? Co z nim? – obcy głos skrzeczał mi nad uchem. – Obudź się!

Powoli otworzyłem oczy i zamarłem. Nade mną pochylały się dwa wielkie jasnobrązowe psy. Na początku bardzo się przeraziłem, ale zaraz przypomniałem sobie słowa Lilii; „Nie musisz się ich bać”. Powoli się uspokoiłem, spojrzałem na zwierzęta i zapytałem:

– Gdzie mam pójść, żeby dostać się do Ognistego Jeziora?

– Odzyskałeś mowę! Pewnie jesteś z Pustyni Życia, dawno nikt z nich nas nie odwiedził. Jesteś nowy? Jak masz na imię? Gdzie mieszkałeś, kiedy jeszcze żyłeś? – posypały się pytania.

– Jestem Mars, jeszcze żyję, po prostu zasnąłem i obudziłem się na pustyni! Tak, jestem tu nowy i powiedzcie mi, jak się dostać do Ognistego Jeziora! – wykrzyczałem.

– Dobra, nie wrzeszcz – powiedział jeden z psów. – Jak chcesz się tam dostać, to trafiłeś do złego wymiaru. Tu nie ma żadnego jeziora ognia, czy jak ono tam się nazywa...

Lilio, dlaczego? – zawołałem w myślach. Oni są jeszcze bardziej ciekawscy niż sądziłem, ale dobra, muszę wyciągnąć z nich jakąś przydatną informację.

– A znacie kogoś kto, może wie, gdzie ono jest? – spytałem.

– Pewnie, że znamy! – odparł drugi pies. – Widzisz tamtą dziurę?
– wskazał głową niewielki dół. – Wskocz tam – powiedział i spoj-
rzał rozbawiony na swojego towarzysza, a ten odpowiedział mu
tym samym.

Nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć, ale nie widziałem innej
opcji. Pobiegłem w kierunku dziury i bez wahania wskoczyłem
w nią. Tym razem jednak nie zemdlałem. Podczas teleportacji mia-
łem dużo czasu, by przemyśleć ostatnie wydarzenia. Przypomnia-
łem sobie słowa Lili: „Pamiętaj Marsie, Syriusz cię odnajdzie”.

W końcu jednak moja podróż się zakończyła i znalazłem się
w lesie. Rosło w nim pełno ciemnych drzew, których normalnie
bym się bał. Tym razem jednak tak się nie stało. Wręcz przeciw-
nie, rośliny dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Rozejrzałem
się i po mojej lewej stronie majaczył się jakiś duży, kwadratowy
kształt koloru imbiru. Zacząłem iść w jego kierunku i ku mojemu
smutkowi wyszedłem z lasu. Tajemnicza rzecz okazała się mieć
bardzo niecodzienną strukturę. Widać było dziury różnej wielko-
ści i odciski kocich i psich łap. Położyłem swoją na tym obiekcie.
Tak powstał mój odcisk. Zajrzałem do środka największej dziury
i zobaczyłem Ścieżkę Bojaźni. Spojrzałem w inny otwór i ujrzałem
dobrze znaną mi rzekę, którą tak niedawno widziałem. W następ-
nej dziurze ujrzałem jezioro, co natychmiast przykuło moją uwa-
gę. Wyglądało tak spokojnie, że aż zachęcało by tam wypoczywać.
Nagle teren za zbiornikiem wodnym zamienił się w ścianę ognia
i wszystko zaczęło być niszczone przez niebezpieczny żywioł.
– Ogniste Jezioro! – zawołałem i nie wiedząc czemu wskoczyłem
do dziury.

Podróż trwała tak krótko, że jej nie pamiętam. Kiedy byłem już na
miejscu, zorientowałem się, że ogień zniknął, a roślinność i teren
w pobliżu jest nienaruszony. Spojrzałem w górę, miałem wielką
nadzieję ujrzeć księżyc. Od zawsze jego widok mnie uspokajał.
Tym razem moja prośba została wysłuchana, gdyż tuż nade mną
zawisł cienki, srebrzysty sierp. Znalazłem wśród krzewów mię-
ką kępę trawy. Położyłem się na niej i zacząłem napawać się wi-
dokiem księżyca. Nagle sierp przemienił się w pełny księżyc i po

chwili spłynęła z niego dobrze znana mi postać. To była Lilia. Patrzyła cały czas w moją stronę, jednak mogłem wywnioskować, że mnie nie zauważyła. Poczułem mrowienie w tylnej, lewej nodze. O nie! – zawołałem rozpaczliwie w myślach. Obejrzałem się powoli za siebie, a to, co ujrzałem, tylko spotęgowało mój niepokój. Powoli niebo zaczynało robić się szare, a ja natychmiast zrozumiałem, że niedługo mogę skończyć jako duch. Wpatrywałem się przerażony we wschodzące słońce, kiedy nagle spłynął z niego zło-cisty kocur. Zupełnie tak, jak Lilia spłynęła z księżycy... Księżyc! Niestety, na niebie nie było nic oprócz słońca i jednej, samotnej gwiazdy, która właśnie zaczęła spadać. Chwila... Czy ona spadła na Ziemię?! Teraz to nawet nie jest gwiazda. To Syriusz! Trzy koty spojrzały w moim kierunku i zawołały:
– Marsie, nie znalazłeś Ognistego Jeziora! Od teraz jesteś duchem! Wtedy się obudziłem.

Liryczne Jasło

mbp
www.mbp.jaslo.pl

Miejska
Biblioteka
Publiczna
w Jasle



Kategoria II

Szkoły podstawowe

klasy 7-8

Wiersze

Miejsce 1

- 65 Dobrochna Kołoczek: *Zamałość*
66 Weronika Drewniak: *Listopad w Brescii i Bergamo*

Miejsce 2

- 71 Jakub Miklus: *Pandemia*

Miejsce 3

- 72 Zuzanna Kopczyńska: *Starość*

Wyróżnienia

- 73 Daria Walusiak: *Pantum o szczęśliwych dzieciach*
74 Nikola Bigos: *W polu i zagrodzie. Słoneczniki*
75 Bianka Biliczak: *Kołysanka dla siostry*

Opowiadania

Miejsce 1

- 76 Aleksandra Kocot: *Ślady życia*

Miejsce 2

- 85 Kacper Życzyński: *Rozważania (nie)jedynaka*

Miejsce 3

- 91 Natalia Ciepiela: *Za szkłem*

Wyróżnienia

- 95 Joanna Celi: *Sens*
98 Anna Łazarowicz: *Pudełko z wyobraźnią*
104 Oliwia Maciejewska: *Franny*
111 Natalia Paszkiewicz: *Enigmat Galdona*
118 Dawid Halerz: *Na tropie kocich łapek*

Dobrochna Kołoczek (Agatha), kl. 7
Szkoła Podstawowa
z Oddziałami Integracyjnymi nr 12
w Krakowie

Zamałość

1.

Była raz sobie jedna
pani smutna i biedna,
bowiem życia jej całość
przepełniała zamałość.

2.

Zaszumiało i zaszeleściło
trawa morska, wiatr, morze. Jak miło!

I zamałość przestłoniła zielenie,
pianomorskie szumne zatracenie
Przekrzyczała: nic się nie stało,
szeleszczącym: za mało! za mało!

3.

Szarozielona trawa
i za cicha zabawa
za codzienne miłości
i się snują bładowe
chmurno-smętno-szarawe
przezroczyści.

I ta pani za szybę spogląda
i ogląda i źle wygląda
i marzy.

4.

Trawa zieleńsza i naraz
kolor! Soczysty pomarańcz
i róż!
I wszystko tak blisko
na już!

5.

Może ta pani pewnej niedzieli
się z zakręcenia odkaruzeli.
I może jej się w głowie zakręci,
poczuje
jak się wszystko odkoloryzuje.
I będą mieli ludzie tak samo na imię
i deszcz spóźniony może czasem spadnie w zimie...
i tyle
i się odprzezroczyszą, odjaskrawią chwilę.

Weronika Drewniak (Eleanor Rigby), kl. 7
Szkoła podstawowa nr 38 w Krakowie

Listopad w Brescii i Bergamo

Pięć wierszy włoskich

I.

w Bergamo
zamiast deszczu padały same chmury
jak pióra z dziurawej poduszki
na dziedzińcu pomiędzy kamieniami
wyrosła trawa zmieniając go w łąkę
nieznanego kontynentu

i po to
żeby unicestwić przerwę
między wiekami

w Bergamo
chodziłam po mieście-górze
uczyłam się Obłoków Miłosza na pamięć
i nie patrzyłam na chmury
nurkujące obłoki
nie tak straszne jak w jego wierszu
nie szukały ludzi
żeby ich ostrzec
nie znały przyszłości
nigdy
nie znały

włoskie chmury były jak biała farba
rozchlapaną na podłodze z granatu

w Bergamo
niebo wydaje się być
tylko po to
żeby podkreślać kształty budowli

II.

tam
ochra kołysze piętnem
osiemnastowiecznej kamienicy
przełamanej beżowymi gzymsami

gzymsy w Brescii
oblane kroplami deszczu
niby zjeżdżalnie z placu zabaw

pod kamienicą stoi starszy pan
pochylony jak przed upadkiem
smutne roślinki w doniczkach na schodach
wyglądają jakby chciały dostać się
do środka jego mieszkania

wcale nie poruszają się szybko
wczoraj były tylko parę stopni niżej
jutro staną pod drzwiami
idą do góry bo
zostawiły w dole
wszystkie wspomnienia

III.

jestem w katedrze
podnoszę głowę wyginam ją do tyłu i wpatruję się
w wydrążone koło w sklepieniu
oświetlone z każdej strony

oculus

wygląda jak tęczęwka powietrza
albo wielka płaszczka
gdyby
zamiast pod wodą
pływała na niebie

kolumny narożne
podpierają balkon kamiennych słów
liść płomień malarz
ambona
niczym zepsuta budka telefoniczna
stojąca wśród świec

powieszona przy filarze
rusztowanie do myśli

parę ulic dalej
witryna *Navali Bandiere*
stoję pokazując miniaturowe flagi za szybą
mój własny program
Fun with Flags with dr Sheldon Cooper

obok rzymskiego teatru
nowe cegły wygryzają wewnątrz antycznej kolumny
inne ceglane nogi podpierają
portyk wraz z kolumną schwytaną w żelazne obręcze
jak sidła starości
tworzą kamiennego konia który jeszcze
nie umie sam stać
mimo że urodził się przed wiekami
nadal nie dorósł
do wiatru

IV.

z Brescii

pamiętam tunel
pod górą z zamkiem
przez który trzeba było przejść
– jak w filmach o podróżach w czasie –
żeby pomyśleć o późnej kolacji

w Brescii

w ogrodach Brescii
widziałam model lokomotywy

która patrzyła na pobliskie góry
żeby ujrzeć wschód w Bergamo

w Bergamo

w tamtym wyblakłym Bergamo
mieszkaliśmy w pokoju
w odgłosach Szwedów
to była czteroosobowa rodzina
głośno ze sobą rozmawiali
kiedy spałam na bardzo twardym łóżku
child in dangerment!
child in dangerment!
szeptałam w mglistą ścianę
jednak oni mnie nie słyszeli

w Bergamo
w Bergamo zamknięte muzeum
na Brescię
na Brescię spadły w końcu promienie słońca

V.

ta rzeźba wygląda jakby się roztopiła
karminowy marmur
z człowiekiem karmiącym lwa
albo czyszczącym mu zęby
popękany lew
ma na pysku czarną bliznę
łzę przeszłości przechodzącą także
przez jego puste
oko Skazy

chwilę później

patrzę na górę
podzieloną przez obłok na pół
góra otoczona niebem
chmura unosi się nad nią i
spływa jak resztki farby
po namalowaniu myśli

w murze metalowa obręcz
wisi
kiedyś
przywiązywano do niej konia
z obręczy wychodzi wąż
miedziany
wygląda jakby chciał uciec z Bergamo
odlecieć
jakby zniknąć
i zapomnieć o wszystkim
co się tu zdarzyło i jeszcze się zdarzy

by mieć tylko ten listopad
w Brescii i w Bergamo

kwiecień 2020

Jakub Miklus (Kuba.M), kl. 8
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Pandemia

Dziwne czasy
Jedzonko na wynos
Internet na zapas
Do głuchego ekranu

polonista wygłasza monolog
W kokonie ciszy
nie jestem szczęśliwy
Cisza boli
Nie gonię czasu
Nie odmadlam się na zapas
Bo po co?
Rozbieram się z samotności
Wiatr do tańca zapraszam
Niech łuska nasiona traw
Przysiada na grzbietach
wierszy
Wpadł rozdzwięczyć ciszę
co czai się za progiem
Czuję zadośćuczynienie

Zuzanna Kopczyńska (Zuzka), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 7 w Łodzi

Starość

W albumie starym
czarno-biały slajd
migawek z życia.
Uchwycony młodości blask.
Na pożółkłym papierze
minionych lat.
Został wspomnień żar,
głodzony starymi dłońmi.
Małymi krokami,
powoli z daleka,
zbliża się pocziwa, starsza pani,
z koszykiem złotej jesieni życia.
Zapakowane puzderka

ze zmarszczek,
siwych włosów,
niedołęstwa, chorób,
samotności i zmęczenia...
Pełno w koszyku
nieudanych, smutnych,
szarych odcieni obojętności...
Poszerzonych kręgiem samotności...
Brakuje zwyczajnej bliskości.
Gestów, słów, uśmiechu,
dobrego słowa.
Starsza pani z demencją,
zapomniała zapakować...
Każdy z nas kiedyś,
otrzyma leksykon starości.
Nie wiedząc,
z jaką treścią...

Daria Walusiak (Katrin znaczy Kitka), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 2 w Zielonej Górze

Pantum o szczęśliwych dzieciach

zdjęcie nie jest wyraźne
można zobaczyć bawiące się dzieci
w oddali drzewa
wyobraź sobie soczysty kolor jesiennych liści

można zobaczyć bawiące się dzieci
są bardzo szczęśliwe
wyobraź sobie soczysty kolor jesiennych liści
płot ogradzający plac zabaw zrobiony jest z drewna
są bardzo szczęśliwe

nie zdają sobie sprawy z trwającej wojny
płot ogradzający plac zabaw zrobiony jest z drewna
pewnie już nie istnieje

nie zdają sobie sprawy z trwającej wojny
zdjęcie nie jest wyraźne
pewnie już nie istnieje
w oddali drzewa

Nikoła Bigos (Nika 2), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 1 w Osobnicy

W polu i w zagrodzie

Słoneczniki

Z dala od wioski
przy polnej drodze
wyrósł słonecznik na długiej nodze.
Deszczyk go moczył,
suszyły susze,
hartując wewnątrz włóknistą duszę.
Czasami tęsknił,
lecz tęsknił skrycie,
nieraz go szczygieł odwiedzał o świcie.
Szczęśliwy, bo wolny
jak wichry stepowe,
dumnie odwracał do słońca
swą głowę.

*

Tymczasem w galerii
w drogiej, złotej ramie
słoneczka van Gogha

zabłysły na ścianie.
Pozwieszały głowy
niczym do ukłonu
i szukają resztek lata
w glazurze wazonu.
Chociaż tłumy podziwiają
ich niezmiennie piękno,
one nigdy nie skiełkują
i nigdy nie zwiędną.
Tkwiały niezmiennie lata całe
straciwszy nadzieję,
że przyleci do nich szczygieł
lub wietrzyk zawieje...

*

Które lepsze w swojej krasie?
Komu bić pokłony?
Czy te sztuczne na Parnasie?
Czy w polu – zielony?

Bianka Biliczak (Bisobi), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24 w Opolu

Kołysanka dla siostry

Cóż Ci zaśpiewać?
Śpij
Obłoki płyną
Kot mruczy cicho
Śnij
Jeszcze pójdziesz w świat
Jeszcze oczy otworzysz
Teraz jestem tu obok
Pogładzę Twe włosy

Twój uśmiech schowam w pamięci
Jak w plecaku
W swoją drogę zabiorę
A Ty – jeszcze śpij...

Aleksandra Kocot (Anta), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu

Ślady życia

Gabrysiu, moja ukochana Wnuczko!

Ilekoć patrzysz w moje błękitne oczy, widzisz w nich pewną tajemnicę. Kiedyś powiedziałaś mi, że maluje się w nich dziwny znak zapytania. Moją twarz pokryła już siateczka zmarszczek, jednak oczy wciąż skrywają pewien sekret. Wiem, że wszystko przemija, a mój czas tutaj przy Tobie powoli dobiega końca. Ale nie bój się, umierałam już tyle razy, że zdążyłam się przyzwyczaić do śmierci. To, że dane było mi przeżyć tyle lat, stało się dziwnym splotem okoliczności. Całe życie obiecywałam sobie, że zabiorę moją tajemnicę do grobu, ale ciąży mi ona tak bardzo, że chcę się pozbyć tego balastu. Wiem, że pogodzenie się z moją przeszłością przyniesie mi ukojenie.

Moja historia rozpoczęła się w przedwojennej Warszawie. Nazywałam się wtedy Hesja Gumptrich i pochodziłam z bajecznie bogatej, żydowskiej rodziny. Mój czcigodny tata, mecenas Abraham Gumptrich, uważany był za wybitną osobistość polskiej stolicy. Cała śmietanka towarzyska Warszawy prześcigała się w chęci zaproszenia go na popołudniową herbatkę. W parze ze sławą szły ogromne pieniądze. Mieszkaliśmy w bajecznie bogatej willi, na przedmieściach stolicy. Moja piękna i wytworna mama, Rachela, zajmowała się działalnością charytatywną. Byłam wtedy dwunastoletnim dzieckiem, więc nie wiem do tej pory, czy jej działalność była podyktowana nudą i nadmiarem pieniędzy, czy też faktycznie moja rodzicielka chciała pomagać bezdomnym psom. Nami,

czyli mną i moją czteroletnią siostrą Gabrysią, opiekowała się bona, sprowadzona prosto z Berlina, panna Ewa Schnepf. Nasza mama zajęta głównie pracą i spotkaniami w fundacji, przerzuciła ciężar wychowania swoich dzieci właśnie na pannę Schnepf. Cóż, kochałyśmy jej lodowaty wyraz twarzy, niemiecką dokładność i jabłeczną szarlotkę, którą dla nas piekła. Pewnego dnia odkryłam tajemnicę panny Schnepf; kiedy nie chciałam zjeść przygotowanego przez nią rosołu, zawołałam głośno z zemsty:

– Panna Ewa, stara panna!

Niebieskie oczy mojej bony rzuciły mi groźne spojrzenie, kiedy zawołała:

– Ja ci dam stara panna, panienko! Ja mam swojego narzeczonego w Berlinie, ot co!

Po usłyszeniu takiej rewelacji, pękałam ze śmiechu, jednak nie wiedziałam, że w tym może kryć się ziarenko prawdy.

Nagle nasze szczęśliwe dzieciństwo pogrążyło się w mroku. Wybuchła wojna, która swą ciemnością przykryła całą ziemską kulę. Kiedy teraz zamknę oczy, do dnia wojny widzę wszystkie wspomnienia w pastelowych, jasnych barwach. Potem oddzieliła je czarna gruba kreska i wszystko staje się szare, czarne, rozmyte. Nagle z zacnej, bogatej rodziny, o którą zabiegały wybitne osobistości Warszawy, staliśmy się nic niewartymi Żydami, pluskwami, których nikt nie chciał znać. Z początków wojny pamiętam tylko strzępki rozmowy mojego ojca z nieznanymi mi ludźmi:

– Panie Ratajski, dam Kossaka, tysiąc dolarów amerykańskich za dobrą kryjówkę. Panie Ratajski, ja nie mogę czekać, Niemcy chcą utworzyć getto, my nie damy się zamknąć! – usłyszałam raz, jak tato krzyczy do telefonu.

A potem jeszcze to:

– Kiedy człowiek znalazł się w biedzie, okazuje się, że nie ma żadnych przyjaciół!

– Ja wam pomogę – usłyszałam stanowczy głos mojej bony Ewy. – Jestem rodowitą Niemką, nikt nie będzie mnie podejrzewał. Mam kuzyna, miły chłopak, na Chmielnej mieszka, na czwartym piętrze. Ma dwa wolne pokoje, tam was ulokuje.

– Ależ panno Ewo, my nie możemy panny narażać – tato czuł się zażenowany taką propozycją. – No i co z Gabunią? – spojrzał na swoją najmłodszą córkę. Faktycznie, moja siostrzyczka miała „zły wygląd”, co w tamtych czasach oznaczało smutne, czarne oczy, hebanowe włosy i mały haczykowaty nosek. Wyglądała tak inaczej ode mnie – platynowej blondyneczki, o małym figlarnym nosku i wesołych, błękitnych oczach.

– No cóż, w razie czego powiemy, że jesteście moim kuzynostwem z Drezna. Pan Ratajski obiecał załatwić Kennkarte, więc nie powinno być problemów.

I faktycznie, do 1941 roku udało się nam przetrwać w mieszkanku w warszawskiej kamiennicy. Chociaż byliśmy dziećmi, wiedziałyśmy, że nie wolno nam biegać, a nawet chodzić po mieszkaniu, chrząkać, kichać, śpiewać. Musiałyśmy mówić szeptem. Kiedy chciałyśmy znaleźć się w łazience, trzeba było się tam doczołgać. To naprawdę zdumiewające, jak szybko można przywyknąć do nowych warunków. Z rozpieszczonych panien stałyśmy się naprawdę posłusznymi dziećmi. Raz bardzo zadziwiłam mojego tatę, kiedy na pytanie, dlaczego jestem taka grzeczna, odpowiedziałam:

– Chcę po prostu przeżyć!

Aż nadszedł ten dzień. Dzień, w którym wszystko się zmieniło – słoneczny 7 lipca 1942 roku. Rankiem obudziło nas głośnie walenie do drzwi. Wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi, nie wiedząc co robić. Kuzyn panny Ewy wyjechał do Berlina, więc byliśmy wtedy zupełnie sami.

– Trzeba otworzyć – zdecydował Tato, wyciągając z szuflady nasze podrobione dokumenty.

– Panna Ewa! – zawołałyśmy z siostrą uradowane na widok gościa stojącego w otwartych drzwiach. Ale panna Ewa była jakaś inna, jakaś obca. Nie, to nie chodziło o to, że jej usta pokrywała krwistoczerwona szminka, a twarz przykrywał elegancki, mały kapelusik z koronkową woalką. O, nie! Po prostu wyraz jej twarzy nie należał do niej. Podniosłam oczy do góry, panna Ewa nie była sama, obok niej stali dwaj niemieccy oficerowie.

– Przykro mi – rzekła nagle do mojego taty – nie mogę wam już dłużej pomagać. Jestem Aryjką, muszę służyć mojemu Führerowi! Byłam wtedy tak przerażona, że nie mogłam wydobyć z siebie głosu. A kiedy próbowałam się przytulić do mojej dawnej bony, chłodno mnie odsunęła. Tymczasem jeden z oficerów brutalnie popchnął mojego tatę, tak mocno, że przewrócił się na ziemię.

– Ty żydowska pijawko! Wstawaj! Czeką was miła podróż – syknął i zaśmiał się cynicznie. Przerażona skuliłam się w kłębek. Gabunia zatkała uszy z przerażenia. Z rękami do góry zostaliśmy wyprowadzeni na ulicę i zapakowani do ciężarówki, w której znajdowali się inni stłoczeni ludzie:

– Jesteśmy z łapanek – usłyszałam tylko ich szloch.

Nie wiem jak długo jechaliśmy tak stłoczeni. Tamte chwile pamiętam jak we śnie: wysiadam z ciężarówki, nadjeżdża bydlęcy wagon, wszystkich nas z ciężarówki pakują siłą do środka. A w środku smród, brak powietrza, nie można oddychać, jedziemy stłoczeni jak zapalki, przerażeni, głodni i spragnieni. Gabunia chce siusiu, ale musi załatwić swoją potrzebę na stojąco. Chcę umrzeć, ale nie dlatego, że jestem głodna i jest mi niewygodnie. O nie! Zdrada panny Ewy okazała się ciosem ponad moje siły. Tymczasem mój tato kuca cały czas i grzebie coś przy pociągowej podłodze:

– Jest! – krzyczy nagle, ciągnąc z całej siły deskę i raniąc nią swoją rękę do krwi. Patrzy mi głęboko w oczy, kiedy mówi do mnie wolnym, spokojnym głosem:

– Hesi, pamiętasz, jak powiedziałaś mi kiedyś, że chcesz przeżyć? Teraz ważne zadanie przed tobą. Zrobiłem dziurę w podłodze. Kiedy pociąg stanie, przeciągnę przez nią najpierw Gabunię, a potem ciebie. Poczekacie, aż pociąg odjedzie, a potem biegnijcie co sił w nogach!

Byłam się okrutnie i trzęsłam jak w febrze, jednak skinęłam posłusznie głową.

– Aha! – usłyszałam jeszcze – i obiecuję, nigdy nie zostawisz siostry!

Nie zdążyłam już odpowiedzieć, bo pociąg nagle stanął. Tato wprawnym ruchem przeciągnął przez wąski otwór Gabrysię, a po-

tem mnie. Trzymałam mocno siostrę za rękę. Zastygłyśmy skulone w bezruchu, aż do chwili, kiedy pociąg odjechał. Było ciemno, jednak drogę oświetlały nam świecące jasno gwiazdy. Spojrzałyśmy przed siebie, świat zaszył się w ciemnościach, słyszałyśmy odgłos odjeżdżającego pociągu, a przed nami rozciągał się ciemny las. Wiedziałyśmy, że stał się on naszym sprzymierzeńcem. Noc spędziłyśmy pod ogromną sosną, tuląc się do siebie i nucąc cichutko kołysankę po niemiecku, którą nauczyła nas panna Ewa. Nuciłam ją cały czas nazajutrz, kiedy postanowiłam poszukać coś do jedzenia.

– Zostań tutaj pod drzewem, Gabrysiu! – zwróciłam się do siostry.

– Zaraz wrócę, tylko nazrywam dla nas jagód.

Po czym, śpiewając niemiecką piosenkę, w podskokach oddaliłam się od siostry.

– Kim jesteś? – usłyszałam nagle niemiecką mowę. Zanim zdążyłam się odwrócić, moje serce stanęło nagle ze strachu, przełknęłam głośno ślinę.

– Lena Brandt z Berlina – usłyszałam ze zdziwieniem swój pewny głos, mówiący czystym językiem niemieckim, jakiego nauczyła mnie panna Ewa. – Mój ojciec, oficer Brandt został zabity przez polskich partyzantów. Ja błąkam się po lesie, ukrywając się przed tymi polskimi bandytami z lasu.

Niemiecki oficer przyjrzał mi się uważnie:

– Jesteś tutaj sama? – zapytał nieoczekiwanie.

– Tak, zupełnie sama – znowu zadziwiłam swoją odpowiedzią samą siebie. W tej chwili nie myślałam o Gabrysi. Naprawdę. Kim więc byłam? Kim? Jak mogłam? Jak mogłam tak uczynić?

Gabrysia nie ma szans ze swoim wyglądem – próbowałam usprawiedliwiać samą siebie, nieco później, kiedy ten Niemiec prowaodził mnie do swojej kwatery.

– Przyprowaodziłem dziecko, mówi, że jest Niemką – rzekł niemiecki oficer do swoich towarzyszy. Jakież było moje zdziwienie, kiedy inny oficer chwycił nagle coś w rodzaju linijki i rozpoczął pomiary mojego czoła, nosa i uszu. Rozebrano mnie, zaglądano mi w oczy, musiałam podnieść rękę, przeglądnięto mi włosy...

– Nie ma wątpliwości – rzucił nagle. – To jest prawdziwa Aryjka. Klasyczny przykład rasy panów – po czym, łagodnym ruchem skierował mnie do pokoju, w którym stało dębowe łóżko, a w nim pachnąca wykrochmalona pościel. Nieśmiało pogłodziłam ją ręką i zamknęłam oczy. Nie sądziłam, że kiedyś jeszcze będzie mi dane przespać się w prawdziwym łóżku. Po odejściu oficera, wskoczyłam do łóża, zamknęłam oczy i zasnęłam kamiennym snem. Tej nocy śnił mi się tato. Nic nie mówił, tylko z jego oczu płynęły łzy. Rano obudziłam się złana potem.

– Trzeba umieścić tę dziewczynkę w Lebensborn. Widać, że to wartościowa krew – usłyszałam przerażona, słowa jednego z niemieckich oficerów.

Cóż to za miejsce? – pytałam gorączkowo sama siebie, zbyt przestraszona, żeby spytać o cokolwiek tych nazistów.

Przez cały dzień nie odezwałam się praktycznie ani słowem. Zresztą, na szczęście, o nic nie byłam już pytana. Włożyłam grzecznie na siebie granatową sukienkę, którą mi przyszykowano, z modnym, marynarskim kołnierzem i malutki, błękitny kapelusik. Złote włosy misternie przewiązałam w dwa grube warkocze i oplotłam ozdobną wstążką. Kolejne chwile pamiętam jak we śnie. Nagle znalazłam się w pociągu, wiozącym mnie do Berlina. Całą podróż migały mi przed oczyma wywieszone wszędzie hitlerowskie flagi ze swastyką. Nie, nie płakałam. Wiedziałam, że muszę być silna. Muszę przeżyć. Niebawem znalazłam się w bardzo dziwnym miejscu. Przywitały mnie dwie pielęgniarki, ubrane w śnieżnobiałe fartuchy. Zostałam zaprowadzona do gabinetu medycznego. Jedna z kobiet, podobnie jak wcześniej niemieccy oficerowie, dokładnie zaczęła mierzyć mój nos, odległość między oczami, wysokość czoła i długość podbródka. Druga kobieta wszystko zapisywała w specjalnym zeszycie.

– Nie ma wątpliwości Herto, to prawdziwa Aryjka, rasa panów, najwartościowsza krew – rzekła z dumą, po czym wyciągnęła rękę do przodu i głośno krzyknęła:

– Heil Hitler!

Zostałam umieszczona w sterylnie czystej sali, w której mieszkało jeszcze dwanaście dziewcząt w wieku od czterech do piętnastu lat. Wszystkie wyglądały podobnie: te same jasne włosy, błękitne oczy i porcelanowa cera. Obok znajdowała się jeszcze jedna sala, a w niej leżały noworodki. Nie odzywałam się tutaj do nikogo. Nagle poczułam, że jestem obserwowana. Mała, na oko siedmioletnia dziewczynka, szepnęła mi do ucha czystą polszczyzną:

– Serwus, jestem Lusia. Pochodzę z Zamojszczyzny, oderwano mnie od rodziny i przywieziono tutaj wbrew woli. Stwierdzono, że mój wygląd pozwala na germanizację. Nie wolno mi mówić po polsku. Proszę, odezwij się do mnie, wiem, że coś ukrywasz. Proszę, pomóż mi. Ja chcę do domu, do mamy!

Już miałam coś tej dziewczynce odpowiedzieć, kiedy nieoczekiwanie dla samej siebie rzekłam:

– Ich verstehe nicht!

Ścisnęłam ręce, tak mocno, że poleciała z nich krew. Nie mogę się zdradzić, nie mogę! Muszę przeżyć! Za wszelką cenę!

I tak zaczęłam żyć w nieznanym mi miejscu. Każdy dzień wyglądał tak samo: pobudka wcześniej rano, gimnastyka, nauka o historii wielkich Niemiec, dyskusje z nauczycielami na temat wyższości rasy aryjskiej nad innymi ludźmi, wykłady o konieczności oczyszczenia Europy z Żydów. Wszystkie czynności wykonywałam posłusznie, aż pewnego razu jeden z nauczycieli ustawił mnie na środku klasy, mówiąc głośno, że tak wygląda i zachowuje się wzorowa Niemka. Stałam wtedy na środku klasy ze spuszczoną głową, kiedy usłyszałam nieoczekiwane:

– Jaka śliczna dziewczynka! Helmucie, nie chcę już noworodka, chcę właśnie ją!

I wtedy podniosłam wzrok. Przede mną stała niezwykle elegancka kobieta, ubrana w sobolowe futro, z ogromnym kapeluszem na głowie. To była moja nowa mama, Mutti, jak ją czule nazywałam przez całe życie. Państwo Müllerowie adoptowali mnie. To dziwne, ale ci ludzie, którzy nie mieli własnych dzieci, pokochali mnie jak własną córkę. Nigdy niczego mi nie brakowało. Całą młodość spędziłam na przedmieściach Berlina, bawiąc się z niemieckimi

dziećmi i mówiąc po niemiecku. Czy Mutti znała prawdę o mnie? Nigdy się tego nie dowiem. Kiedyś chciałam jej powiedzieć, byłam bliska wyznania prawdy:

– Mutti, ja nie jestem dziewczynką o jakiej myślisz. Ja jestem...

– Wiem, kim jesteś, Leno. Jesteś moją ukochaną córeczką, darem od losu, uśmiechem mojego życia – rzekła wtedy, a ja spojrzałam jej głęboko w oczy. Wiedziała, wiem to na pewno. Jednak nigdy nie powróciłyśmy już do tej rozmowy. Czy byłam szczęśliwa? Jako Lena Brandt tak, i to bardzo! Ale część mnie pozostała wciąż Hesią Gumptrich, dziewczynką, która pozostawiła swoją siostrzyczkę w ciemnym lesie, na pastwę złego losu.

Tylko jedna z nas mogła przeżyć – zawsze próbowałam przekonać samą siebie. I musiałam to być ja. Ale zaraz dodawałam w myślach: Gabrysiu, proszę, przebac mi!

Został we mnie jakiś wewnętrzny dług do spłacenia. Postanowiłam zostać lekarzem i ratować ludzkie życie. Dla Gabrysi. Każde uratowane życie dedykowałam jej. Mijały lata, wyszłam za mąż za Twojego dziadka, doktora Schüllera. Urodziłam Twoją mamę i wiodłam szczęśliwe życie. Kiedy zmarli moi przybrani rodzice, w tajemnicy przed twoim dziadkiem wyjechałam do Polski, służbowo, jak powiedziałam swojemu mężowi. Naprawdę szukałam mojej żydowskiej rodziny. I znalazłam. Tylko nie ich, a informację, że moi rodzice zostali zagazowani w Treblince. Losy Gabrysi na zawsze pozostaną nieznane. Po powrocie do Berlina, rzuciłam się na szyję mojemu mężowi. Nie wiedział o co chodzi, kiedy szepnęłam:

– Rozliczyłam się z przeszłością.

Jednak nie było to zupełnie prawdą, bo wewnętrzny niepokój kazał mi założyć fundację pomagającą małym, porzuconym dzieciom. Nikomu jednak nie wyjawiałam motywu mojego działania. Życie okazało się dla mnie łaskawe. Twoja mama dawała mi dużo szczęścia, świetnie się uczyła, a kiedy wyszła za mąż za Twojego ojca i urodziłaś się ty, byłam najszczęśliwsza na świecie. Zaskoczyłaś wszystkich swoją urodą. Pewnie zastanawiasz się, jak to możliwe, że jako jedyna z rodziny masz takie piękne hebanowe włosy

i głębokie ciemne oczy. Twoja mama bardzo się dziwiła, kiedy nalegałam z całych sił, żeby nadać ci imię „Gabriela”. Właściwie moja historia dobiegłaby końca, gdyby nie jedno zaskakujące zdarzenie. Dziesięć lat temu, kiedy akurat odwiedzałam swoją fundację, moja sekretarka rzekła nieoczekiwanie:

– Pani Schüller, ma pani gościa.

Myślałam, że to może jeden ze sponsorów albo też rodzina szukająca swojego dziecka. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłam przygarbioną staruszkę, idącą wolno o lasce. Początkowo nie poznałam jej. Jednak, kiedy spojrzałam w jej jasną twarz i błękitne oczy, krzyknęłam na całe gardło:

– Panna Ewa! Moja przedwojenna, niemiecka bona!

– Tak, to ja dziecko – usłyszałam znajomy głos. – Nie mogę spokojnie umrzeć, póki mi nie wybaczysz. To brzemię ciąży na mnie całe życie. Codziennie widzę wasze twarze, nie mogę myśleć o niczym innym. Zniszczyłam wam życie – ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała:

– Wiem, że to mnie nie tłumaczy. Ale w tamtych czasach mój narzeczony miał zostać zesłany na front wschodni. Chcieliśmy się pobrać, musiałam czymś się zasłużyć, żeby go tam nie wysłali. Wtedy jedynie zadenuncjowanie was przychodziło mi do głowy. Wiem, że źle zrobiłam. Błagam, wybac mi – padła na kolana. – Przepraszam!

Schyliłam się i złapałam staruszkę za wątłe ramiona. Początkowo chciałam nimi potrząsnąć, jednak nieoczekiwanie przytuliłam ją, wtuliłam się w nią tak samo, jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem:

– Nie szukaj mnie już więcej – szepnęłam. – Hesja Gumptrich umarła tamtego lipcowego poranka. Ale wybaczam ci. Wybaczam z całego serca!

Kiedy wypowiedziałam te słowa, poczułam jakby moja siostra Gabrysia uśmiechnęła się do mnie. Wybaczyłam już wszystkim. Wybaczyłam tamtym niemieckim oficerom, którzy zabrali nas z kryjówki tamtego lipcowego poranka. Wybaczyłam żołnierzom, którzy wepchnęli mnie do bydlęcego wagonu. Wybaczyłam wreszcie pannie Ewie, która zrujnowała życie naszej rodziny. Tylko so-

bie wybaczyć nie potrafiłam i nie potrafię. Wybacz mi Gabrysiu, wybacz... proszę!

Twoja babcia Hesia

**Kacper Życzyński (Żetka), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli**

Rozważania (nie)jednaka

Od 14 lat jestem jedynakiem. Czy ktoś z Was był kiedyś jedynakiem? Ci, co nigdy nie byli, na pewno o tym niejednokrotnie marzyli. A ci, którzy byli, z całą pewnością, tak jak ja, zastanawiali się, jakby to było mieć rodzeństwo.

Wiecie... są plusy i minusy takiego stanu. Nikt nie wrzeszczy, nikt nie przeszkadza, z nikim nie trzeba dzielić pokoju ani zabawek. Nikt nie dokucza, nikomu nie trzeba ustępować. Nikt nie grzebie w twoich rzeczach, nie myszkuje w twoich szafkach, nie przeszukuje twojego pokoju. Jesteś oczkiem w głowie rodziców; nikim się nie zajmują, jedynie tobą. Spełniają wszystkie twoje zachcianki. Wystarczy tylko, że zrobisz słodką minkę, zamrugasz rzęsami lub posprzątasz pokój. Generalnie możesz sobie wychować rodziców tak jak chcesz i nie będzie ci w tym przeszkadzał żaden brat ani siostra. Gorzej, kiedy brat lub siostra już istnieje. Wtedy nie jesteś już panem swego losu. Sytuacja nie do zniesienia: rodzeństwo w wieku niemowlęcym: nieprzespane noce, ciągły płacz, który nie pozwala się uczyć, śmierdzące zużyte pampersy... fuj! Sytuacja katastrofalna: rodzeństwo w wieku zadawania pytań: „A co to jest?...”, „Do czego to służy?...”, „A co to książka?...”, „A co to literki?...” i tak bez końca. Gęba mu się nie zamyka, a ty najchętniej zamknąłbyś się w swoim pokoju. A kiedy taki osobnik dorasta, bez przerwy ci pyskuje, dokucza, gra na twoim komputerze, przegląda twoje SMS-y ... Dramat!

Na całe szczęście jestem jedynakiem i dobrze mi z tym. Gdybym miał wybierać: jedynak czy rodzeństwo, to wybrałbym pierwszą opcję.

Jednak bycie jedynakiem nie zawsze jest zrzędzeniem losu. Wiedzą o tym ci, którzy rodzeństwa nie mają. Na czym więc polega problem? – zapytacie. Na nieustannej kontroli. Rodzice mają cię tylko jednego, więc nikt oprócz ciebie ich nie interesuje. Dbają, aby niczego ci nie zabrakło, nie tylko ich miłości, ale także zajęcia. Chcą, abyś nigdy się nie nudził, nie marnował czasu na głupoty, na siedzenie w telefonie, przeglądanie Facebooka... Według nich to strata czasu. Organizują ci życie: rano lekcje, a po południu: korepetycje z angielskiego (bo to przecież język międzynarodowy, który na pewno ułatwi ci życie), z matematyki i fizyki (bo to przecież trudne przedmioty, a ty jako potencjalny student AGH nie możesz mieć zaległości), zajęcia na basenie, treningi piłki nożnej i judo (bo nie możesz mieć ani grama nadwagi), wreszcie lekcje fortepianu (bo przecież muzyka kształci wszechstronnie). Po tych wszystkich zajęciach rozłożonych równomiernie w ciągu tygodnia, cieszysz się na teoretycznie wolny weekend. Ale nie z tego! Musisz odrabiać zadania domowe i uczyć się, aby w tygodniu mieć czas na wszystkie zajęcia pozalekcyjne. Super... O tym marzyłem... Dodatkowo jako jedynak musisz każdą wolną chwilę spędzać z rodzicami, bo oni potrzebują twojego towarzystwa. Nie masz możliwości wyjścia na podwórko z przyjaciółmi i spędzenia czasu, tak jak chcesz. Musisz pamiętać: „Wszystko dla twojego dobra” – oto największe kłamstwo świata!

Tak więc jestem jedynakiem, czy tego chcę, czy nie. Smutne, prawda?... Pomyślałem jednak, że mogę to zmienić. Pewnie zapytacie, w jaki sposób? Przecież nie zadzwonię do bociana po braciśzka... Postanowiłem, że zmuszę rodziców, choćby nie wiem jak bardzo byli przeciwni, aby przysparzać mi pieska. To nie będzie łatwe zadanie, ale kto nie próbuje grać, ten nie wygrywa. Ponieważ mieszkaliśmy w bloku, rodzice nawet nie chcieli o tym słyszeć: „Kto z nim zostanie, jak my będziemy w pracy, a ty w szkole?!”, „Kto będzie zbierał jego kupy?!”, „Kto będzie wstawał o piątej rano, aby wyjść z nim

na spacer?!”, „Kto go wychowa?!”, „Zniszczy kanapę i będzie sikał na parkiet!”... Przeciwnościom nie było końca. Jednak otwierała się perspektywa – rodzice właśnie kończyli budowę domu w podmiejskiej wiosce. 120 metrów kwadratowych dla ludzi i 10 arów ogrodu dla psa – perfekcyjnie! To musi się udać! Niestety jeszcze przez kilka miesięcy mój plan musiał pozostać w sferze marzeń.

Nadeszły wakacje, a wraz z nimi mnóstwo wolnego czasu. Rodzice odpuścili trochę nadopiekuńczość oraz zasypywanie mnie obowiązkami. Głównie spowodowane to było tym, że ciągle coś załatwiali, pilnowali kolejnych fachowców, którzy wykańczali nasz nowy dom, a przy okazji także ich i ich portfel. Ja miałem trochę luzu...

Pewnego dnia poszedłem na długi spacer. Nie wiem, jakim sposobem znalazłem się tuż przy schronisku dla bezdomnych psów. Nawet nie wiedziałem, że w moim mieście jest takie miejsce. Postanowiłem wejść i przyjrzeć się zarówno zwierzakom, jak i pracującym tam osobom. Zobaczyłem wielu ludzi w moim wieku. Od właścicielki schroniska dowiedziałem się, że potrzebują wolontariuszy, których zadaniem będzie wyprowadzanie psów na spacer. Ci moi rówieśnicy to właśnie robili. Pomyślałem, że jest to pomysł na spędzenie wakacji. Nigdzie w tym roku nie wyjeżdżaliśmy, więc będzie to jakaś odskocznia od wakacyjnej nudy. Musiałem tylko uzyskać zgodę od rodziców na wolontariat w schronisku.... Nie było łatwo.... Wiecie... znów mnóstwo przeszkód... „A jak cię któryś ugryzie?...”, „Nic nie wiesz o tych psach...”, „Nie umiesz zajmować się zwierzętami...” itd., itd. Ostatecznie, po moich zapewnieniach, że będę rozsądny i odpowiedzialny, zgodzili się. Mówiłem wam, że czasem wystarczy zamrużyć...

Od tamtej pory moje życie nabrało innego tempa. Z radością biegałem do schroniska i zaprzyjaźniałem się z coraz to innymi psami. Z żalem rozstawałem się z tymi, które odchodziły, bo jakaś dobra rodzina dawała im dom. Z jeszcze większym żalem poznawałem nowe psy, które jakaś zła rodzina uznawała za przeszkodę w wakacyjnym wyjeździe i podrzucała do schroniska. Wakacje to dla psów chyba najgorszy okres, a dla schronisk mnóstwo pracy

i zapełniające się w zastraszającym tempie wolne boksy. To straszne, że ludzie z czysto egoistycznych pobudek potrafią porzucić kogoś, kto uważał ich za swoją rodzinę. Uczyłem się, jak zasłużyć na zaufanie tych porzuconych zwierzątek oraz jak zaufać im. Tak upłynęły mi wakacje. Nadeszła jesień i nowy rok szkolny. Obarczony nowymi zajęciami pozalekcyjnymi, nie miałem czasu na wizyty w schronisku. Ale w moje serce wstąpiła nowa radość... nowy dom, nowy pokój, nowy ja!

Wreszcie! Wprowadzamy się do nowej chaty! Szczęście wyskoczyło poza skalę, a podeksycytowanie... Niesamowicie! Noc spędziłem na nowym łóżku, w nowym otoczeniu... Jeszcze nigdy się tak nie wyspałem! Zresztą wiecie... W hotelu zawsze się śpi lepiej niż w domu, ze względu na tę zmianę otoczenia, pościeli, zapachów... Początkowo, tak się czułem jak w hotelu. Przez kolejne tygodnie razem z rodzicami dokańczaliśmy wystrój domu oraz robiliśmy drobne porządki w ogródku. Święta Bożego Narodzenia oraz Sylwestra spędziliśmy całą rodziną w naszym nowym domu. To właśnie po tych wydarzeniach namówiłem rodziców na pieska. Zaczęła się poważna dyskusja: ze schroniska czy hodowli, rasowy czy kundel, duży czy mały, czarny czy biały, w łatki czy jednokolorowy, jaka rasa, jaki kolor... masa! Po tygodniu nieustającej dyskusji doszliśmy do kompromisu: czarny, rasowy labrador. Gdy już mieliśmy jechać do hodowli pooglądać pieski, tata zaproponował, abyśmy pojechali do schroniska i zobaczyli, czy może akurat mają tam jakiegoś fajnego, zagubionego pieska, który potrzebuje jakiejś kochającej rodziny? Nie posądzam taty o takie uczucia. Że też sam na to wcześniej nie wpadłem. Przecież to powinien być mój pomysł. Poznałem schronisko i wiedziałem, jak tam jest. Uznaliśmy to za świetny pomysł. Pojechaliśmy i... zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. W ostatnim boksie znajdował się piesek, średniej wielkości, o czarnej sierści i brązowych, ufnych oczach. Kiedy nas zobaczył, w ogóle nie szczekał. Powiem więcej, machał ogonkiem i dał się pogłaskać. Jakby już wiedział, że będziemy jego rodziną. Dowiedzieliśmy się, że przebywa w schronisku od dwóch tygodni, ma około półtora roku, a został znaleziony w ogródkach działko-

wych, więc ktoś musiał go tam porzucić. Przez kolejne kilka dni od tego wydarzenia pojawialiśmy się w schronisku, aby mógł się do nas przyzwyczaić. Wyprowadzaliśmy go na spacer i bawiliśmy się z nim. Musieliśmy bardziej go poznać, a on mógł poznać nas. W tym czasie przygotowywaliśmy mu miejsce w naszym domu.... buda, zabawki, karma. Nazwałem go Giedur. To był mój pies, mój przyjaciel. Imię otrzymał takie, bo muzyka była moją wielką miłością i pasją. Wiedziałem, że będzie do niego pasować.

W końcu nadeszła ta chwila: bierzemy go do domu.

Giedur okazał się bardzo mądrym i pojętnym psem. Szybko nauczyłem go reakcji na podstawowe komendy: siad, leżeć, podaj łapę, daj głos. Gdy przychodzili moi koledzy, mogłem się pochwalić mądrością mojego psa. Spędzałem z nim dużo czasu, włóczyliśmy się po okolicy przez wiele godzin. Szczególnie, że znów były wakacje. Podobnie jak poprzednie, upływały mi na obcowaniu z psem, tym razem z moim psem.

Uważam, że wdzięczności, miłości i przywiązania psa do właściciela nie można porównać z niczym. Pies kocha Cię bezwarunkowo, nie obraża się o byle głupstwo, tęskni za Tobą, gdy Cię nie ma, a kiedy się pojawiaasz, jego radość nie ma granic.

Mam 14 lat. Już nie jestem jedynakiem. Mam psa i jestem szczęśliwy.

Ale jeśli myślicie, że to koniec historii, to jesteście w błędzie.

Pewnego letniego dnia wybraliśmy się z rodzicami i Giedurem na spacer do lasu. Mój czworonożny przyjaciel nie przestawał węszyć, a my podziwialiśmy przestrzeń, oddychaliśmy świeżym powietrzem i rozkoszowaliśmy się chłodem drzew. W pewnym momencie usłyszeliśmy wycie dobiegające z głębi lasu. Oczywiście pierwszy zareagował Giedur. Pobiegł w stronę, skąd dochodziły dźwięki, a my szybko pobiegliśmy za nim. Gdy dotarliśmy na miejsce, naszym oczom ukazał się straszny widok. Tuż przy jednym z drzew stał przerażony, wyczerpany i trzęsący się, przywiązany grubym łańcuchem, pies. Brązowa sierść i te same ufne, jak u Giedura, oczy. Tyle, że w nich dostrzec można było także smutek. Myślałem, że o takich sytuacjach czyta się na Facebooku, albo

słyszysz w telewizji. Nigdy nie sądziłem, że będzie mi dane przeżyć coś takiego w realu. Pies początkowo bał się nas, ale Giedur i jego merdający ogon spowodowały, że powoli dał się pogłaskać. Szybko daliśmy mu wody, bo był wyraźnie spragniony. Mieliśmy też w kieszeni kilka przysmaków, które chętnie zjadł. Tata uporał się z łańcuchem. Ale pies nie zamierzał uciekać. Chyba widział w nas swoich wybawców. Mamie serce się krajało, kiedy na niego patrzyła. Zastanawialiśmy się, co teraz mamy z nim zrobić – odwieźć go do schroniska, które i tak pękało w szwach (przecież były wakacje), szukać okrutnego właściciela, który pewnie za chwilę zrobiłby z nim to samo, czy znaleźć mu dom tymczasowy (to chyba najtrudniejsze)? Wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, tata podjął decyzję: Pies zostaje z nami. Doznałem szoku: okazało się, że mój tata też nosi spodnie... jeśli rozumiecie, co mam na myśli...

Giedur chyba poczuł w nowym psie bratnią duszę, bo nie odstępował go na krok i ciągle chciał się z nim bawić. Nawet nie był zazdrosny, kiedy głaskaliśmy nowego. Pił z nim z jednej miski. Wróciliśmy do domu, nakarmiliśmy nowego i od razu pojechaliśmy z nim do lekarza. Opowiedzieliśmy całą historię. Weterynarz zbadał dokładnie psa i stwierdził, że ma około 2 lat, jest silny i zdrowy. Najprawdopodobniej nikt też się nad nim nie znęcał. Jeszcze tego by brakowało!!! Zaszczepionego i wyposażonego w tabletkę na kleszcze, zabraliśmy psa do domu. Postanowiłem nazwać go Amol – wiecie... z powodu mojej pasji.

I tak moja historia z psem zaczęła się od początku. Zacząłem uczyć go wszystkiego tego, co Giedur już umiał. Tym razem było łatwiej. Miałem doświadczenie w tresurze, a i Giedur bardzo mi pomagał. Amol starał się go we wszystkim naśladować. Mam 14 lat. Już nie jestem jedynakiem. Mam dwa psy i jestem szczęśliwy. I pamiętajcie, zarówno psy, jak i rodziców, można sobie wychować.

Natalia Ciepiela (Nutka fantazji), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa
Sióstr Salezjanek w Jastrzębiu Zdroju

Za szkłem

Cześć, jestem Zuzanna Ikonka, siódmoklasistka, której życie, jak i wielu innych ludzi, diametralnie zmieniło się w ciągu ostatniego roku. Wciąż mówi się, że człowiek jest niepokonany i silny. Był już wszędzie. Zna tajemnice kosmosu i odległych oceanów. Stawia czoła niebezpieczeństwom, rozwija się, aż nagle okazuje się, że nie jest w stanie pokonać czegoś, co ma mniej niż mikrometr i to „coś” usunęło tysiące „niepokonanych”. Temat, który mąci w głowie, a swoją powtarzalnością prowadzi do skrętów żołądka, żalu i mdłości. Temat, który boli, jest jedynym, o którym teraz się mówi. Przekłamane media, wszystko dla „klikalności”, aby wzbudzić strach, współczucie, nienawiść. Życie zza masek, poprzez ekran, życie bez ludzi, a raczej z elektroniczną ich wersją. Liczymy dni do końca, dni do wolności i ponownego szczęścia, lecz czy może być jak dawniej? Czy powrócą uściski, dzielenie się jedzeniem, beztroskie buziaki w policzek, niemycie rąk nawet po skorzystaniu... Ta opowieść jest napisana z dystansem, ale zarazem ma wiele metafor i opisuje życie wielu młodych ludzi. Pokaże jedynie raz na zawsze prawdę, jak to jest żyć za ścianą, szkłem, ekranem.

Cześć, jestem Krzysztof Klawisz, szóstoklasista, którego życie, jak i wielu innych ludzi, diametralnie zmieniło się w ciągu ostatniego roku. Prawie rok temu, na początku marca, gdy w słownikach nie istniało jeszcze słowo „COVID-19”, czekałem niecierpliwie na dzwonek na przerwę. Była to informatyka, ostatnie minuty przeznaczone na granie. Otworzyłem wyszukiwarkę, gdy nagle na pierwszej z kart znalazła się zakładka „Decyzja o zamknięciu szkół” ... Usłyszałem ciche szepty, większość też już wiedziała. Głośny dzwonek wyrwał mnie z osłupienia, wszyscy wydawali się być szczęśliwi. Jednak po tej niefortunnej decyzji uczniom zrzędy

miny i nikomu nie było do śmiechu. Wylądowaliśmy w domach. Akcja ta, jak tasiemiec ciągnęła się i powoli przesuwiała termin powrotu. Tak minął cały rok szkolny, minęły chwile, niepewne chwile, które nie wrócą już nigdy.

Cześć, jestem Marcin Plik, siódmoklasista, którego życie, jak i wielu innych ludzi, diametralnie zmieniło się w ciągu ostatniego roku. Wakacje minęły mi bardzo szybko, choć na chwilę pokazały, że „ludzkość” istnieje, że komputery nie pochłonęły całego życia. Moi rodzice stracili pracę, bo ich firma zbankrutowała... Były prawdopodobnie to ostatnie wakacje, na które byliśmy w stanie wyjechać. Po dwóch miesiącach, historia, niczym pułapka czasu, znów zaczęła się powtarzać... Powrót na parę tygodni do normalnego życia, wzrost zakażeń i kolejny lockdown. Tu utknęliśmy, wciąż mijają kolejne miesiące, a my powoli z wypalonymi oczami i wadą postawy, wierzymy, że ta komputerowa wersja w końcu się skończy.

Cześć, jestem Krysia Myszka, ósmoklasistka, której życie, jak i wielu innych ludzi, diametralnie zmieniło się w ciągu ostatniego roku. Moi rodzice to lekarze z oddziału zakaźnego, walczą codziennie, ale zakażeń i tak wciąż przybywa. Rzadko bywają w domu, a jeśli tak, to są bardzo zmęczeni. Kwarantanna, która niby zbliżała do siebie rodziny, nas rozłączyła. Uśmiecham się, staram cieszyć, ale płaczę i krzyczę w środku, albo po prostu, już nic mnie nie rusza. Sypią się relacje, sypią się złe informacje, zalewając (nie)pozytywnymi myślami, sypie się cały świat, kiedyś beztroski, a teraz skłócony za maską. Nadszedł rok 2021, jednak jeśli ktokolwiek pomyślał, że ten rok będzie lepszy, to sam popada w błędne koło. Może i uda się wyjść z dramatu 2020, ale czemu tylko jedna mała zmiana cyferki ma zaważyć na tym jak MY go przeżyjemy?

Na zdalnym nauczaniu ludzie w szkołach zmienili się, podzielili na „zaradnych”, „podróżników”, „słaby Internet”, „mających dość” lub „wiernych domowników”. Są jednak nieliczne, nie do końca zidentyfikowane przypadki, którym udaje się wiązać koniec z końcem. Poziom motywacji osiąga liczby na minusie, a siedząc

na lekcji i starając się słuchać, głowa pęka od pikseli ekranu. Cały czas słyhać powiadomienia z różnych komunikatorów i w tym momencie wkraczają „zaradni”. Wymieniają się swoimi głębokimi przemyśleniami, po czym to Ty dostajesz 99+ nieprzeczytanych wiadomości. Często też na chwilę wymykają się z pola widzenia kamer, aby spokojnie pożywić się pyszną bułką. „Zaradni” uwielbiają mieć otwartych milion stron w przeglądarce, nawet jeśli nie jest im to do niczego potrzebne...

„Podróżnicy” po sprawdzeniu najważniejszej obecności, zaś z wyłączoną wizją, odkrywają cudowne zakątki swojego domu, o których wcześniej nie mieli pojęcia. Myszkując, zazwyczaj po kuchni, znajdują coraz lepsze „skarby”. Co tu więcej mówić, teraz pewnie są gdzieś w salonie, rozważając, czy lekcja już się skończyła...

„Słaby Internet” to z kolei najbardziej powtarzalny stereotyp.

„Przepraszam za spóźnienie. Mam problemy z Internetem”. „Może Pani powtórzyć, nic nie słyszę, strasznie zacina”. „Halo. Halo. Haaalooo. Słysząc mnie? Ja nic nie słyszę. To ja się wyłączę i zaraz dołączę. Proszę mnie potem wpuścić”. Nigdy nie uwierzę nikomu, jeśli mi powie, że nie zna takiej osoby! To się dzieje co lekcję!

Za to „mam dość” to ludzie, którym jest już wszystko obojętne, nawet nie muszą tłumaczyć, jak oni się czują. Każdy zna to uczucie, chwilowe, ale dobijające uczucie, podczas którego umiejętnie rozważasz sens życia. Tyle że ten typ ma tak dzień w dzień, logując się na ten sam „meeting ID” osiem razy dziennie...

„Wierni domownicy” to typ osób samooszukujących się. Naprawdę. Starają się uwierzyć w to, że zdalne to lepszy sposób na edukację. Kochają swoje domy, a nauka z mieszkań to dla nich cud. Ale nie znam nikogo, kto by powiedział, że zdalne jest lepsze od stacjonarnego, no oprócz tych „wiernych kanapowców”.

Jedyną rzeczą łączącą te wszystkie klany to ciągłe poczucie, że są w tym sami. Nie ma już u boku towarzysza, który na przerwach przed sprawdzianem, czuł to samo co ty. Nie ma tłumy, tylko cisza, słaby głos i trzaski z głośniczków. Nierozłączni przyjaciele kiedyś – Zuzia, Marcin, Krysia... Teraz to komputer zastąpił im Krzysia.

Miliony śmieci na komputerze, miliony prac, miliony wypowiedzianych na darmo słów, miliony emocji przytłaczających niczym mgła. Ciemne chmury uderzają powoli, przysłaniając nasze cele i działania. Przez nie – nie chce nam się chcieć. Teraz codziennie rano trudno wstać, dotknąć stopami zimnej podłogi i zacząć dzień, wiedząc, że znów musisz „kliknąć” swoje życie.

To już wszystkie sekrety zdalnych. Więc czy coś się zmieniło? Nie. Nic. Wciąż stoimy w miejscu, licząc na rozwiązania. Podsumowując, życie toczy się dalej, ale my młodzi ludzie z ograniczeniami, tacy jak Zuzia, Marcin, Krzys i Krysia tniemy się szkłem monitora... Wyloguj...

Być może parę lat później, gdy ślad po pandemii się zamaże, wszyscy oni nie poznają w sobie dawnych przyjaciół i przejdą obok siebie z nosami głęboko w smartfonach... Zostawią stracone lata za sobą i już nikt nie będzie pamiętał Krysi, Zuzanny, Marcina czy Krzysztofa. Tak jak większość „młodzieży lockdownu”, przepadną za sprawą monitora i zapatrzenia w „szybę”, w otchłań spamu.

Ten okres „zamknięcia” to trudny etap, takie etapy się zdarzają, ale ważne jest to, aby zawsze iść z głową uniesioną do góry i widzieć jasne strony. Wy też nie jesteście w tym sami, każdy teraz czuje strach i niepewny smak jutra, martwi się o bliskich. Czasami wiara w siebie zanika, a my nawet nie mamy chęci z nikim rozmawiać, ale rozejrzyjcie się wokół siebie i dostrzeżcie ludzi. Nie pozwólmy, aby komputery już do reszty nas pochłonęły. Wyślij...

Joanna Celi (Antoni Timeo), kl. 8
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24
w Radomiu

Sens

Na początku nie było niczego.

Ludzie nie mieli nic.

Nikt tego nie pamięta. Przyzwyczailiśmy się do rzeczywistości. Z upływem czasu ludziom zaczęło czegoś brakować. Czegoś ciepłego i jasnego. Czegoś, czego nie było w pustce, która ich otaczała. Odkryli, że mogą to coś wytworzyć. Nazwali to sensem. Po paru latach każdy człowiek go miał. W tamtej rzeczywistości sens miał bardzo delikatną i ulotną postać, którą możemy teraz przyrównać do małego płomyka ognia. Każdy człowiek, który miał sens, był szczęśliwy i bezpieczny. Pustka nie mogła mu nic zrobić. Dzięki sensowi było jasno i ciepło. Każdy miał swój sens, który chronił.

W pewnej bardzo krótkiej chwili w pustce powstała postać. Pojawiła się z niczego. Nie miała uczuć. Nie zachowywała się też jak człowiek. Było to nienaturalne, więc ludzie tego nie rozumieli. Nowy twór pustki ludzkość nazwała Niczym.

Nic nie miało swojego sensu. Próbowало je rozpać, ale nigdy mu się nie udało. Było samo. Ludzie coraz bardziej się od niego oddalali. Kiedy Nic próbowało się zbliżyć, wszyscy uciekali. Niczemu było coraz zimniej. Było coraz ciemniej. Patrzyło, jak ludzie odchodzą.

W pewnym momencie, w pobliżu Niczego zabłądził człowiek. Jego sens zgasł, a on sam nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Umierał. Niczemu zrobiło się żal tego człowieka, więc podeszło do niego i swoim własnym ciepłem ogrzewało jego ciało pośród pustki. Po jakimś czasie człowiek niespodziewanie odzyskał swój sens, dzięki pomocy Niczego. Wstał, popatrzył się przez chwilę na Nic i odszedł, jakby nigdy nie istniało. Nic poczuło jeszcze większe zimno.

Czy to, co robiło przez cały ten czas, było zbędne?

Czy ten człowiek o nim zapomniał?

Nic nie wiedziało. Pragnęło wiedzieć.

Pobiegło w stronę, w którą odszedł człowiek. Kiedy zaczęło widzieć zarys jego postaci, na swojej drodze spotkało dwóch ludzi. Każdy ogrzewał swój własny sens. Nic, kiedy zobaczyło sens, zapragnęło go dotknąć. Kiedy zbliżało się powoli do ludzi, ci, ogarnięci niespodziewanym zimnem, jakie przyniosło Nic ze swojej pustki, odsunęli się dalej. Niczemu znowu zrobiło się jeszcze zimniej. Ci ludzie nie wiedzieli, jak bardzo Nic potrzebowało sensu. Nic zrozumiało, że bez niego kiedyś zniknie. Stanie się tym, z czego zostało zrobione.

Nic zaczęło panikować. Biegało od jednego człowieka do drugiego, chcąc zaczerpnąć choć odrobinę sensu.

Po długim czasie, jaki zmarnowało na poszukiwanie go, Nic cicho osunęło się na ziemię. Ciepło, jakie z siebie dotychczas oddawało, zniknęło. Nic, powoli zaczęło znikać, tracąc wiarę w to, że kiedykolwiek jeszcze będzie mogło zdobyć sens. Umierało. Z każdą kolejną sekundą było coraz ciemniej. Coraz zimniej.

Nic zniknęło.

Jednak, jego świadomość pozostała. Wszystko było zatopione w głębokiej, gęstej czerni. Nic próbowało się obudzić, jednak nic nie mogło zrobić.

Mijały dni. Miesiące. Lata.

Nic nie miało już żadnej wiary. Nic nie miało niczego. Nie było nawet pewne, czy kiedykolwiek istniało. Miało wybór – albo utonąć na zawsze w pustce, tracąc świadomość, albo czekać, w stałej, bolesnej niepewności.

Nic postanowiło utonąć. To, co przeżywało, to było dla niego za dużo. Kiedy brało swój ostatni oddech i ostatni raz mogło o czymś pomyśleć, uśmiechnęło się do pustki.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem – to były ostatnie słowa, które wypowiedziało.

Sekunda po sekundzie. Czas mijał, a Nic razem z nim.

Umierało.

Kiedy zamykało oczy, przez ułamek sekundy, zobaczyło coś w od dali. Przybliżało się coraz szybciej, wypełniając pustkę swoim bla-

skiem. Nic nagle zapragnęło żyć dalej. Chciało zbliżyć się do tego światła, ale pustka trzymała je coraz mocniej. Po paru sekundach, kiedy już się poddało, światło znalazło się tuż obok niego. Nic podniosło wzrok. To było coś, co wyglądało tak samo, jak on. Nie miało swojego sensu. Było w tym coś, czego Nic nie rozumiało.

– Znalazłem cię. Bardzo długo cię szukałem – powiedziało. – To ty jesteś Niczym, którego szukam?

Nic przytaknęło z bezsilnością. Nie wiedziało, czym jest ten byt i czego od niego chce. Wiedziało tylko, że jego obecność sprawia, że czuje się lepiej.

– Dziękuję, że tu jesteś, Sensie – powiedziała postać, po czym mocno przytuliła Nic do siebie. Nic nie wiedziało, o co chodzi. Jego wnętrze wypełniło się ciepłem i pierwszy raz w trakcie swojego istnienia czuło się tak dobrze.

Kiedy spojrzało w dół, zauważyło, że posiada nogi. Miało też swoje własne ręce. Miało serce. Mogło widzieć. Nic spojrzało na byt, który nadal mocno go przytulał.

– Cemu nazwałeś mnie Sensem? – zapytało Nic.

– Ponieważ prawdziwy Sens polega na tym, że to tylko my razem nim jesteśmy. Ty jesteś sensem dla mnie, a ja dla ciebie.

– Bardzo długo cię szukałem. Dziękuję.

Od tamtej pory pustka już dla Niczego nie istniała. To, czego od zawsze szukało, było zawsze w nim samym. Dzięki drugiemu człowiekowi sami możemy stać się sensem. To tylko od nas zależy, co wybierzemy.

**Anna Łazarowicz (Ikarianna), kl. 8
Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6
w Warszawie**

Pudełko z wyobraźnią

Ta błękitnooka dziewczynka na zdjęciu, która tak ślicznie się uśmiecha, to ja. Oczywiście od czasu, gdy wykonano to zdjęcie, minęło kilkanaście lat, w końcu już dawno przestałam być tym dzieckiem, które widać na fotografii. Jaka byłam kiedyś? Dobre pytanie. Myślę, że najtrafniejsze będzie określenie „nierozumna”. Żyłam w pięknym świecie, gdzie nie istnieje zło, a jeśli przybędzie z odległych lądów, to zawsze przyjedzie rycerz na białym koniu i mnie uratuje. Co weekend odbywałam dalekie podróże w odwiedziny do królowej wrózek i wracałam stamtąd w poniedziałek, lecąc na czarowanym dywanie. Wszystko było takie wspaniałe, takie cudowne. Nie rozumiałam wtedy, że to tylko moja fantazja, wyobrażenia o czymś, co tak naprawdę nie istnieje i nigdy istnieć nie będzie. Nie umiałam zaakceptować, że rzeczywistość nie jest taka kolorowa, a różowe okulary nie przepuszczają wszechobecnej monotonii. Byłam po prostu dzieckiem. Bezbronnym dzieckiem, które nie musi wiele osiągnąć, ani dużo posiadać, aby być w pełni szczęśliwym. Ja byłam naprawdę szczęśliwa. Ale jak tak teraz sobie myślę, to było złudzenie, wyczarowane przez moją wybujałą wyobraźnię. A szczęście? Nie znałam prawdy, takie było moje szczęście. Niezmiennie się teraz cieszę, że to wszystko jest już za mną. Teraz jestem osobą, która podąża za wiedzą i kieruje się rozumem. Nie idealizuję świata, widzę go dokładnie takim, jakim jest. Widzę zagrożenia, zło, nieszczęście. Twardo stąpam po ziemi, nie uciekam myślami w nieistniejące krainy. Nie biegnę za snami, nie zatapiam się w marzeniach, ani też nie gonię za czymś, co jest po prostu niemożliwe. Nie lubię pokładać nadziei w spełnieniu czegoś nieprawdopodobnego. Po co tracić czas na coś, co nie istnieje?

Wiem, na co mnie stać, i że mogę wiele osiągnąć, jeśli się naprawdę postaram. Wszystko jest tak skonstruowane, że trzeba działać według wzorów i schematów – odstępstwa od reguł rzadko prowadzą do prawdziwego sukcesu. Nie można uciekać od monotonii, bo jest nieunikniona, trzeba się do niej przyzwyczaić. Wtedy jest prościej. Czasami też warto pozbyć się czegoś z siebie, uwięzić to w klatce, by otrzymać coś innego, lepszego, wartościowszego. Tak było w moim przypadku z wyobraźnią. Marzenia były jak mgła, przysłaniały drogę do sukcesu, a widok kolorowego świata trochę męczył oczy. Ciężko mi było trwać w zakłamaniu, nie potrafiłam dalej żyć, oszukując się, że „wszystko będzie dobrze”, kiedy wiedziałam, że tak nie jest. Postanowiłam więc pozbyć się mojego latającego dywanu, mojej krainy wrózek, rycerza na białym koniu i wiecznego szczęścia. Zamknęłam to wszystko w ogromnej skrzyni, gdzieś na końcu mojego umysłu. Założyłam żelazną kłódkę, a klucz wrzuciłam do jeziora niepamięci. Skupiłam się na wzorach, schematach, regułach, zasadach i innych rzeczach, które w mojej opinii były ważniejsze. Podziałało. Wprawdzie często słyszałam od innych, że jestem nudna i sztywna, bo zamiast opierać się monotonii życia codziennego, postanowiłam rzucić się w jej szare ramiona, ale nie przejmowałam się tym. Wiedziałam, że to właściwe.

Życie okazało się cykliczne, tak jak zapowiadano, ale byłam na to gotowa. Mijał już kolejny rok – zdaje się, że dziesiąty – odkąd uwięziłam wyobraźnię. Wszystko wyglądało tak samo: początek roku, szkoła lub praca, ferie zimowe, następnie kolejne tygodnie pracy lub nauki, później Wielkanoc, lato i wakacje, we wrześniu znów do szkoły, chyba że już pracowałam, Zadzuszki, Boże Narodzenie, Sylwester i wszystko od nowa. Szczerze było mi żal osób, które biegły dalej z kłapkami na oczach, a gdy docierały do niewidzialnej mety i wkraczały w prawdziwą rzeczywistość, traciły grunt pod stopami i znajdowały się w sytuacji bez wyjścia. Znałam wielu takich ludzi. Wydaje mi się nawet, że czasem mi zazdrościli. Podczas, gdy oni topili się w morzu błędów przeszłości, ja biegłam naprzód, wspinałam się, aż w końcu dotarłam na szczyt. Może

i straciłam wyobraźnię. Może nie potrafię komuś współczuć, bo nie umiem sobie wyobrazić, co czuje, może widzę świat na czarno-biało. Może nie umiem spojrzeć na niektóre sprawy z własnej perspektywy, bo przykleiłam się do wielkich oczu tłumu, bo nie potrafię wymyślić niczego oryginalnego. Może świat dla mnie stracił swój urok. I tak niczego nie żałuję.

Były święta, a właściwie okres przedświąteczny. Wszystko jak zawsze stało na głowie: witryny sklepowe mieniły się kolorami tęczy, miasto tonęło od nadmiaru dekoracji, a ulice wypełniał zapach pierników i grzanego wina. W powietrzu wyczuwalne było szczęście, ale na mnie działało to przytłaczająco. Za dużo tego blichtru. Kolejne dni grudnia minęły bardzo szybko, nawet się nie obejrzałam, a już był dwudziesty czwarty, Wigilia. Rano wszystko przygotowałam. Ubrałam się odświętnie i po południu byłam gotowa, by spotkać się z rodziną. Uroczysta kolacja miała się odbyć u babci, tam gdzie zawsze. Nie miałam za bardzo ochoty na spotkanie z rodziną, nie przepadałam za takimi świętami. Jednak tradycja to tradycja, nie można jej łamać. Wyszłam więc z domu i skierowałam się do domu babci. Był jedynie kilka ulic dalej, nie miałam daleko.

Gdy tylko przekroczyłam próg mieszkania babci, uderzyła mnie gama najróżniejszych zapachów, od aromatu świeżo ugotowanego czerwonego barszczu, przez pomarańcze z goździkami i pierniki, kończąc na specyficznej woni ognia, tłącego się nieśmiało na knotach świec. Wybiła godzina siedemnasta, gdy wraz z całą rodziną zasiedliśmy do wspólnego posiłku. Nic niezwykłego. Zajmowałam się tym co zwykle, czyli opowiadaniem "co tam u mnie". Poza tym skupiałam się na sobie, ignorując moje otoczenie. Krewni, jak co roku, chwalili mnie za moje coraz liczniejsze osiągnięcia, i jak w każde święta narzekali na brak śniegu. Młodszy kuzyn oblał się barszczem, jego młodsza siostra zjadła cały opłatek przed życzeniami, dziadkowie posprzeczali się o politykę, a kot tradycyjnie przewrócił choinkę. Wszystko w normie. Jak w każde święta nadeszła też pora na prezenty, które piętrzyły się pod choinką, owinięte fantazyjnie w kolorowe papiery i obwiązane

wstążkami. Otrzymałam kilka niewielkich podarunków, które na dodatek nie trafiły w mój gust, ale nie przejmowałam się tym. Jak mawiają: liczy się gest. Wydawało się, że to już koniec spotkania, porozmawiamy jeszcze chwilę i znowu rozjedziemy się do domów, zamykając w czterech ścianach. Moja radość była przedwczesna, bo pod choinką leżało jeszcze jedno pudełko. Różniło się znacznie od poprzednich: papier, którym zostało owinięte, nie był nawet kolorowy, był zwykłym papierem do pakowania. Pudełko miało przyczepioną małą złotą kokardkę. A co najciekawsze, obok tej kokardki znajdowała się karteczka z moim imieniem. Na pudełku widniał sporych rozmiarów rysunek klucza oraz napis wykonany czarnym markerem: „Wyobraźnia”.

Z prezentów ludzie powinni się cieszyć, albo chociaż udawać, że się cieszą. W tamtej chwili nie potrafiłam, czułam się jakbym dostała w twarz. Serce waliło mi jak oszalałe: z jednej strony byłam zdenerwowana, z drugiej natomiast się bałam. Nie raz mi zarzucano, że jestem taka, a nie inna, kiedy fantazjowałam, a gdy wyzbyłam się tego i zaczęłam piąć się w górę, wszyscy byli ze mnie dumni. Nigdy nie brałam ani zarzutów, ani gratulacji do siebie. I jedno i drugie było mi obojętne. Nie chciałam tego zmieniać. Wolałam, by zostało tak, jak jest. Sama nie rozumiałam, dlaczego mnie to aż tak dotknęło. Odebrałam ten prezent jako chęć sprawienia mi przykrości. Kiedy słyszałam, że jestem pozbawiona wyobraźni, nie przejmowałam się ani trochę, ale taki prezent był przesadą. Pomimo mnóstwa negatywnych uczuć, które zaczęły we mnie szaleć, zabrałam się za otwieranie. Drżącymi z emocji dłońmi otworzyłam pudełko i zajrzałam do środka, myśląc, że znajdę w nim jakieś quizy lub kolorowe ozdoby. Z tym mi się kojarzyła wyobraźnia, z czymś abstrakcyjnym i kolorowym. Ewentualnie w środku mógł być klucz, ten sam, który lata temu wyrzuciłam do umysłowego jeziora niepamięci. Rozczarowałam się: w pudełku nie było nic!

Z trudem powstrzymałam się od wybuchu. Nawet opanowany introwertyk ma swoje granice, ja właśnie dotarłam do swojej. Popatrzyłam po mojej rodzinie, zastanawiając się, kto z nich mógł

mi zrobić coś takiego. Zdawało mi się zawsze, że jestem dla nich ważna, że nikt by nie chciał mi dokuczyć. Widać, pomyliłam się. Zebrałam szybko swoje rzeczy, wymuszając nieszczerzy uśmiech, pożegnałam się i pospiesznie wyszłam. Na zewnątrz, jak na złość, padał deszcz, a ja przyszłam pieszo. Nie przewidziałam, że może padać, więc nie wzięłam parasolki. „Cudownie, będę moknąć” – pomyślałam. Wracałam w całkowitej ciszy, nie rozmawiałam z nikim przez telefon, nie słuchałam muzyki. Byłam tak zamyślona, że stałam się głucha i ślepa na to, co dzieje się dookoła mnie. Ignorowałam bijące dzwony w pobliskim kościele i roześmiane dzieci, wracające z rodzicami do domu. Ignorowałam mokre ubrania, przyklejające się do mojego ciała, utrudniające swobodne ruchy. Mój umysł pochłaniały rozmyślenia o tym, co stało się przed chwilą.

Następne dni wyglądały praktycznie tak samo, wykonywałam jak robot codzienne czynności, z jednym wyjątkiem: cały czas myślałam o pudełku. Nie potrafiłam skupić się na żadnej pracy, bo moje myśli zbaczały na inny tor. Kto podarował mi pudełko? Naprawdę chciał mnie tym skrzywdzić? A może miał w tym ukryty cel? Skoro tak, to jaki? Może tam coś było i ktoś to wcześniej zabrał? Co mogło się tam znajdować? I kto to zabrał? Może tam JESZCZE nic nie było i nagle miało się pojawić? Może tam było coś napisane? Może ja czegoś nie zauważyłam? Zadawałam mnóstwo pytań, ale odpowiedzi nie mogłam znaleźć nigdzie. Szczęście, że zabrałam ze sobą to pudełko, mogłam je więc porządnie zbadać. Wymyślałam coraz to nowsze sposoby odczytywania wiadomości, snułam teorie na temat tego, co było w środku albo co miało się tam znajdować. A jeśli tam było coś ważnego? Jakies dokumenty? A co, jeśli to coś większego? Może ktoś tam coś umieścił, ale ktoś inny nie chciał, by tamten pierwszy ktoś, umieszczał tam to coś i przyszedł, by to zabrać, by nikt nie widział i w pośpiechu zapomniał o pudełku? KOSMICI?! Nie, raczej nie oni. A może jakiś daleki krewny, o którym nie wiem? Może to były informacje dla mnie, ale wśród mojej rodziny jest szpieg, który sprawił, że ich nie otrzymałam? W takim razie nadawca niedługo się ze mną skontaktuje. Albo ktoś był bardzo niezdeterminowany, chciał

mi powierzyć jakąś misję, ale nie był pewien, czy jestem gotowa, więc się finalnie wycofał? Może jestem legendarnym wybrańcem z filmów, który ma uratować świat? Nawet nie zwróciłam uwagi, że moje myśli zbaczały z toru racjonalizmu i brnęły dalej, i dalej. Nie zauważyłam, że księżniczka, rycerz, wróżki, dywan i cała moja wyobraźnia szamocze się w zamkniętej skrzyni, powoli niszcząc ją od środka.

Wybrałam się na spacer, by pozwolić mojemu umysłowi odpocząć na chwilę od tych wszystkich pytań i ogólnie odrobinę się zrelaksować. Idąc, patrzyłam na otaczający mnie las i go podziwiałam. Wsłuchiwałam się z uśmiechem w szum gałęzi smaganych chłodnym zimowym wiatrem, co jakiś czas zwracając wzrok ku niebu, gdzie ten sam wiatr bawił się w berka z chmurami. A właśnie, chmury, jakież one były piękne! Bardzo przyjemnie mi się na nie patrzyło i odgadywało, do czego są najbardziej zbliżone. Widziałam smoki, zamki, jaszczurki, pegazy, czarodziejskie różdżki... Dawno nie byłam na tak wspaniałym spacerze, dawno tak nie odpoczęłam i nie napełniłam się radością. Było przyjemnie zapomnieć na parę godzin o pracy, o stałym wspinaniu się po drabinie kariery, przykrościach i przeciwnościach losu. Fajnie było znów nieświadomie wrócić do dawnych lat, odwiedzić magiczną krainę szczęścia, gdzie dominowały wyraziste barwy, a smutki nie istniały.

Nie zorientowałam się, kiedy wyobraźnia doszczętnie zniszczyła skrzynię, w której ją kiedyś zamknęłam, a po wydostaniu się, rozbiła szklaną barierę mojego suchego racjonalizmu, którą się otaczałam. Nie byłam świadoma, ile to pudełko zmieniło w moim życiu. Obudziło coś, co usilnie w sobie tłumiłam. Wróciła ta mała dziewczynka, która uśmiecha się promiennie ze zdjęcia. I co najważniejsze, wróciła wyobraźnia, mieszając się z wiedzą i doświadczeniem. Nie przeszkadzała na dalszej drodze samorealizacji, wręcz przeciwnie, w wielu sytuacjach pomagała. Dopiero teraz, kiedy zadomowiła się we mnie na powrót, zrozumiałam, jak bardzo kiedyś się myliłam.

**Oliwia Maciejewska
(Hermenegilda Blumenstein), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 3
w Piotrkowie Trybunalskim**

Franny

24 lipca, 1936

„Local News”

Ogłoszenia:

Pan J. Johnson sprzedaje auto. Więcej wiadomości na miejscu.
Adres: Garden Avenue 43.

Państwo O. i F. Thompson apelują o pomoc w poszukiwaniach porcelanowej lalki należącej do ich córki. Zabawka została zgubiona w trakcie występu iluzjonistów, podczas obchodów Święta Niepodległości. Znalazca otrzyma nagrodę w wysokości 5 dolarów. Kontakt w redakcji.

Cukiernia „Drożdżówka” już otwarta...

20 lat później...

Poniedziałek, 18 czerwca 1956

Droga Jodi!

Dziękuję, że odpisałaś. Nie wiedziałam, że na wakacjach można znaleźć czas na pisanie listów do przyjaciółki na drugim końcu świata! Naprawdę, ciągle mnie zaskakujesz! Ostatnio przytrafiła mi się ciekawa historia, którą poniżej postaram się jak najlepiej zrelacjonować. Nadmieniam, że moje zdolności pisarskie nie są najwyższych lotów, ale zaryzykuję.

Dzień jak co dzień. Wstałam z samego rana, zjadłam śniadanie i ubrałam się. W końcu zesłam na dół do sklepu. Jak zwykle do godziny dwunastej nikt nie przychodził. Potem zresztą sklep też świecił pustkami. Jednak tego dnia zastała mnie niespodzianka. Po trzynastej usłyszałam charakterystyczny odgłos dzwoneczka przy drzwiach. Drynnn!!! Aż lekko się wzdrygnęłam. Po chwili u progu stanął młody, wysoki ciemnowłosy mężczyzna. Miał lekki zarost i robotnicze ubranie, a w rękę trzymał jakiś pakunek. Prawdę mówiąc, wyglądał na typa spod ciemnej gwiazdy.

– Dzień dobry – mruknął.

Muszę przyznać, że przez chwilę bałam się, że to porywacz, albo złodziej. Delikatnie położył zawiniątko na ladzie. Odwiązałam sznurek, a kiedy poznałam zawartość paczki, aż zamarłam. W środku bowiem była Franny. Nie wiem, czy pamiętasz moją lalkę z dzieciństwa. Moja zabawka zaginęła 20 lat temu, i była naprawdę wyjątkowa.

– Ile za nią dostanę? – zapytał mężczyzna.

Pospieszenie założyłam okulary i odpowiedziałam mu:

– Jest... naprawdę wyjątkowa. Chińska porcelana, jedwabne nici...

– A ile za nią dostanę? – powtórzył pytanie, już lekko zniecierpliwiony.

– 25 dolarów – odpowiedziałam, już nieco bardziej oschła.

– Tylko tyle!? Proszę zerknąć na jakość, na piękne wykonanie, niepowtarzalna okazja! 35 dolarów i jesteśmy kwita.

– 30 dolarów – zupełnie nie wiem czemu, ale poczułam, że muszę ją mieć. Jestem zbyt sentymentalna. Kiedyś mnie to zgubi. Zresztą, targowanie się to część mojego zawodu.

– Do tej trzydziestki, niech Pani dorzuci piąta, w przeciwnym razie się pożegnamy – odpowiedział.

– Zgoda – uścisnęłam mu rękę i podałam pieniądze.

Zniknął tak szybko jak się pojawił. Podbiegłam do drzwi wejściowych, przewróciłam tabliczkę na „ZAMKNIĘTE”. Podeszłam do lady i zabrałam lalkę. Po schodach weszłam do mojego mieszkania. Położyłam Franny na moim biurku. O dziwo jej stan był prak-

tycznie taki sam, jak zapamiętałam. Pod jej sukienką wciąż była wszyta karteczka z napisem: „Własność Melanie Thompson”. Jak lalka mogła przetrwać w tak dobrym stanie? Cały czas zadawałam sobie to pytanie. Ostatni raz miałam ją przecież podczas Świąta Niepodległości w trzydziestym szóstym roku. Magicy, którzy wtedy występowali, robili numer ze znikaniem drogocennych przedmiotów, należących do widzów. Tylko że część osób już ich nie odzyskała, w tym ja. Długo jej szukałam: gazety były całe w ogłoszeniach, nagrody za znalezienie i tym podobne. Ale Franny przepadła bez śladu. Przytuliłam lalkę. W tym czasie przypominałam sobie wszystkie spędzone z nią chwile. Muszę przyznać, że trochę się popłakałam. Ale malutko. Nagle, ktoś zapukał do drzwi. Otarłam łzy i zesłam na dół.

Przez szybę zobaczyłam, że to George. Pamiętasz, wspominałam Ci o nim – to ten zadufany w sobie Anglik, który mieszka koło mnie. Chcąc nie chcąc, musiałam go wpuścić, przecież rodzice wychowali mnie na kulturalnego człowieka.

– Dzień dobry, George – powitałam go wymuszonym uśmiechem.

– Chcesz coś znowu kupić? – dokończyłam. Jak zapewne pamiętasz, George dostał w spadku po jakimś swoim wuju, angielskim lordzie, mnóstwo pieniędzy. To głównie on napędza teraz sprzedaż w moim sklepie. Przychodzi praktycznie dzień w dzień.

– A co innego miałbym robić? – odpowiedział i podniósł brew. Jak on mnie irytował! Chodził tam i z powrotem i oglądał różne przedmioty. Ja usiadłam za ladą. W końcu zdecydował się zakupić jeden z zegarów.

– Ile płacę? – zapytał.

– 50 dolarów – odparłam, na co on wręczył mi trzy dwudziestki.

– Nie wydawaj reszty – powiedział szybko, gdy otworzyłam kasę.

– Czemu? – spytałam zdziwiona.

– Jak wiesz... – odpowiedział mi lekko zmieszany – mam psa.

– Nie rozumiem. Chcesz mi go sprzedać?!

– Skądże! Wyjadę na jakiś czas. Chodzi mi o to, byś zajęła się nim przez jakiś tydzień. Będiesz tak miła? – dokończył. Nie ukrywam, że się zdziwiłam. Sądziłam, że George to typowy

pompatyczny angol z przerośniętym ego, który za żadne skarby świata nikogo o nic nie poprosi.

– Nie ma problemu – odparłam.

– Normalnie, bym Cię nie poprosił, ale wymagają tego pewne okoliczności. Przyjdź jutro o dziewiątej.

– Dobrze. Do widzenia.

– Do widzenia – i wyszedł.

Do końca dnia nikt nie przekroczył progu sklepu. Wieczorem zjadłam sytą kolację, umyłam się i czytałam książkę. Zasnęłam przed północą. Następnego dnia o umówionej godzinie poszłam do Georga. Zapukałam do drzwi.

– Otwarte – usłyszałam zrozpaczony głos mojego sąsiada. Gdy przekroczyłam próg mieszkania, powitał mnie jego pies. Nie znam się na tych zwierzętach, ale podejrzewałam, że był to buldog lub mops. Po ceremonialnym powitaniu pupila mojego sąsiada, zobaczyłam w jakim stanie jest jego mieszkanie. Wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado. Poprzerwane szafki, ubrania wyrzucone z szafy i rozbite talerze. Na sofie w salonie siedział George, który wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Z wyjazdu nici... Wszystko ukradli! – powiedział.

– Ale, jak to się stało? Przecież włamywacze nie wtargnęli tutaj w biały dzień, prawda? – odpowiedziałam mu. Chyba po raz pierwszy w życiu mu współczułam. W końcu strata całego dobytku w jego przypadku, to katastrofa. Miał wiele starych przedmiotów, pierwsze wydania książek, eleganckie ubrania, a do tego złoto i biżuterię z klejnotami.

– Po wyjściu od Ciebie, poszedłem odwiedzić jeszcze kilku kolegów z antykwariatów i zjeść kolację na mieście. W restauracji spotkałem starego znajomego i trochę się zasiedziałem. Właściwie to wróciłem nad ranem. Kiedy zastałem cały ten bałagan, usiadłem i nie miałem siły, aby się podnieść.

– A zgłosiłeś to na policję?

– Nawet telefon ukradli! – krzyknął.

– Dobrze, ja zadzwonię od siebie. Ty zostań tutaj, niech... Jak on się nazywał? Bean?

– To suczka. Nazywa się Bindy.

– Rozumiem. Niech Bindy Cię wspiera – rzuciłam i skierowałam się do wyjścia. Kiedy znalazłam się w domu, wykręciłam numer na policję i zgłosiłam kradzież. Po 30 minutach przez okno zobaczyłam radiowóz. Uspokojona, zeszłam na dół do sklepu. Ale mój spokój nie trwał długo. Po tym, jak policja odjechała, do sklepu wszedł George z Bindy. Był w pogniecionym ubraniu i z papierem w ręku, który był w podobnym stanie, co jego odzież.

– Melanie! – powiedział z wyższością. Trochę mnie to ucieszyło, gdyż oznaczało to, że powoli wraca do siebie. – Mam sprawę do Ciebie.

– Jaką? – gdy to rzekłam, podał mi kawałek papieru, ten który miał w ręku.

– Widzisz? Ty też zostałam okradziona – stwierdził. Czy nie byłaś wtedy na pokazie iluzji „Wielkiego Jeffa”?

– Tak, masz pamięć do szczegółów.

– Ukradli ci lalkę, prawda? A co byś powiedziała, gdyby udało nam się namierzyć sprawcę tej kradzieży? Ba! Może nawet odzyskałabyś swoją własność. On znowu jest w mieście!

Podczas tej rozmowy czułam się dziwnie. Mój sąsiad zachowywał się jak wariat. Mimo to odpowiedziałam mu:

– Nie uwierzysz, ale odzyskałam ją wczoraj! Chcesz zobaczyć?

– Mhm – mruknął.

Weszłam na górę po Franny. Gdy zniosłam ją na dół, George krzyknął:

– Biegnij za mną. Szybko! – i ruszył z Bindy.

Muszę przyznać, że leciał jak strzała. Zupełnie się po nim tego nie spodziewałam. Trudno było mi za nim nadążyć. Szczególnie w butach na obcasie. Wreszcie zatrzymał się pod jakąś przyczepą. Na pewno by wszedł, gdyby nie to, że musiał na mnie poczekać. Kiedy dobiegłam, Bindy zaczęła szczekać. Nagle, drzwi od przyczepy otworzyła nam kobieta. Była już po pięćdziesiątce, miała zniszczone, potargane włosy, znoszone ubrania i podkrążone oczy.

– Czego? – spytała. Bindy szczekała jeszcze głośniejsze. – Czy ten kundel może się zamknąć?!

- Trochę grzeczniej, dobrze? Szukamy niejakiego Jeffa Lee. Zna go pani? – powiedział George.
- A co panu do tego?
- Można wejść? – przepychając się wszedł do środka. Bindy prychnęła na kobietę.
- Co pan robi?! Wynocha! – krzyknęła i weszła za nimi.
- Ja również. W środku zobaczyłam trzech mężczyzn: jednego w wieku około pięćdziesięciu lat, drugiego po dwudziestce i trzeciego nastolatka, mógł mieć jakieś szesnaście lat. Tego, co miał dwadzieścia lat widziałam w sklepie, gdy kupiłam od niego Franny. Oprócz nich w pokoju była jeszcze dziewczynka.
- Rosaline! – krzyknął najstarszy z mężczyzn. – Co oni tutaj robią?! Zabierajcie się stąd, ja tu pracuję! – gestem pokazał, że mamy iść.
- Dobrze, tylko najpierw niech mi pan odpowie, gdzie są moje zastawy, ubrania, biżuteria i zabytkowe przedmioty! – odpowiedział George, a Bindy jakby na to, że się zgadza, szczeknęła.
- Ty, w tym robotniczym ubraniu – powiedziałam do mężczyzny, który sprzedał mi Franny.
- Ja? – zapytał.
- Tak. Jak się nazywasz?
- Ted.
- Dobra, Ted. Wiesz, że sprzedałeś mi moją lalkę z dzieciństwa? – pokazałam mu Franny.
- Przecież to Dora! – do rozmowy wtrąciła się dziewczynka.
- Erica, co ty mówisz? Ty ją pierwszy raz na oczy widzisz, prawda?
- powiedziała Rosaline, z naciskiem na ostatnie słowo.
- Nieprawda, mamusiu. To jest Dora, ta lalka, której nie mogłam ruszać. Macie ją, odkąd pamiętam. Ta pani musiała wam ją ukraść.
- Idź lepiej się pobawić na dworze, dziecko! – rzekła jej matka.
- Hau – szczeknęła Bindy. Otworzyła pyszczkiem jakąś szafkę, a w niej były skradzione przedmioty z domu mojego sąsiada, wiele z nich zakupił w moim sklepie.

– Dobra sunia, dobra – George pogłaskał ją po głowie. Ale na to nie macie już chyba dowodów – pokazał im marynarkę, która na nikogo nie mogła pasować.

– To wszystko wasza wina! Mówilem: sprzedać, a wy... Erica, Ted – to przede wszystkim wasza sprawka! Rosaline, to właśnie ty mówiłaś, że na Gilberta ten garnitur będzie dobry za kilka lat. Gilbert, ty również masz sporo za uszami, więc się nie uśmiechaj – krzyknął ze złością Jeff.

W tej chwili spostrzegłam, że nie ma z nami George’a. Ale już po chwili wrócił. Z dwoma policjantami.

– Już po mnie – powiedział „wielki” iluzjonista. Gdy go zabierali w kajdankach, podeszłam do Ericki.

– Masz – dałam jej 10 dolarów. Kup sobie coś ładnego.

– To moje pierwsze, własne pieniądze – powiedziała i odeszła, nawet nie dziękując.

Ta niewielka suma nieco uspokoiła moje sumienie, przyczyniłam się przecież do aresztowania jej ojca. Spojrzałam, co robi mój sąsiad. Musiałam się powstrzymać od śmiechu, bo on przytulał swój garnitur. Gdy zauważył, że się patrzę powiedział:

– Melanie, masz mi oddać 10 dolarów, pamiętasz? Opieka nad Bindy. To już nieaktualne – powiedział do mnie. Prawdopodobnie nawet w chwili swojej śmierci powiedziałby:

Melanie, miałaś taką filiżankę, ja ją kupiłem, ale nie zabrałem. Mogłbym ją dostać?

O sprawie, jak się pewnie domyślasz, zrobiło się głośno. Kilka gazet przeprowadziło z nami wywiad! Losami Jeffa jakoś specjalnie się nie interesowałam, podobno siedzi w więzieniu, jak się okazało, na swoim koncie miał mnóstwo innych kradzieży.

Poniżej jeszcze wycinek z gazety.

Twoja Melanie

16 czerwca, 1956

„Local News”

Złodzieje złapani! Zagadka tajemniczych kradzieży rozwiązana. Melanie Thompson oraz George Gray bohaterami.

– Tak, to dzięki nam „Wielki Jeff”, pozał się Boże iluzjonista, okazał się wielkim oszustem. Mówiąc „nam” mam na myśli mnie i Bindy, mojego psa. Bez Melanie dałbym radę sam – mówi Pan Gray.

– Cieszy mnie, że nie będzie już żadnych kradzieży. Sama padłam ofiarą jednej z nich, a łączna wartość skradzionych rzeczy jest szacowana na 10 000 dolarów. A poza tym bez George’a, Bindy i mojej lalki Franny byłoby to niewykonalne – twierdzi panna Thompson. Sprawę skomentował również szeryf Jerry Bell:

– Szukaliśmy Jeffa Lee od 20 lat. Niestety, nie wszystkie rzeczy odnajdą właściciela, ale postaramy się zrobić, co w naszej mocy. Apelujemy do ofiar, aby skontaktowali się z lokalnym komisariatem policji.

Więcej informacji znajdziecie w jutrzejszym numerze „Local News”.

Natalia Paszkiewicz (Duszek), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie

Enigmat Galdona

Pewnego pochmurnego dnia w kamienicy przy skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic dało się dostrzec siedzącego w oknie bruneta. Jego twarz wyrażała, co czuł w tamtej chwili – złość, rozczarowanie i strach. Albowiem kilka chwil wcześniej jego oschły ojciec przekazał mu wiadomość, że w poniedziałek zostanie odesłany do szkoły z internatem. Jak powiedział mężczyzna, nauczy to chłopaka dyscypliny i przygotuje go do dorosłego życia. Joachim

nie był jednak co do tego przekonany. W obecnej szkole nie miał, co prawda, wielu przyjaciół, ale nadal szkoda mu było opuszczać rodzinne miasto. Pomimo tego, jak sceptycznie podchodził do pomysłu ojca, wiedział że nie ma sensu z nim dyskutować, bo ten i tak postawi na swoim. W tej sytuacji pozostało mu tylko zacząć pakować walizki do wyjazdu.

Zanim Joachim się zorientował, już był poniedziałek i stał na progu domu ze swoim niewielkim przybytkiem. Ojciec oczywiście nie mógł odwieźć syna do nowej szkoły ze względu na swoją pracę, do tego zadania wysłał szofera. Równie o dwunastej pod kamienicą stał idealnie wypolerowany obszerny samochód. Chłopak podał kierowcy swoje torby, a sam usadowił się na tylnym siedzeniu. Chwilę później samochód jechał już po brukowanych ulicach miasta, z którym Joachim miał się nie zobaczyć przez długi czas. Cherlawy mężczyzna prowadzący auto co jakiś czas rzucał chłopakowi współczujące spojrzenia.

– Wiesz chłopcze, szkoła Galdona to naprawdę dobra placówka... z dość fascynującą historią – odezwał się nagle szofer.

– Więc tak nazywa się to miejsce – powiedział Joachim oschłym tonem.

– W rzeczy samej, nazwa pochodzi od imienia założyciela – Eryka Galdona. Szkoła istnieje już od ponad 200 lat, a budynek, w którym się znajduje, jest jeszcze starszy! Kiedyś mieścił się tam zakon, ale mnisi nie mogli kontynuować swej działalności z powodu... hmm, jakby to określić, niewyjaśnionych zdarzeń.

– Niewyjaśnionych zdarzeń? – powtórzył słowa kierowcy Joachim. – Co ma pan konkretnie na myśli?

– Nie mam zbyt dużej wiedzy na ten temat, poza tym spójrz, mój drogi, już dojeżdżamy na miejsce.

Joachim uniósł wzrok i ujrzał starą kamienną budowlę stojącą w otulinie lasu i porośniętą zewsząd bluszczem. Przypominała mu ona bardziej ruiny zamku aniżeli prestiżową szkołę z internatem. Szofer podjechał tuż pod bramy szkoły, podał chłopakowi jego torby i wskazał palcem na wielkie drewniane drzwi.

– To jest wejście, powodzenia chłopcze! – powiedział.

Joachim lekko uśmiechnął się i kiwnął głową w geście podziękowania za słowa otuchy. Odwrócił się na pięcie i niepewnym krokiem zaczął maszerować w stronę szkoły. Odwrócił się ostatni raz, aby ujrzeć kierowcę odprowadzającego go wzrokiem. Chłopak nie mógł nie zauważyć zmartwienia, jakie malowało się w oczach szofera, ale ostatecznie postanowił to zignorować.

Joachim otworzył masywne drzwi, aby ujrzeć piękny hol, szerokie kamienne schody i majestatycznie wyglądający obraz o nieprześcietnych wymiarach. Był pod takim wrażeniem wnętrza, że nie zwrócił nawet uwagi na czekający na niego orszak powitalny. Nie był to oczywiście prawdziwy orszak, ale zapewniam was, że tak wyglądał. Na czele stał łysy mężczyzna z burgundową muchą pod szyją, po jego dwóch bokach uczniowie, na oko odrobinę młodsi od Joachima, trzymający sztandary szkoły, a na samym końcu stała trójka wychowanków w mundurkach, których kolorystyka komplementowała muchę poważnie wyglądającego pana.

– Witaj, mój drogi, w szkole Galdona! Twój ojciec uprzedził mnie oczywiście o twoim przyjeździe i w imieniu całej szkoły chciałbym cię serdecznie powitać w naszych skromnych progach. Chodź, proszę, podążaj za mną – powiedział łysy mężczyzna. – Zapomniałem się przedstawić, jestem dyrektorem tej zacnej placówki i nazywam się Bartłomiej Skarga.

Po kilku minutach podążania za panem Skargą i jego orszakiem po kamiennych korytarzach, w końcu wszyscy zatrzymali się przy średniej wielkości drewnianych drzwiach.

– To jest mój gabinet, poczekaj chwilę zaraz dostaniesz swój mundur – powiedział dyrektor.

Po chwili wyłonił się zza drzwi i wręczył chłopakowi równo złożoną marynarkę, spodnie, koszulę i kraciasty krawat.

– Ta trójka zaprowadzi cię do twojego dormitorium – powiedział mężczyzna, wskazując na uczniów, którzy byli na końcu „orszaku”. Wszyscy troje równym krokiem ruszyli przed siebie, a za nimi próbował nadążyć Joachim. W końcu dotarli do dormitorium.

– To część sypialniana chłopców, więc zostawię was już samych – powiedziała rudowłosa dziewczyna i odeszła.

Joachim został z dwójką chłopaków.

– Więc... jak się nazywasz? – zapytał jeden z nich, przerywając tym samym niezręczną ciszę.

– Jo-joachim – powiedział, jękając się chłopak.

– Ja jestem Andrzej, a to Karol – dodał, wskazując na drugiego chłopca.

– Tu jest twoje łóżko, pokój będziesz dzielił z nami i jeszcze jednym koleśiem. Ubrania wypakuj do tej ciemnej szafy – objaśnił Karol.

Joachim kiwał tylko głową.

– Proszę, to twój plan lekcji. Na dole przy wyjściu z dormitorium jest mapa szkoły z numerami sal. Na początku łatwo się pogubić, ale z czasem zapamiętasz, co gdzie jest – powiedział Karol z uprzejmym uśmiechem.

– Dziękuję – odparł Joachim.

Był już późny wieczór, więc po rozpakowaniu swoich rzeczy i umyciu się, nasz bohater poszedł prosto do łóżka.

Kolejnego dnia chłopak wstał o siódmej trzydzieści, aby zdążyć na pierwszą lekcję, której początek przypadał na godzinę ósmą. Wyszedł wraz z innymi rówieśnikami z dormitorium, zjadł śniadanie w pięknej jadalni o wysokim suficie, a potem odmaszerował w stronę sal lekcyjnych. Dzień ten nie był w żadnym stopniu wyjątkowy dla Joachima. Nauczyciele jakby zignorowali fakt, że w klasie jest nowy uczeń i kontynuowali lekcje, jak to robili zazwyczaj; ale Joachimowi to pasowało, nie lubił skupiać na sobie uwagi. Opiekunowie nie dawali swym uczniom spocząć na laurach. Z trzech przedmiotów zostały już zapowiedziane sprawdziany. W związku z tą sytuacją Joachim po zakończeniu lekcji zdecydował udać się do biblioteki, aby zacząć przygotowywać się do nadchodzących testów. Kiedy chłopak wkroczył do czytelni, był pod wrażeniem imponującej ilości książek, tworzących szkolne zbiory. Z fascynacją zaczął oglądać okładki i wertować strony starych książek. W pewnym momencie natrafił na pozycję, która prawdziwie go zaintrygowała. Była to na oko dość leciwa książka opatrzona skórzaną okładką, z wygrawerowanym złotym napisem. Tytuł

głosił: „Historia znana i nieznana szkoły Galdona”. Joachim już dawno zapomniał o nauce do sprawdzianów, teraz cała jego uwaga skupiła się na tej właśnie książce. Chwycił ją pod pachę i pospiesznie skierował się w stronę długiego stołu, przy którym uczniowie studiowali różnorodne pozycje literackie. Usiadł i otworzył książkę. Pierwszy rozdział był zatytułowany: „Klasztorna historia budynku”. Joachim przypomniał sobie słowa kierowcy – mnisi nie mogli kontynuować swojej działalności z powodu niewyjaśnionych zdarzeń. Słowa szofera jeszcze bardziej wzmożyły chęć dowiedzenia się, co musiało stać się w klasztorze, że zmusiło to mnichów do jego zamknięcia. Im bardziej zagłębiał się w treść lektury, tym bardziej rósł jego głód na wiedzę.

„Po zaginięciu kilku mnichów i jednym opętaniu, została podjęta decyzja o zamknięciu klasztoru” – przeczytał Joachim.

A więc zjawiska paranormalne... – pomyślał.

Czytając dalej, dowiadywał się o coraz to bardziej niepokojących wydarzeniach. Po przestudiowaniu całej książki w niecałe trzy godziny, Joachim zanotował, że w historii szkoły doszło do jedenastu tajemniczych śmierci uczniów, a w zakonie do co najmniej trzech. Łącznie czternaście zgonów! Joachim odłożył książkę na miejsce i opuścił bibliotekę z wieloma pytaniami kłębiącymi się w jego głowie. Na przykład, co łączyło te wszystkie sprawy? Kolejnego dnia chłopak nie potrafił skupić się na lekcjach, siedział jak na szpilkach, nie mógł doczekać się wizyty w bibliotece. Po dzwonku oznajmującym koniec lekcji, Joachim zerwał się z krzesła i pobiegł do upragnionego księgozbioru. Miał już na kartce wypisane nazwiska zmarłych osób, teraz musiał zdobyć o nich informacje. Podeszedł do biurka bibliotekarki w podeszłym wieku i zapytał:

– Przepraszam, czy są tu może jakieś spisy uczniów, albumy rocznikowe, jakiegokolwiek źródło mówiące o dawnych uczniach?

– O tak kochanieńki, mamy albumy z wpisami uczniów. Jakiego rocznika konkretnie potrzebujesz? – powiedziała uprzejma bibliotekarka.

Joachim podyktował jej jedenaście roczników. Starsza pani podała mu stos grubych albumów i posłała ciepły uśmiech. Chłopak

zaniósł książkową wieżę na stół i zaczął po kolei wyszukiwać informacje o zmarłych. Po przewertowaniu jedenastu albumów Joachim dostrzegł pewną zależność, wszystkie ofiary interesowały się historią szkoły.

Hmmmm, co to może mieć wspólnego z ich śmiercią – pomyślał. Po odniesieniu albumów i podziękowaniu bibliotekarce zaczął szukać informacji o opętaniach i śmierci mnichów. Po intensywnym przeszukaniu biblioteki chłopak stwierdził, że nie ma pozycji, która udzieliłaby mu odpowiedzi na jego pytania.

Kolejnego dnia podjął decyzję, że poprosi o pomoc nauczyciela historii. Przedmiot ten miał niestety dopiero za kilka dni, więc musiał zaczekać. W końcu nadszedł dzień, w którym chłopak mógł zadać to kluczowe pytanie historykowi. Po lekcji uczniowi udało się zatrzymać nauczyciela, zanim opuścił salę lekcyjną.

– Proszę pana, chciałbym się spytać, czy ma pan wiedzę na temat zakonu i mnichów, którzy tu przebywali przed powstaniem szkoły Galdona? – spytał Joachim.

– Owszem, co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

– Mógłby mi pan powiedzieć coś o sprawach opętań i śmierci zakonników?

– W porządku, dawno w XVII w. doszło do opętania mnicha Radosława, szczególnie pobożnej osoby. Sprawa była na tyle poważna, że nawet egzorcyzmy mu nie pomogły, ostatecznie jego ciało nie wytrzymało i zmarł. Od tamtego czasu w zakonie działały się dziwne rzeczy – ginęli ludzie, poruszały się przedmioty. Próbowano wielu sposobów, aby wygonić złe duchy z tego miejsca, jednak nic nie działało. Ostatecznie podjęto decyzję o zamknięciu klasztoru, bo został uznany za miejsce... niebezpieczne. Kilkadziesiąt lat później pan Eryk Galdon rozbudował budynek byłego zakonu i otworzył w tym miejscu szkołę. Miejscowi ludzie protestowali przeciwko temu, jednak pan Galdon zignorował to.

– Czy... czy myśli pan, że może mieć to związek z późniejszymi zgonami uczniów?

– Jest to podejrzana sprawa, aczkolwiek nie wyciągaj pochopnych wniosków i nie wierz w duchy. Myślę, że były to nieszczęśliwe

wypadki, biorąc pod uwagę fakt, że przyczyną śmierci wszystkich ofiar był upadek z wysokości. Historia, którą ci opowiedziałem jest bardziej legendą niż faktem.

– Hmmm, i tak bardzo dziękuję za pomoc! Do widzenia – i z tymi słowami Joachim wybiegł z sali.

Tym razem chłopak nie poszedł do biblioteki, ale do dormitorium. Musiał przemyśleć kilka kwestii i spróbować połączyć kropki, które prowadziły do rozwiązania tajemnicy. Joachim do późnych nocnych godzin siedział nad swoimi notatkami i próbował coś zrozumieć. W końcu oczy chłopaka zrobiły się duże jak pięć złotych i gwałtownie wstał od biurka mamrocząc:

– Wiem, wiem, wiem, już wszystko rozumiem! Muszę to komuś powiedzieć.

Joachim wybiegł z dormitorium i zdawało mu się, że właśnie zobaczył dyrektora przemierzającego korytarze.

– Panie dyrektorze, panie dyrektorze! – wołał chłopak, próbując dogonić postać.

Jednak ta nie zwalniała, wręcz przeciwnie, szła coraz szybciej. W końcu Joachim zobaczył, jak wychodzi przez duże drewniane drzwi, poza teren szkoły. Chłopak był zdesperowany, aby podzielić się odkrytą tajemnicą z dyrektorem. Gdy był tuż przy schodach, usłyszał głos mówiący:

– Klik klak, bam bam, nie opuścisz moich bram – skandował głos. Z czasem dołączały do niego kolejne i kolejne. Łącznie słowa te skandował chór 14 głosów.

Przerażony Joachim cały czas biegł przed siebie, ale głosy otaczające go ze wszystkich stron sprawiły, że nie panował już nad tym, gdzie niosą go nogi. Kolejnego ranka w szkole dało się słyszeć rozmowę policjantów:

– Czas zgonu?

– Około godziny drugiej nad ranem.

– Przyczyna?

– Upadek z wysokości...

I w taki właśnie sposób Joachim dołączył jako 15 głos do chóru strażników enigmatu Galdona. Niektóre sekrety są zbyt mroczne,

aby kiedykolwiek ujrzeć światło dzienne i na zawsze mają pozostać tylko sekretami. Możesz się mnie zapytać, czytelniku, dlaczego nie dostałeś odpowiedzi na pytanie, czym jest ta niezwykła tajemnica. Odpowiedź jest prosta – nie chcemy przecież, aby do chóru dołączył kolejny głos.

Dawid Halerz (Davidof), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaśle

Na tropie kocich łapek

W naszym życiu dzieje się wiele niewiarygodnych sytuacji, które nas zaskakują. Pragnę przedstawić jedną z nich. Ponieważ interesuję się psychologią zwierząt, wiem, że mają one terapeutyczny wpływ na nasze ciała i umysły. Potrafią być wspaniałymi ratownikami, przewodnikami i przyjaciółmi pomagającymi zapomnieć o wielu traumatycznych przeżyciach. Sam mam od czterech lat kota – brytyjczyka, któremu powierzam swoje tajemnice, obdarzam go przyjaźnią, a on potrafi odwzajemnić każdy gest okazanej dobroci. Jednak moja historia wcale nie będzie dotyczyła tego pupila.

Był wrześniowy dzień, jednak bardzo słoneczny, jak na tę porę roku. Aby nie wpaść w tryby codzienności, postanowiłem wracać ze szkoły nieco inną drogą niż zawsze. Podziwiając uroki wczesnojesiennej przyrody, a szczególnie feerię barw jasielskiego parku, dotarłem do małego osiedlowego sklepiku, na witrynie którego siedział kot. Oczywiście moja wrodzona miłość do zwierząt nie pozwoliła mi przejść koło niego obojętnie. Kiedy mój wzrok usiłował nawiązać nić porozumienia z jego szmaragdowymi oczami, w rozmowę ze mną wdała się niezwykle miła ekspedientka sklepu: – To mój nowy klient! – powiedziała z uśmiechem. – Od pięciu dni – dodała. Przychodzi codziennie o różnej porze, sadowi się na parapecie i czeka na mięsny smakołyk.

– Ma pani bardzo oryginalną reklamę wędlin! – odparłem zaskoczony.

– Tak, odchodzi dopiero wtedy, gdy ktoś podaruje mu kawałek mięsa lub kiełbaski. Ucieka wtedy w tamtym kierunku – odrzekła, pokazując ręką na witrynę sklepu.

Historia ta nieco mnie rozśmieszyła, ale czas nieubłagane pędził, więc musiałem podążać w stronę domu, aby swoim spóźnieniem nie wprowadzić rodziców w zakłopotanie.

Kolejnego dnia postanowiłem wracać tą samą drogą. Nie ukrywam, że zbliżając się do wystawy sklepu, wypatrywałem kudłatego kociaka, którego miałem przyjemność poznać dzień wcześniej. Serce zabiło mi mocniej, bo – czworonóg, nie zwracając uwagi na przechodniów – dostojnie siedział w stałym miejscu oczekiwań i wpatrywał się w apetyczną wystawę. Chwilę wcześniej – dla zregenerowania swych nadszarpniętych lekcjami sił – zamierzałem kupić w gościnnym sklepiku baton kokosowy oraz napój, jednak teraz postanowiłem dokonać zmiany w planowanej liście zakupów. Poprosiłem o parówkę i ofiarowałem ją kociakowi. Ten popatrzył na mnie z wdzięcznością w oczach, powolnym ruchem wziął ją do pyszczka i zaczął się oddalać.

Moja ciekawość podpowiedziała mi, abym poszedł jego tropem. Ponieważ swoje pomysły zawsze uważam za doskonałe, tak też uczyniłem. Kot przebiegał bardzo szybko ulicami miasta, nie zwracał uwagi na znaki drogowe, więc dotarł do celu, łamiąc po drodze wszelkie zakazy. Pościg za nim utrudniał mi ciężki plecak ze szkolnymi podręcznikami, ale nie dawałem za wygraną. Na skrzyżowaniu ulic, w pobliżu parku, spostrzegłem policyjny patrol, więc pomyślałem, że zostanę zatrzymany. Funkcjonariusze jednak dziwnie spojrzeli na kota biegnącego z parówką w pyszczku i na mnie podążającego jego tropem. Ku mojemu zdziwieniu puścili nas wolno.

Kot z prędkością geparda dotarł na skwerek w pobliżu dworca kolejowego i ze swoją zdobyczą wskoczył pod betonową płytę. Pochyliłem się i zobaczyłem, że leży tam smutne głodne kocisko. Na mojej twarzy pojawiły się łzy wzruszenia. Zrozumiałem, że to

właśnie dla niego przeznaczona była parówka. Kociak leżał i nie mógł stanąć na własnych łapkach. Pomyślałem, że jest sparalizowany.

Wobec tego, co zobaczyłem, nie mogłem zostać obojętny. Powróciłem do domu i opowiedziałem o wszystkim rodzicom. Moja opowieść i przekonanie o tym, że temu kociakowi trzeba pomóc, zmotywowała rodziców do szybkiego działania. Postanowili pojechać ze mną we wskazane miejsce.

Dzień zbliżał się ku wieczorowi, ciemne chmury zasłoniły błękit nieba i zaczął padać deszcz. Zobaczyliśmy niecodzienny widok – mój znajomy sierściuch leżał przy chorym współtowarzyszu i lizał jego chore łapki. Decyzja taty była stanowcza.

– Jedziemy do weterynarza – zawyrokował.

Wraz z mamą delikatnie włożyliśmy koty do tekturowego pudełka, które znajdowało się w bagażniku. Bezradne i bezbronne – nie stawiały najmniejszych oporów. Najkrótszą drogą udaliśmy się do zaprzyjaźnionego weterynarza.

Lekarz, po dokonaniu oględzin, doszedł do wniosku, że koty nie są ze sobą spokrewnione, ale łączy je nierozzerwalna więź. Po prześwietleniu poszkodowanego dachowca, okazało się, że kociak nie mógł chodzić, ponieważ miał złamane dwie tylne łapki. Aby mu pomóc, potrzebna była kosztowna operacja. Podjęcie decyzji nie było łatwe, ale rozsądek dawał za wygraną. Na leczenie bezdomnych kociaków ofiarowałem swoje fundusze, które miałem zainwestować w zakup nowoczesnej elektrycznej hulajnogi.

Po niezwykle skomplikowanym, ale udanym zabiegu usłyszałem słowa lekarza, których tak oczekiwałem:

– Ten kociak ma wiele szczęścia, będzie chodził. Uratowałeś mu życie!

Ogarnął mnie stan niezwyklej euforii połączonej z dumą. Choć mówi się, że kot ma siedem żyw, to ja na pewno uratowałem mu to aktualne.

Ja i moi rodzice postanowiliśmy zabrać oba koty do naszego domu, ponieważ doszliśmy do wniosku, że nie możemy przerwać tej niezwyklej przyjaźni. Teraz życie kociaków diametralnie się

zmieniło. Postanowiłem, że skoro nie są bezdomnymi mieszkańcami Jasła, nie mogą być bezimienne. Kociaka, którego miałem przyjemność poznać, wracając ze szkoły, nazwałem Miki, zaś kotkę Felcia. Nowe towarzystwo zapoznałem z moją kotką Miśką. Proces ich wzajemnej akceptacji trwał niezwykle krótko. Koci przyjaciele mają teraz swój zakątek w naszym salonie. Śpią w wiklinowym koszu, słodko mruczą przytuleni do siebie, a ich spojrzenia to wyraz niezwyklej przyjaźni. Nowi mieszkańcy naszego domu są dowodem na to, że przyjaźń między zwierzętami czasami potrafi być mocniejsza od więzi międzyludzkich.

Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

Miejsce 1

123 Adam Drewko: *Eter*

Miejsce 2

123 Natalia Pietruszka: *Szklanki Pandory*

Miejsce 3

124 Zuzanna Banach-Dziura: *Przedsenność*

Wyróżnienia

125 Hanna Gołąb: *Babciu*

126 Julia Nguyen Van: *Śliwka wpadła w kompot plum*

127 Jakub Borys: *Insomnia*

127 Anna Kociszewska: *Szkic*

128 Karol Janiga: *Desperat, Fraszka o pobożnym kierowcy*

Opowiadania

Miejsce 1

129 Wiktoria Oleksy: *Na szczyt*

Miejsce 2

131 Weronika Łopacka: *Abraham*

Miejsce 3

133 Karolina Niemiałkowska: *Dziewczynka z sierocińca*

Wyróżnienia

138 Julia Nguyen Van: *Szczęśliwego nowego roku*

147 Zuzanna Zaborek: *Ciszej tam, Cyprianie*

151 Patrycja Gotfryd: *Hetman i burza*

155 Natalia Pikusa: *Hanahaki*

162 Natalia Hetman: *Przytul*

168 Emilia Gotfryd: *Czerwona wstążka*

Adam Drewko (Trafny), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące Dwujęzyczne
w Gliwicach

Eter

To nie wiersz,
to chmara świetlików zamknięta w słoiku,
brzęczy i mości się pod kopułą z kości.

To nie dialog,
to nicią myśli – moich i twoich,
senna mara zwinnie utkana.

To nie proza,
to bystre rzeki płynące
korytami żył, wody mące.

To dusz naszych gra,
gra na odległość co dzieli kosmos i piach.
Zasypiam z nią na powiekach.

Natalia Pietruszka (Pietruszk4), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące
z Oddziałami Dwujęzycznymi w Wałbrzychu

Szklanki Pandory

gdy skończę płakać nad złamanym paznokciem
i bezradnie rozlanym mlekiem
nie całkiem niechcący uderzę kapciem
w stół ze Szklanką Pandory nad brzegiem

zamiast zmieść będę zbierać palcami
rozsypane kłujące szkiełka

może słońce dotknie ich promieniami
i błysną jakąś chwilą
której nikt poza mną już nie pamięta

być może dla pewności trzeba będzie zajrzeć
czy jakiś przebiegły szklisty odłamek
nie ukrył się przypadkiem pod jedną z szafek

gdzie – być też może – przeoczony fragment
którejś z tysiąca poprzednich szklanek

**Zuzanna Banach-Dziura (Banachówna), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**

Przedsenność

oczy zamyka się bez namysłu
z poparzonymi od blasku księżyca powiekami
(powtarzaj za mną
światło odbite światło odbite światło odbite)
nocą wypada umierać cicho
nie budzić matki i ojca
i siebie
bo też ze mnie człowiek a
człowiek składa się w sześćdziesięciu procentach z wody
i przychodzi czas by w niej utonąć
dlatego ja tak często płaczę
żeby
na miłość boską
(Boga podobno nie ma)
nie tonąć

Hanna Gołąb (Fatamorgana), kl. 2
III Liceum Ogólnokształcące w Katowicach

Babciu

Wszystko się zaczęło
a ja byłam pustym pokojem
od nagich ścian odbitą
kakofonią bezsensownych myśli

W tej przestrzeni zapalałaś świece
jedną po drugiej, dzień po dniu, rok po roku
Łącząc kłębki moich spojrzeń
w litery, słowa, zdania i uczucia

Byłam zapomnianą uliczką
przez którą cierpliwie przeprowadziłaś barwne postaci
mówiące mi, że dzień akurat dobry
którą wybieliłaś, by nad każdą skazą móc choćby westchnąć

Byłam całym miastem, teraz zatopionym w świetle
całym kontynentem Twoich opowieści
szeptanych do snu, wlewanych do zup
Wszystkimi kadrami wszystkich Twoich uśmiechów

Nie byłam, nie będę planetą
Choć jasna, kompletna, z własną już atmosferą
na zawsze pozostałam księżycowym odbiciem
zapatrzoną w zachwycie, dumną satelitą

**Julia Nguyen Van (Ranna Cebula), kl. 1
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**

Śliwka wpadła w kompot plum

„o boże”.

dlaczego
dlaczego
dlaczego
ja taka jestem!!!!

najpierw wpadam jak śliwka w kompot
i lubię ten kompot
piję go całego
jest taki słodki słodki słodki

i nagle go nie ma
wypiłam?
śliwka w kompocie zamieniła się w śliwkę w dzbanie

a teraz?
ktoś leje kolejną porcję kompotu!
lej!
l e j !
l e j !
czemu tak łapczywie go pragnę?
sako wiem że i tak skończę znów na dnie?

dlaczego
dlaczego
dlaczego

dlatego
ciepło kompotu zastępują mi ciepłe prysznice

Jakub Borys (Xawery), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu

Insomnia

spokoju iskra syci dzień
nad światem lazuru morze
utkany pejzaż z gwiazd i ciem
których nie widać na co dzień

wieczorem długie łuny lamp
niszczą bezsenny krajobraz nocy
gdy blask księżyca pada na twarz
i człowiek za nim ślepo kroczy

poranków iskry tłumią sen
wskrzeszają emocje w martwe ciało
by poczuć w życiu jeszcze tlen
na który zwykle czasu mało

Anna Kociszewska (Ofelia Lis), kl. 3
Zespół Szkół Artystyczno-Projektowych
w Tarnowskich Górach

Szkic

Żrenicą oka łapię światło, zagarniam je dłonią,
obracam między palcami, badając kształt i fakturę.
Obserwuję.
Zamiast jedynie widzieć, zaczynam dostrzegać.
Z fascynacją badam świat, w którym uczestniczę.
Szybkim impulsem, trzema ruchami ołówka,
kreślę na papierze swoją rzeczywistość.
Bez perfekcji, bez doskonałości, bez zbytniego namysłu.

Istotą szkicu jest ulotność.
Jednym zdaniem grafitu, zostawiam miejsce
na dopowiedzenia.
Dzieło momentu, kompletne samo w sobie.
Jeśli zechcę, drogą kolejnych kartek, prowadzić będzie
do sztuki wymownej.

Karol Janiga (Jankar), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu

Desperat

wynoście się
nie napisałem wiersza
nic tu nie znajdziecie
nie ma tu słońca
i nie ma deszczu

wynoście się

a może
jednak mnie poniosło
mam dwa rymy
pisane na siłę
a może tylko z pozoru
trochę jak wiersz – niemiłe
są wasze, jak morał w bajce
a teraz – proszę –
wracajcie do domów

wracajcie

Fraszka o pobożnym kierowcy

jeździł ciągle zwrócony ku niebu
aż został stałym organizatorem pogrzebów

**Wiktoria Oleksy (Shivellion), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące w Wałbrzychu**

Na szczyt

Nic nie rozumiesz.

Nic nie wiesz.

Z niczego nie zdajesz sobie sprawy.

Twoje żałosne próby uwolnienia się z bagna rozpaczcy są całkiem zabawne.

Śmieć.

Tchórz.

Egoistka.

Utożsamiasz się z którymś z tych określeń? Nie musisz. I tak zrobię to za ciebie. Wleję w twoje ciało niewyobrażalnie wielkie pokłady czarnej smoły, z której będziesz chciała wydostać się za wszelką cenę. Potrwa to kilka tygodni, być może nieco dłużej. W zależności od tego, jak słabym ogniwem jesteś.

Po pewnym czasie dopadnie cię syndrom sztokholmski względem gęstej mazi, w której zaczniesz robić ci się przyjemnie. Posłuż jako schronienie. Dom. Twoje miejsce w świecie.

Nie oszukuj samej siebie. Brakowało ci tego, prawda? Tak właśnie myślałam.

Nie ma znaczenia, którą drogę postanowisz obrać. Każda próba ucieczki zakończy się niepowodzeniem, bowiem jedyną kontrolę nad tobą sprawuję ja. Już rozumiesz? To nie twój wybór. Ja tutaj rządzę. Do mnie należy każda decyzja.

To ja jestem tobą. Zamieszkujemy jedno kruche ciało, które powoli przestaje dawać sobie radę. Ostatecznie spocznie niezauważenie, podeptane przez armię Ludzi. Nikt nie zwróci na nie większej uwagi. Niektórzy wysilą się na przepełnione fałszywym żalem uwagi, wspominki czy spóźnione komplementy, jednak na niewiele się to zda. Zapomną do miesiąca. Pójdą dalej, pozostawiając za sobą gnijące szczątki bezwartościowego stworzenia. Żaden człowiek nie przejmie się przygotowaniem godnego pochówku dla zwierzęcia, którego istnienie nie przyniosło niczego dobrego.

Powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo nieistotna jesteś. Wyskrobię z ciebie resztki energii, spokoju i chęci do życia. Nie będziesz mieć najmniejszej ochoty na towarzystwo kogokolwiek innego. Zapragniesz zaszyć się w swoim obskurnym pokoiku i utoniesz pod ciężarem kołdry, spod której nie będziesz chciała wychodzić. Utkniesz w pętli czasowej, gdzie noc natychmiast przechodzi w dzień i z powrotem zapada mrok. Nie będziesz nawet wiedzieć, ile czasu minęło, odkąd wstąpiłaś tu po raz pierwszy.

Życie będzie się toczyło dalej. Pojawi się jednak złudne wrażenie, że świat stanął w miejscu i nie przynosi już takiej satysfakcji jak kiedyś. Stanie się ciężarem, który trudno będzie ci nieść. A masz przecież tylko dwie, wątłe ręce.

Znienawidzisz zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Nawet rudy dachowiec sąsiadki, na którego widok zawsze promieniałaś radością, zacznie denerwować cię swoim chodem, miauczeniem, spojrzeniem jaskrawych oczu. Nie dasz rady wysiedzieć w towarzystwie najbliższych ci osób. Każdy uzna cię za wariatkę i nie będzie miał ochoty przejmować się twoim samopoczuciem. Znienawidzą cię równie mocno, jak ty znienawidzisz ich.

Lecz dobrze wiem, że mimo to potrzebujesz czyjejś bliskości. Oto i jestem. Otulę cię swoimi ramionami, mimo iż na początku będziesz próbowała uciec. Chęć uwolnienia się ode mnie zgaśnie jednak tak szybko, jak się pojawiła, ustępując miejsca pustce. Podasz się niemal od razu, bowiem jesteś zbyt słaba. Zawsze byłaś.

Przejmę kontrolę nad twoim ciałem i umysłem. Będę niczym kula u nogi, której za nic nie możesz się pozbyć. Pamiętaj, że jestem twoim najgorszym koszmarem.

Ale także przyjaciółką.

Jako jedyna pokażę ci, kim tak naprawdę jesteś. Wszyscy, którzy byli przede mną kłamali i nadal będą próbowali wmówić ci nieprawdę. Zapomnij więc o każdym słowie, które kiedykolwiek padło z ust innej osoby w twoją stronę. Słodkie kłamstwa bywają kuszące, jednak po co zawracać sobie nimi głowę? Musisz twardo stąpać po ziemi, zdawać sobie sprawę z tego, kim jesteś. Pomogę ci w tym.

Bo taki właśnie jest mój cel. Poskładałam cię na nowo, odbuduję oraz sprawię, że staniesz się kompletnie inną osobą. Zaprowadzę cię na sam szczyt.

Szczyt, z którego jedyną drogą ucieczki będzie skok.

Twoja najdroższa
D.

**Weronika Łopacka (Anonim), kl. 2
Liceum Ogólnokształcące
w Międzyrzeczu Podlaskim**

Abraham

Właściwie nawet jej nie pamiętam. Wyglądała jak wszystkie inne, które miałem i które miałem mieć. Należała do rasy o ogolonej głowie i sygnaturowanym ciele. Była stutysienną kopią jednego gatunku kobiety, który ówczesnie znałem. Wyróżniała się jedynie kopulistym wybrzuszeniem spod szmat, jakie nosiła. Tobą.

Początkowo, kiedy jeszcze nie wypchałeś jej od środka, nikt nawet nie myślał posądzać ją o twoje istnienie. Nieco później nienaturalna forma zaczęła być dostrzegana. Najpierw przez te, z którymi dzieliła prycze lub klepisko, a potem przeze mnie. Widziałem, jak

owija wokół ciebie zarobaczone szmaty, które wcześniej zdzierała z tych, które śniły z otwartymi powiekami. Zawijała je tak mocno, jakby wiedziała, że teraz na pewno w niej obumrzesz, a potem szła do roboty w polu na dwanaście godzin. Za każdym razem po powrocie, kiedy zrywała poranioną skórę płatami i łudziła się, że tym razem udało jej się dokopać do życia, które w nią wmuszono, spotykał ją ten sam zawód. Oprócz gnijących ran i pręg nie było tam niczego, co mogła uznać za okaleczenie obcej istoty. Ciebie. Podziwiałem ją za wytrwałość. Jej wyobraźnia stale podrzucała nowe pomysły unicestwienia szkodnika w zarodku, a później w płodzie. Stosowała się do ludowych mądrości i obozowych medykamentów, a jednak mimo wszystko w niej zostałeś. Zakorzeniłeś na dobre w macicy i umyśle, choć w tym drugim pozostałeś na długo po opuszczeniu tego pierwszego. Nie było mnie przy tym. Właściwie byłem tylko raz, przy procesie łączenia komórek. Później występowałem już tylko w roli cichego obserwatora i diabła, o którym ci opowiadała. Twojego ojca.

A ty, ty byłeś jedynie kopią podobną do tysięcy innych kopii, zalegających w za ciasnych, obandażowanych łonach. W tym kilku na pewno zagarniętych przeze mnie. Dowiadywałem się o nich zawsze, kiedy zeszkrobywałem ich, niemowlęcy już wówczas popiół z pieców. Ty przeżyłeś. Jak ja. Ewakuowano mnie wraz z pozostałymi ostatniej zimy wojny, abym tułał się po moczarach i żerował na łasce obcych. Jak ty. W tamtym czasie byliśmy identyczni. Jeden stworzony z drugiego. Aryjczyk i żydowski pomiot w łonie takiego samego, żydowskiego pomiotu. Rodzina wojną silna. Coś zrodzone z niczego. Jak ty, ja i ona. Twoja matka.

Wtedy widziałem cię po raz ostatni w postaci niewidocznej kijanki. W kolejnych latach przybrałeś formę człowieka bez twarzy. Nie mogłem cię sobie wyobrazić. Byłem jedynie pewny co do włosów. Musiały być moje, jasne. Dlatego tak cię nienawidziła. Obcinała i farbowała je, ale odrastały, jak piętno. W każdym złotym puklu dostrzegała nasze podobieństwo i wasze różnice; zadarte i haczykowate nosy, jaskrawe i przygaszone oczy, ostre i delikatne rysy twarzy. Umierałem i zmartwychwstawałem w tobie przy każ-

dych jej postrzyżynach, nienawistnych spojrzeń i nieudanych transakcjach. Pozwalałeś jej na wszystko, nawet tamtego dnia. Pozwoliłeś zawlec się tam, skąd kierowałem sznury posłusznych baranków na spotkanie z ostrzem Abrahama. Bezwiednie, jak cała towarzysząca wam reszta, zostałeś Izaakiem. Potulnie ułożyłeś się na kamiennym łonie matki i pozwoliłeś spętać. Wymieniliśmy spojrzenia, a ostrze znalazło się przy waszych gardłach, jednocześnie spadając wam na głowy. Metaliczny zapach uniósł się w powietrzu, a ręka Boga zawisała nad wami. Przez wyżłobione w drzwiach okienko widziałem, jak znikasz w cielesnej otchłani, zmniejszasz rozmiary brzusznej kopuły i wracasz tam, skąd przybyłeś.

**Karolina Niemiałkowska (Eirene), kl. 1
Liceum Ogólnokształcące nr 4 w Lublinie**

Dziewczynka z sierocińca

Historia znana niewielu ludziom. Przez jednych zapomniana, przez innych jeszcze niepoznana. Same znaki zapytania, a żadnej odpowiedzi. Historia zniknięcia bez śladu pewnej rodziny. Sprawa niewyjaśniona mimo upływu lat. Przez policję nazywana sprawą *Dziewczynki z sierocińca...*

Był szósty dzień, szóstej miesiąca, pewnego roku. Szczęśliwe małżeństwo wracało z sierocińca, z teraz już ich sześciolletnią córką. Dziewczynka od urodzenia aż do czasu adopcji mieszkała w różnych domach dziecka. Jej jedynym przyjacielem był mały, brązowy miś z czarnymi paciorkowatymi oczami i wążutką białą wstążką owiniętą wokół szyi. Pracownicy sierocińca uważali dziewczynkę za małomówną i wycofaną dziecko o przeszywającym spojrzeniu. Każdy, kto się z nim zetknął, odczuwał dziwny niepokój. Małżeństwo nie zamierzało jednak ulegać irracjonalnym lękom. Para postanowiła zakończyć tułaczkę dziewczynki, dając jej nowy dom. Trzyosobowa rodzina zmierzała zatem do

mieszkania. Kobieta i mężczyzna szli z uśmiechem na ustach, lecz na twarzy dziecka nie było radości. Jego oczy wydawały się puste i czarne jak źrenice misia. Mocno trzymało maskotkę w ramionach i od czasu do czasu szeptało jej coś do ucha.

Od razu po wejściu do mieszkania, dziewczynka zaczęła się rozglądać. Żona uśmiechnęła się do swojego męża i powiedziała, że odprowadzi sześciolatkę do jej pokoju. Mężczyzna tylko skinął głową i wszedł do kuchni, lecz w głębi duszy odczuwał nieuzasadniony niepokój. Kobieta zaprowadziła córkę na górę. Dziewczynka, idąc za swoją nową mamą, wpatrywała się w każdy z wiszących na ścianie obrazów. Nagle zobaczyła, że jedne drzwi po jej lewej stronie są uchylone. Nie trzeba było podchodzić bliżej, by zorientować się, że to pokój małego dziecka. Dziewczynka wiedziała, że w pomieszczeniu nikt nie mieszka. Sześciolatka przeszła obok pokoiku, intensywnie się w niego wpatrując. Następnie przeniosła wzrok na plecy kobiety. Po chwili doszły do beżowych drzwi, które kolorystycznie pasowały do sukienki dziewczynki. Przybrana matka uśmiechnęła się szeroko do córki, lecz uśmiech ten miał w sobie coś sztucznego. Kobieta otworzyła przed dzieckiem wejście do sypialni i jego oczom ukazał się średniej wielkości pokój w odcieniach beżu i bieli. Dziewczynka nieśpiesznie do niego weszła i stanęła na środku. Równie wolno odwróciła się w stronę kobiety, patrząc na nią beznamiętnym wzrokiem, nie zdradzającym żadnych uczuć.

– Dziękuję, mamó... – to były pierwsze słowa wypowiedziane przez dziewczynkę do kobiety.

Głos dziecka był cichy, a przez to nieco przerażający. Kobieta, słysząc słowa córki, uśmiechnęła się szerzej, jednak nie mogła wyzbyć się uczucia niepokoju. Po jej plecach przebiegł zimny dreszcz. – Na razie zostawię Cię samą, byś przyjrzała się swojej sypialni. Zawołam, jak jedzenie będzie gotowe – mówiąc to, kobieta rzuciła ostatnie spojrzenie na dziewczynkę i zamknęła drzwi.

Po kliknięciu zamka z jej twarzy zniknęła radość. Miejsce dotychczasowego szczęścia zastąpiło podenerwowanie. Kobieta jak najszybciej zaczęła oddalać się od pokoju i zeszła na dół. Pozo-

stawiona samej sobie, mała sześciolatka wciąż wpatrywała się w miejsce, w którym stała jej nowa matka. Na szczupłej buzi pojawił się lekki uśmiech, jednak oczy nadal pozostawały obojętne. Po kilku minutach odwróciła się i podeszła do okna znajdującego się naprzeciwko drzwi. Posadziła na parapecie swojego brązowego misia i spojrzała mu w oczy. Przez krótką chwilę można było ujrzeć czerwony blask w czarnych, paciorkowatych ślepkach. Dziewczynka pozostała niewzruszona, lecz jej uśmiech stawał się coraz szerszy. Wiedziała, co stanie się prędzej czy później, wszak miś by jej nie okłamał, prawda?

W końcu nowi rodzice zdążyli przygotować obiad. Gdy dziewczynka usłyszała głos kobiety, którą wcześniej nazwała „mamą”, jej uśmiech zaczął znikać, a na twarz powrócił zwyczajny, obojętny wyraz. Sięgnęła po misia z parapetu, ostatni raz patrząc w jego małe oczka. Spokojnie wyszła z pokoju i skierowała się w stronę schodów. Idąc korytarzem, ponownie minęła drzwi do pokoiku, lecz tym razem były one zamknięte. Powoli zeszła na dół do jadalni, gdzie kobieta i mężczyzna rozkładali nakrycia. Podeszła do wolnego miejsca przy stole i usiadła, wciąż z misiem w ramionach. Po chwili naprzeciwko niej zasiadło małżeństwo. Obiad minął w całkowitej ciszy. Para chciała nawiązać rozmowę z dziewczynką, lecz gdy tylko patrzyli w jej stronę, odczuwali coraz większy niepokój, który spowodował, że nie odezwali się ani słowem. Po zakończeniu posiłku sześciolatka bez słowa wróciła do swojego pokoju. Tym razem usiadła na łóżku, które znajdowało się po prawej stronie drzwi. Ostrożnie położyła swojego misia przed sobą i zaczęła z nim rozmawiać.

– Jak długo każesz mi jeszcze czekać? Wiesz, co zrobili. Wiesz, że muszą za to zapłacić. – głos dziewczynki zaczął robić się coraz bardziej niewyraźny, coraz cichszy, aż przeszedł w ledwo słyszalny szept. – Oni muszą zapłacić... – zwiesiła głowę. Miś jedynie wpatrywał się w małą dziewczynkę, która nie potrzebowała odpowiedzi. Wiedziała, że to, co się stanie, to tylko kwestia tygodni, dni, a może nawet godzin.

W tym samym czasie małżeństwo wciąż siedziało w jadalni i toczyło między sobą cichą, ale zaciętą dyskusję.

– Drzwi były otwarte. Nikt tam przecież nie zaglądał od tak dawna! – panika w głosie kobiety była szczególnie wyraźna. – Jestem pewna, że to zauważyła.

– Musimy się bardziej pilnować, najlepiej trzeba wyrzucić klucz do tego pokoju. Nikt nie może się dowiedzieć! – mężczyzna też wydawał się coraz bardziej zdenerwowany.

To był ich sekret, którego nikt nigdy nie miał poznać. Nikt nie mógł wiedzieć, co się stało. Nikt nie mógł odkryć, co zrobili. Nikt.

Minęły dwa tygodnie pobytu dziewczynki w nowym domu. W tym czasie odnotowano bardzo duży wzrost zaginięć w okolicy. Znikali nie tylko dorośli, ale także dzieci. Dziewczynka była w swoim pokoju i wpatrywała się w krajobraz za oknem, gdy w salonie siedzieli jej przybrani rodzice i oglądali program informacyjny. Ostatni komunikat, jaki usłyszeli, dotyczył zaginionych dzieci. Policja ogłosiła, że zostały one odnalezione w sierocińcach, w pobliskich miastach, a jedynym uszczerbkiem na ich zdrowiu była amnezja.

– Nie sądzisz, misiu, że tak jest lepiej? – zapytała sześciolatka swojego pluszaka.

Jego czarne, małe oczy wydawały się uśmiechać.

– Teraz mogą być szczęśliwe! Bez nich! – dziewczynka odeszła od okna i zaczęła obracać się wokół własnej osi z misiem w ramionach. Jej lekki chichot przerodził się w przerażający śmiech. Jej oczy nie były już puste, lecz płonęły życiem. To oznaczało tylko jedno. Koniec był naprawdę bliski. Siedzący w salonie „rodzice” zaczęli odczuwać coraz większy strach. Gdyby tylko wiedzieli...

Mijały kolejne dni, powoli zaczęto zapominać o sprawie tajemniczych zaginięć. Był późny wieczór, gdy małżeństwo siedziało w salonie, czytając książki. W głębi domu mała dziewczynka cicho zamknęła drzwi swojego pokoju i najciszej jak się da przeszła przez korytarz. Zatrzymała się na chwilę przed pokojem dziecięcym. Położyła swoją drobną dłoń na drewnianych drzwiach i lekko się uśmiechnęła.

– Już nie musisz się bać – wyszeptała.

Wiedziała, że osoba do której skierowane były słowa słyszy. Nawet czuła jej słabo tłącą się obecność. Kontynuując wędrówkę, dziewczynka powoli zeszła po schodach i cicho wślizgnęła się do salonu. Para, słysząc kroki, odwróciła się w ich stronę. Na twarzach zamiast radości pojawiło się przerażenie. Dziewczynka stała w wejściu z szerokim, złowieszczym uśmiechem na małych ustach, a jej oczy iskrzyły się dziwnym blaskiem. Można było w nich dojrzeć najmroczniejsze lęki i obawy, najgorsze zbrodnie i koszmary. – Wiem, co zrobiliście – głos dziecka był głęboki i pełen grozy. – Należy wam się kara... – mówiąc to, coraz bardziej zbliżała się do małżeństwa. – Pora byście dostali to, na co zasłużyliście! – Po chwili nocną ciszę przerwały zduszone histeryczne krzyki, których nikt nie miał prawa usłyszeć.

Dokładnie sześć dni później, pod dom rodziny przyjechała policja. Gdy weszła do środka, nic nie wydawało się podejrzane, dopóki jeden z funkcjonariuszy nie zauważył krwi na najniższych stopniach schodów. Podążając za bordowymi plamami, doszli pod tajemniczy pokój. Drewniane drzwi były uchylone, a na ich środku można było zauważyć dwa krwawe ślady małych dziecięcych rączek, jeden mniejszy, a zaraz obok niego drugi, niewiele większy. Funkcjonariusze ostrożnie otworzyli drzwi i ich oczom ukazał się pokój małego dziecka, który udekorowany był w odcieniach niebieskiego i bieli. Na jego środku siedział brązowy mały miś z czarnymi, paciorkowatymi oczami i niegdyś białą wstążką, która teraz przybrała barwę jasnej czerwieni. Maskotka siedziała bokiem do drzwi i wpatrywała się w ścianę po lewej stronie. Po zwróceniu się w jej kierunku, funkcjonariusze dostrzegli ogromny napis „*Kara spotyka tych, którzy na nią zasługują*”. Jeden z policjantów zauważył czerwoną pocztówkę z pozytywką i plik papierów leżących w cieniu, za pluszakiem. Na kartce widniał napis: „Ręce, które mają chronić, mogą być niebezpieczne”. Tajemnicze pliki okazały się aktami sprawy zabójstwa małego chłopca. Dziecko w wieku czterech lat zostało brutalnie zamordowane przez nie-

ujawnionego sprawcę. Teraz zaginęli rodzice. Przypadek, kara, przekleństwo? Nikomu nie można wierzyć, prawda?

Służby zabezpieczyły wszystkie ślady, na czele z małym brązowym misiem. W magazynie dowodów nikt jednak pluszaka nie zobaczył. Maskotka zniknęła, tak jak poprzednio rodzina.

Mały brązowy miś z paciorkowatymi oczami był przecież własnością pewnej dziewczynki. Tej samej, która w rok po serii tajemniczych zaginięć, siódmego dnia, siódmego miesiąca została adoptowana przez młodą parę. Młodą parę, która ma wiele na sumieniu. Ich błędy zna już dziewczynka z misiem w objęciach. Ona dopilnuje, by ujrzały światło dzienne. Mała dziewczynka z sierocińca zadba o to, by spotkała ich kara...

**Julia Nguyen Van (Ranna Cebula), kl. 1
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**

Szczęśliwego nowego roku

Wróciłam z zamyślenia w rzeczywistość. Znalazłam się o drugiej w nocy w opuszczonej galerii handlowej, sącząc przez zakręconą rurkę mieszaninę trzynastu energetyków i trzech alkoholi, słuchając wszechobecnej muzyki elektronicznej, głośniejszą niż na koncercie. Widziałam, jak Mati tańczy w rytm muzyki, zresztą okropnie, puszczanej na wszystkich głośnikach, znalezionych w sklepach. To jego impreza urodzinowa. Kto by pomyślał, że kiedykolwiek dożyje takiego dojrzałego wieku dwudziestu czterech lat.

Około pięćdziesięciu ludzi tańczyło przed wejściem głównym, ubranych w najdroższe ciuchy i biżuterię spłodowaną ze sklepów odzieżowych. Obżerali się nadpsutym jedzeniem z restauracji, grali na konsolach w gry, o których mogli tylko pomarzyć, i po raz pierwszy mieli szansę wykorzystać te bezużyteczne gadżety z tego jednego dziwnego sklepu, który zawsze omijałam szerokim łukiem, by nie zbankrutować. Ci ciągle spracowani spali w łóżkach w meblowym, a mole książkowe całkiem ogołociły księgarnie.

Didżej zmienił utwór, ale nie odczułam zbytnej różnicy. Mój najlepszy przyjaciel, Filip, zszedł z parkietu i usiadł obok mnie, cały zlany potem.

- Nawet nie wiesz, od ilu lat marzyłem o czymś takim – wysapał.
- Od dwunastu – odparłam. – Powiedziałeś to wczoraj.

Na parkiecie rozległy się zaskoczone westchnienia. Klaudii, siostra Matiego, wróciła ze swojego polowania. Zwabiła do galerii hordę bezdomnych kotów i momentalnie wszystkim rozpuściły się serca. Ludzie zaczęli je karmić smakołykami z zoologicznego i swoimi własnymi przekąskami, aby je przywabić i wygłaskać na śmierć. Te bardziej strachliwe od razu znalazły wyjście, ale większość została i zaczęła się łaścić, by dostać jeszcze więcej jedzenia. Klaudii wyglądała na niezmiernie zadowoloną z siebie, co zresztą podsycaly darowane jej podziękowania przyjaciółek.

Dwoje policjantów przechodziło właśnie obok wejścia galerii i przyjrzało się chaosowi wewnątrz budynku. Podszedł do nich Mati i zaprosił ich na imprezę gestem dłoni. Musiałam wyteńczyć słuch, by ich usłyszeć, mimo że stali tuż obok mnie, ale nie zdołałam niczego wychwycić. Uznałam, że odmówili, bo zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Po ich minie mogłabym przysiąc, że życzyli nam dobrej zabawy.

Płowy kot wskoczył mi na kolana, wyrażając niemą prośbę o jedzenie swoim przenikliwym wzrokiem.

- Nie dostaniesz nic – syknęłam na niego.
- Bądź miła, chociaż tę jedną noc. Zobacz, jaki z niego słodziak. – Filip poczęstował go orzechami ze swojej mieszanki studenckiej. Kot zjadł porcję i przeszedł na jego kolana, domagając się więcej.
- Która godzina? – zapytałam, mimo że miałam swój własny zegarek.
- Druga czternaście.

Wylałam resztę swojego zabójczego drinku za siebie, na drzewko. Wstałam z ławki i ubrałam śnieżnobiałą futrzaną kurtkę. Na metce widniała jeszcze piękna cena z czterema dziewiątkami. Chociaż przez ten moment mogłam poczuć się bogata.

– Już idziesz? – Filip wysypał orzechy na podłogę, by kot zeskoczył z jego kolan, i też wstał z ławki.

– Widziałam już dużo. – Wzruszyłam ramionami. – Zresztą, ta muzyka powoli zaczyna działać mi na nerwy.

– Coś mam im przekazać?

Rzuciłam wzrokiem na moich roześmianych znajomych, bez trosko tańczących na parkiecie. Zazdrościłam im trochę tego, że mają tę całą sytuację gdzieś.

– Powiedz im, że ich kocham. Na serio. A ty masz powiedzieć Klau-dii, że jest światłem twojego życia. Jasne?

Wywrócił oczami i jęknął.

– Jak drut – zaśmiał się. To przejęzyczenie nigdy nam się nie znudzi.

Odpowiedziałam mu tym samym i się przytuliliśmy. Skupiłam się całkiem na naszym silnym uścisku, miażdżącym nasze żebra. Jestem pewna, że będzie mi tego brakować. Naszych uścisków, naszych wspomnień. Wszystkiego.

Minęło pewnie sporo czasu, zanim wreszcie się odkleiliśmy, bo grał już całkiem inny utwór.

– No to co, do jutra? – Filip otarł oczy dłonią.

– Do jutra. Poproś Klau-dię do tańca.

Faktycznie dużo łatwiej jest powiedzieć „do jutra” niż „żegnaj”. Odwróciłam się i skierowałam się do bocznego wyjścia galerii. Wstąpiłam po drodze do małego papierniczego i wzięłam paczkę kredek oraz pierwszą lepszą z brzegu kolorowanek dla dzieci. Przez te ostatnie minuty chciałam znowu poczuć się jako sześciolatnia ja, odkrywająca po raz pierwszy swoją miłość do sztuki.

Z głośników rozległ się głos jakiejś dziewczyny.

– Ludzie! Kochani moi zebrani wszyscy!

Muzyka ucichła. Och, tylko Gośka mogła coś takiego wykombinować.

– Nie chcę wam psuć wieczoru, ale muszę wam coś powiedzieć! Wiem, że każdy z was świetnie się teraz bawi, ale na pewno z tyłu waszych głów siedzi gdzieś ta okropna świadomość, że jesteśmy bezsilni wobec tego, co ma zaraz się zdarzyć, tak dokładniej to

o trzeciej dwie. Chciałam wam powiedzieć, żebyście się nie bali. Ha ha... wiem, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale mogę wam w tym pomóc.

Oparłam się o regał z książkami, wywracając oczami, i podparłam głowę. Ciekawe, co przygotowała.

Gośka wzięła głęboki wdech.

– Zapewne większość z was nigdy nie była... na plaży w... Indonezji. Nie wiecie, jak by wyglądała, jak byście do niej podróżowali albo co dokładnie byście tam robili. To znaczy, pewnie opalalibyście się lub pływalibyście w morzu, co nie? Ale nie możecie wyobrazić sobie tego tak dokładnie, jakbyście rzeczywiście tam byli. Jedyne, co możecie robić, to się domyślać. Ale pamiętacie, jak się czuliście, kiedy po raz pierwszy jechaliście na jakąś wycieczkę? Byliście podekscytowani tym wszystkim, co będziecie robić w nowym miejscu, wszystkimi atrakcjami, mimo że nie widzieliście ani skrawka tego miejsca na własne oczy. I... właśnie na tym polega śmierć, mówiąc szczerze. Nie wiemy, co będzie później, a w ciągu życia zastanawiamy się nad tym. Gdzieś zawsze towarzyszy nam ten lęk przed tym, co nadejdzie.

Zamilkła. Postałam jeszcze chwilę przy regale i zwróciłam się do wyjścia. Gdy tylko przeszłam przez próg, Gośka wznowiła kazanie.

– Po prostu chciałam powiedzieć, żebyśmy byli odważni. Nie bójmy się tego, co nieuniknione. Nie bójmy się tego, czego zakończenia nie możemy zmienić. Po prostu miejcie tę świadomość, że w jakimkolwiek nowym i ekscytującym miejscu się zaraz znajdziemy, na pewno będziemy w nim razem.

Już więcej się nie odezwała. Gdzieś z parkietu usłyszałam głos Klaudii:

– Dobrze gada! To teraz wszystkim szczęśliwego nowego roku!

Wszyscy mruknęli z aprobatą i zażyczyli sobie tego samego. Usłyszałam też przytłumione stukanie szklanek i dźwięk rozbijanego szkła.

No, przynajmniej powstrzymała się od mówienia o kotach. Niezbyt mi ta mowa pomogła, ale Gośka się starała, więc po cichu jej pogratulowałam.

Muzyka znów zaczęła grać. Założyłam poły płaszcza za siebie i powoli wyszłam z budynku. Na zewnątrz wiał lekki, chłodny wiatr. Latarnie migały, jakby ktoś chciał przekazać coś kodem Morse'a. Otwarte kosze na śmieci walały się po trawnikach, kilka samochodów na parkingu stało całkowicie zmiażdżonych i wydobywał się z nich przeraźliwy pisk. Gdzieś w oddali unosił się dym, wokół którego chwiejnie latał helikopter. Przede mną ktoś właśnie urządzał wyścigi ślimaków, jakaś para obściskowała się pod ścianą, a na ławce siedziały babcie jedzące ciasto, rozmawiające o tym, że nie zdążą już iść do kardiologa. Ktoś krzyczał, jakby był mordowany, smród chemikaliów unosił się w powietrzu, helikopter zaczął się niebezpiecznie obniżać...

Ruszyłam przed siebie, by jak najszybciej uciec od tego chaosu. Doszłam na mały pagórek obok galerii, gdzie stała jedna z nielicznych jeszcze, działająca sprawnie latarnia. Dotarłam pod nią i rozejrzałam się wokół. Cud – nie widziałam tu żadnych śmieci ani ciał martwych gołębi. Usta same mi się uśmiechnęły. Ogarnięci szalem końca świata zostawili moje ulubione miejsce w spokoju.

Usiadłam na trawie, opierając się o słup. Wyciągnęłam z kieszeni kolorowaną kredkę i losową kredkę. Zaczęłam wypełniać uśmiechniętego pieska na pomarańczowo. Ach, jakie były szanse, że wyciągnę mój ulubiony kolor. Kojarzył mi się z zachodem słońca nad moim jeziorem. Często z tatą chodziłam na ryby i zostawialiśmy tam do wieczora. Pamiętam, jaka byłam dumna, kiedy złapałam swojego pierwszego karpia bez żadnej pomocy. Przez kolejne dwa tygodnie chodziłam napuszone jak paw, trzymając pod pachą jego szkielet.

Od kiedy tata zmarł, miałam tylko mamę i młodszą siostrę. A teraz, przez tego Goliata, nie mam już nikogo. Pamiętam, jak to wszystko się zaczęło. Kilka miesięcy temu wszędzie rozeszły się wieści o gigantycznej asteroidzie, pędzącej prosto w Ziemię. Podobno to pierwsza o takich rozmiarach; stąd jej nazwa. Wszyscy

machali na tę informację ręką, uważali, że to tylko spiszek naukowców albo znowu jakaś propaganda mocarstw. Ostrzeżenia fachowców umykały ich uszom i oczom, nawet gdy mówili, że uderzenie może zmieść całą Europę z powierzchni Ziemi i wznieść tyle pyłu, że połowa Azji, Afryki i Ameryki Północnej stanie się niezamieszkalna, a reszta planety pożegna się ze Słońcem na jakieś zawsze. Nie, nadal wszyscy mieli gdzieś tę apokalipsę. Przyznam się, nawet ja myślałam, że to kolejny żart papieża, czy coś.

Prawdziwy terror zaczął się, gdy dwa tygodnie temu opublikowano w mediach wypowiedź ludzi z NASA, razem ze zdjęciami Goliata i nie przestawali trąbić o tym, że są bezsilni. Zarządzono masową ewakuację całego kontynentu, co jest za dużo powiedziane, bo wzięli tylko polityków, wojskowych i bogaczy, którzy wykupili sobie miejsca. Resztę skazali na pewną śmierć.

Mama i siostra chciały spędzić swoje ostatnie chwile na cmentarzu, z tatą. Ja nie miałam zamiaru tam wracać. Wymigałam się od tych odwiedzin urodzinami Matiego. Może i nienawidziłam takich imprez, ale wołałam już siedzenie beczynnie w chaosie z darmowym jedzeniem, niż siedzenie beczynnie obok zimnej granitowej płyty i zwiędłych kwiatków.

Zorientowałam się, że odleciałam do wspomnień. Dokończyłam kolorowanie rysunku pomarańczowego pieska i spojrzałam w górę. Wszędzie czarne chmury.

Latarnia zamigła i wydała z siebie ostatnie tchnienie. Idealne wyczucie czasu, akurat na koniec mojego kolorowania.

Wyciągnęłam telefon, by nie siedzieć w całkowitych ciemnościach. Włączyłam swoje ulubione media społecznościowe. Weszłam na swój profil i obejrzałam swoje rysunki. Ludzie, kwiaty, krajobrazy, ryby. Tysiące polubień. Setki motywujących komentarzy. Jeżeli cokolwiek pozostanie przy życiu, to mam nadzieję, że przyszłe pokolenia będą cieszyć się z moich dzieł. Kto wie, może nawet skończę w muzeum.

Wróciłam na stronę główną i od razu załała mnie fala memów o nadlatującym Goliacie. Przejrzałam kilka, śmiejąc się pod nosem. Lecz im dłużej przewijałam, tym coraz częściej widziałam

rozpaczliwe posty ludzi wołających o ratunek. Przeklinali swój los, wyzywali NASA, prezydentów i ludzi odpowiedzialnych za „ewakuację”. Niektórzy i tak się śmiali ze wszystkiego, ale widać było, że cały świat pochłonęła żałoba.

„Kocham was”

„Boję się, nie chcę odchodzić, pomocy”

„Nie zapominajcie o mnie”

„Żałuję wszystkiego, żałuję, że was nie zobaczę”

Dziesiątki postów na sekundę. Ludzie naprawdę panikowali. W sumie ja też byłam przerażona. Teraz dopiero dopuściłam to do siebie. Zauważyłam, że cała drzę, czułam, jak łzy zbierają mi się w oczach. Uniosłam rękę. Moja dłoń trzęsła się jak zdenerwowana chihuahua. Wstałam z ziemi i zaczęłam przechadzać się wkoło latarni, ocierając oczy. Sprawdziłam godzinę. Przyspieszyłam.

Serce zabiło mi mocniej i szybciej, już nie wiedziałam, czy ze strachu, czy przez mój wcześniejszy drink. Wszystko skończy się za siedemnaście minut. Mam siedemnaście minut życia. To niesprawiedliwe. Nic złego nie zrobiłam. Nie mogę umierać w takim młodym wieku. To jest kara. Tortura.

Ale za co?

Przypomniałam sobie mój ostatni wieczór z tatą.

*

– No i dlaczego nie biorą?

Naburmuszona wyciągnęłam wędkę z wody.

Tata westchnął.

– To przez złych ludzi. Wyrzucają śmieci do jeziora i myślą, że się ich pozbyli. A tak naprawdę to te śmieci zajmują miejsce rybkom w wodzie i gdy jest ich coraz więcej, rybek jest coraz mniej.

– No to czemu wyrzucają, jak mają kosze w domu?

– Nie wiem.

Pogłaskał mnie po głowie.

– Nie martw się. Kiedyś, kiedy ludzie zauważą, jak bardzo krzywdzą przyrodę, zaczną ratować to, co zniszczyli. Ziemia wciśnie reset i wszystko wróci do normy, tak jak było kilkadziesiąt lat temu,

a może nawet i lepiej. Wtedy ludzie będą znali takie technologie, że nie powtórzymy tych błędów.

– A kiedy to będzie? – wpatrzył się w zachodzące słońce.

– Miejmy nadzieję, że jak najszybciej.

*

Ziemia wciśnie reset. Oboje jednak nie wiedzieliśmy, że zrobi to tak brutalnie, tato. Tęsknię za tobą.

Zacisnęłam zęby i uderzyłam pięścią w słup latarni, na co zamigała przez chwilę. To nie miało tak się skończyć. Miałam przecież skończyć studia i pracować za granicą jako grafik koncepcyjny, a wciąż kiszę się w moim rodzinnym mieście!

To faktycznie jest kara. Za bycie człowiekiem.

Stuknęłam czołem w słup. Polały się łzy. To koniec.

Nawet nie zorientowałam się, kiedy rozjaśniało. Spojrzałam w górę. Latarnia wciąż ciemniała. Spojrzałam wyżej. Coś za chmurami migotało i pulsowało jak płomień świecy. Płomień świecy, który ma strawić wszystko na swojej drodze. Goliat już tu jest, gotowy do uderzenia.

I co potem? Co się stanie, gdy wszystko na Ziemi straci życie? Jakim cudem cokolwiek mogłoby się odrodzić? Widok wypalonych dziur widocznej z kosmosu przyprawiał mnie o zawroty głowy. Wszystko zniknie. Szybciej niż zdążę pstryknąć palcem.

Może w tej destrukcji jest jakieś piękno. Następne życie.

Naszła mnie myśl. Muszę jeszcze coś zrobić.

Włączyłam aparat i zrobiłam sobie selfie. Zamieściłam je na swoim profilu. Po raz pierwszy ujawniam moim fanom swoją twarz. Spojrzałam na płonące niebo. Chyba w tym momencie zrozumiałam Goliata. Gdyby chodził po mnie jakiś robak, który nie chciałby zejść po kilkunastu próbach zepchnięcia go na ziemię, walnęłabym go po prostu dłonią. W tym scenariuszu to ja jestem robakiem. Nie, raczej cała ludzkość.

Jeszcze raz przeniosłam wzrok za siebie, na galerię. Ludzie zebrali się na dachu i przytulali się w jednej grupie. Rozpoznałam kilka osób. Filip i Klaudii trzymali się za ręce. Mati trzymał Goškę

na barana, wskazującą na niebo i krzyczącą coś do wszystkich za nią.

Podpisałam swoje zdjęcie ostatnią prośbą.

„Szukajcie mnie, gdziekolwiek się zaraz znajdziemy”.

Wstałam i rzuciłam się do biegu. Może zdążę. Może zdążę dobiec do jeziora. Jeżeli mam umierać, to tylko tam. Biegnij, noga za nogą, szybko, szybko, szybko. Mój wuefista byłby pod wrażeniem. Jeszcze, jeszcze, już niedaleko. Potykam się o krawężniki, o śmieci, popycham spanikowanych ludzi.

Mijam biały budynek. Już w domu, jestem w domu. Stąd mogę biec z zamkniętymi oczami.

Wyhamowałam lub raczej próbowałam. Ześlizgnęłam się z błota i wpadłam prosto do lodowatej wody, z głuchym pluskiem. Od razu wstałam, otarłam twarz i spojrzałam w górę. Coraz bliżej.

Woda tak pięknie odbijała barwy nieba, aż chciałam się zatrzymać i je popodziwiać, ale nie mogłam. Jeszcze nie. Najpierw muszę wykrzyczeć moje ostatnie słowa.

Ostatnie słowa? Ale jakie? Piękne? Głupie? Przeklinające świat? Ludzi? Los? Goliata? Nie, coś miłego. Dla ludzi, dla znajomych z galerii, dla mamy, dla siostry, dla taty. „Szczęśliwego nowego roku”? Nie, coś lepszego. Myśl, myśl, myśl, przecież stać mnie na więcej!

Wyciągnęłam drżące ręce, grzejąc się w blasku Goliata.

– Szczęśliwego końca świata!

Zadarłam się tak głośno, że aż mogli mnie usłyszeć przy galerii. Nie czekałam już jednak na ich odpowiedź. Odetchnęłam głęboko i spuściłam głowę. Teraz mogłam spokojnie napawać się widokiem tafli jeziora.

Zuzanna Zaborek (Hazel Green), kl. 1
VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach

Ciszej tam, Cyprianie

Zygmunt najdelikatniej jak potrafił, starając się nie okazać zbytnej irytacji, odłożył oddaną właśnie przez jednego z uczniów książkę na półkę oznaczoną „fantastyka”. Westchnął boleśnie i wbił smętny wzrok w regał z od lat nie ruszaną poezją.

„Teraz młodzi już nie czytają wierszy. To zwyczajnie wyszło z mody” – pomyślał.

Zawsze tak sobie to tłumaczył, żeby nie czuć rozczarowania spowodowanego brakiem zainteresowania jego wycieczkami. Wszyscy zawsze mówili, że to smętne, depresyjne, że ma obsesję na punkcie cierpienia, zagłady i śmierci. Nawet jego najlepszy przyjaciel Julek ciągle powtarzał: „Uśmiechnij się, Irydionie!”. Irydion była to ksywka, którą Zygmunt dostał w liceum. Nikt oprócz niego i Julka nie wie, skąd się wzięła.

Drzwi szkolnej biblioteki otworzyły się z potężnym skrzypnięciem, i oglądając się za siebie, do środka wślizgnął się zdyszany ulubieniec wszystkich polonistów i Zygmunta, Cyprian Norwid.

– Dzień dobry, proszę pana – wysapał, zginając się wpół. – Czy mogę tu chwilę posiedzieć?

– Nie ma problemu – łagodnie odparł Zygmunt. Biblioteka często bywała miejscem spotkań i porad, więc obecność uczniów nie robiła mu szczególnej różnicy, dopóki byli stosunkowo cicho. – Co ty taki zziębnięty?

– Wie pan, bo miałem napisać wiersz na konkurs międzyszkolny i obaj, profesor Słowacki i profesor Mickiewicz, mówili mi, jak powinienem to zrobić i...

– Niech zgadnę. Nie posłuchałeś żadnego i zrobiłeś po swojemu. Chłopiec nerwowo pokiwał głową, wywołując nieznaczny uśmiech na twarzy Zygmunta.

– I prawidłowo. A dasz mi kiedyś przeczytać?

– Oczywiście – gorliwie zapewnił Cyprian.

Zygmunt na chwilę zniknął na tyłach biblioteki, by zaraz wrócić, niosąc w rękach pudło pełne książek.

– Wreszcie je pooznaczałem. – Wskazał na cienkie kawałki kolorowej taśmy, przyklejone na brzegach okładek. – Nowe. Właśnie przysłali. Nie ma ich zbyt wiele, bo w końcu to tylko biblioteka szkolna. Poza tym funduszy też nie ma. Chcesz mi pomóc je poukładać? – rzucił, oczekując odmowy, ale Cyprian z uśmiechem wyjął pierwszą książkę z pudła.

– Rozumiem, że niebieski to fantastyka, żółty powieści obyczajowe...

– Czerwony literatura faktu, a zielony poezja – dokończył za niego Zygmunt.

Nagle drzwi otworzyły się i do zakurzonej biblioteki wepchnął się średniego wzrostu, kaszlący mężczyzna w szarym płaszczu.

– Cześć, Zyziu, słuchaj – nie wiesz, kiedy dokładnie ma być ta dyskoteka? Bo zacząłem przygotowywać takiego świetnego remixa „V symfonii”, ale nie wiem, czy się wyrobię, bo jak zawsze nie pamiętam, kiedy ma być impreza.

Zygmunt przetarł ze zmęczeniem oczy. Taka sytuacja nie była dla niego nowością, bowiem często różne osoby przychodziły do niego z pytaniami technicznymi lub innymi problemami. Chyba tylko on w tej szkole nie oszalał na punkcie wyrażania wszystkich swoich uczuć na prawo i lewo oraz mieszania legend z rzeczywistością. I cieszył się z tego, bo najwyraźniej wszyscy inni stracili głowę.

– Witaj, Fryderyku, chętnie bym ci pomógł, ale nie wiem jak. – Silił się na cierpliwość. – Nie zrozum mnie źle, ale to ty tu jesteś didżejem i to ty powinienes znać daty dyskotek.

A jeżeli nie pamiętasz, idź do Johanna, to on jest dyrektorem, powinien mieć papiery do wszystkiego.

– Racja – przyznał Fryderyk. Chciał dodać coś jeszcze, ale nie zdążył, bo wtem drzwi otworzyły się na oścież, robiąc strasznie dużo huk, gdy ku rozpaczcy Zygmunta uderzyły w ścianę.

Oczom poirytowanego bibliotekarza, zdziwionego Fryderyka i cicho układającego książki Cypriana, ukazał się wysoki mężczyzna

w ciemnym palcie. Nikt nie miał wątpliwości, że był to Ferenc Liszt – młody nauczyciel muzyki, przyjęty tu dwa lata temu, w którym podkochiwała się połowa uczennic.

– Zyziu najdroższy, nie widziałeś może Fryderyka? – zapytał, a gdy po chwili dostrzegł opartego o ścianę Chopina, wydał z siebie niezadowolony jęk i z pretensją w głosie warknął:

– Szukam cię po całej szkole, wiesz?

– A cóż takiego się stało?

– Wiesz co nam załatwiłem? – Ferenc wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć z radości. – Bilety na Koncert Paganiniego!

Fryderyk zamarł na chwilę, po czym z niedowierzaniem zapytał:

– Serio?

Kiedy Liszt potwierdził, obaj złapali się za ręce i zaczęli podskakiwać, piszcząc przy tym niemiłosiernie.

Cyprian zachichotał cicho, widząc szkolnego didżeja i nauczyciela muzyki w takiej sytuacji, a poirytowany Zygmunt wskazał głową na znak z napisem „Prosimy o ciszę”.

– Ach tak, oczywiście – wyszeptał Fryderyk, uspokajając siebie i Ferencą.

Jakby tego było mało, zza drzwi dało się słyszeć wiązanek przekleństw i wyzwisk, a już po chwili otworzyły się z hukiem i oczom wszystkich ukazało się dwóch kłócących się mężczyzn.

– Witaj, Zyguncie – mruknął, widocznie rozwścieczony, nauczyciel o bokobrodach i niewielkim wzroście.

Przerażony Cyprian cofnął się, by ukryć się przed polonistami, którzy wkroczyli do biblioteki. Niestety, potknął się o leżące na podłodze pudło i wyrzucił się, robiąc niemiłosiernie dużo huków.

– Co do...?! – Ferenc niemalże podskoczył z zaskoczenia, mężczyzna z bokobrodami, którym oczywiście był Adam Mickiewicz, złapał się za serce, a Fryderyk zaczął okropnie kasłać, przypominając o tym nowoprzybyłemu Juliuszowi Słowackiemu, i już po chwili oboje strasznie charczeli, wywołując drgawki poirytowania u Zygmunta.

– Ciszej tam, Cyprianie – mruknął, obrzucając po kolei wszystkich karcącym spojrzeniem.

Usłyszawszy imię ucznia i upewniwszy się, że to on chowa się za regałami, Adam ze świstem wciągnął powietrze.

– Krasieński, ty przeklęty zdrajco. Mogłem się domyślić, że to ty się z nim zmałasz i pobudzasz go do sprzeciwiania się mnie! – wykrzykiwał rozzłoszczony, zamaszyscie wyciągając palec w stronę stoicko spokojnego Zygmunta.

– Daj spokój Adamie, wiesz, że to nie ma sensu. Ja to załatwię – Juliusz z lekkim wstrętem położył dłoń na ramieniu Mickiewicza i delikatnie go odsunął, robiąc sobie dostęp do przejścia między regałami. – Cześć, Cyprianie... – odezwał się jak do małego dziecka, na dodatek pochylając się, co nie było konieczne, gdyż niespecjalnie górował nad Norwidem.

Cyprian uniósł brwi.

– Cyprianie Kamilu – poprawił, a Juliusz cierpiętniczo westchnął, wywracając oczami.

No tak. Norwid miał niemalże stado imion (Zygmunt z plotek wiedział, że wszystkie nie mieszczą się w rubryczce w dzienniku), ale prawdopodobnie, by być bardziej denerwującym i rozpoznawalnym, dobrał sobie Kamil. Od tego czasu już nikt nie był pewien, jak się do niego zwracać. Pewnie dlatego wszyscy, zarówno nauczyciele jak i uczniowie, mówili o nim Norwid. Chociaż Zygmunt najczęściej używał po prostu Cyprian.

– To może my już pójdziemy – mruknął Fryderyk, wyczuwając napiętą atmosferę. Złapał Ferenca za rękę, przepchnął się między Juliuszem a Adamem i już ich nie było.

– A więc, Cyprianie Kamilu – zaakcentował Juliusz – to kolejny konkurs, w którym nie posłuchałeś żadnego z nas. Dlaczego?

– Już przeżyję wszystko, ale, na Boga, daj sobie spokój z tą rozstrzeloną czcionką. To nie wygląda estetycznie – syknął Adam, a zmęczony całą sytuacją Słowacki lekko pacnął go w ramię, jednocześnie dając mu do zrozumienia, że to jego robota.

Zanim zdążył się ponownie odezwać, Zygmunt powiedział swoim niezwykle monotonnym, niewyrażającym uczuć głosem:

– Dajcie mu spokój.

Obaj poloniści spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Niech dzieciak robi, co chce – ciągnął Zygmunt. – W końcu to jego wiersze są wysyłane na te wszystkie konkursy, nie wasze.
 - Ale jeżeli tak dalej pójdzie, nikt się nie pozna na jego talencie!
 - wykrzyknął zrozpaczony Juliusz.
 - Skoro ma talent, to dajcie mu, na litość boską, pisać jak chce!
 - poirytowany Zygmunt rzucił się na krzesło za biurkiem zawalonym książkami.
 - Oczywiście, on ma potencjał, ale trzeba go nakierować – westchnął już nieco uspokojony Adam.
 - Przepraszam, ale muszę się zapytać, kiedy mogę odpowiadać z WOS-u, bo potrzebuję sobie podnieść ocenę do końca roku. – Nikt nie zauważył, kiedy Cyprian znalazł się tuż przy drzwiach.
 - Ale wydaje mi się, że profesora Łukasińskiego już nie ma... – powiedział Zygmunt, jednak Cyprian już zniknął.
- Zmęczeni poloniści wymienili zdziwione spojrzenia. Następnie przerzucili je na niewzruszonego Zygmunta, który spokojnie wstał i z powrotem zabrał się do układania książek, dając im w tymowy dla siebie sposób do zrozumienia, że nic tu po nich.

Patrycja Gotfryd (Virago), kl. 3
II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle

Hetman i burza

Burzowe niebo jest pięknem ostatecznym. Z fascynacją teraz obserwuję każdą formę, którą przybiera, zachwycając się nad precyzją każdego z oblicz, które posiada. Pejzaż złożony z mściwych obłoków i żądających uwagi, nośnych błyskawic, przecinających niebo jak miecze, wpił się w korzenie mojej pamięci, jawiąc się pod powiekami, gdy moje oczy były zamknięte. Dlaczego nazwałem zjawisko atmosferyczne pięknem ostatecznym? Może dlatego, że burza jest dla mnie obrazem walki, która rozgrywa się wewnątrz mnie. Czekam na rozstrzygnięcie na niebie, wiedząc, że po każdej nawałnicy wychodzi słońce. Jest to dla mnie namiastką spokoju.

W każdym mocniejszym gromie, w każdej coraz jaśniejszej błyskawicy, w porywistym wietrze i w kroplach, rozbijających się na powierzchni, zręcznie wychwytuję spokój, co ma w sobie odrobinę ironii, może jest nawet w pewien sposób oksymoronem. Po każdej nawałnicy wychodzi słońce. Ten fakt był nadzieją, ostatnią deską ratunku dla rozbijających się, jak fale podczas sztormu, myśli. W swojej głowie byłem kapitanem statku, którego żagle połamał porywisty wiatr, załoga spoczęła na dnie oceanu, gdzieś pomiędzy zatopionymi skarbami lub morskimi stworami, a ja – kurczliwie uczepony steru, nad którym swoją drogą, nie miałem kontroli, wyczekiwałem błękitnego nieba i spokojnych fal.

Mogę głośno... może nie aż tak głośno, jestem strasznym tchórzem, ale mogę powiedzieć, że obrazem mojej duszy jest sztorm, rozbijający statki, albo burza, paraliżująca miasto.

Po każdej nawałnicy wychodzi słońce – mógłbym uznać to za mantrę, ratunkowe koło, światelko w tunelu. Piękno ostateczne... a jak wygląda ostateczność? Mógłbym polemizować z wieloma wielkimi autorami, rozważyć to w pięknych, długich i męczących zdaniach, wyciągnąć księgi i tomy, dotknąć Biblii. Po co? Po to, żeby po śmierci zobaczyć, w jak wielkim błędzie żyłem, opisując zjawiska, cuda i idylliczne miejsca, o których przecież nie mogłem mieć pojęcia? Skąd mam wiedzieć, czy czekają na mnie Wiszące Ogrody Semiramidy, Raj, Elizjum... Hades, piekło, ciemność? Równie dobrze w ostateczności mógłbym szukać niczego.

Rozgrywając partię szachów, powinno skupiać się na ruchach przeciwnika i możliwościach, nie błędzić myślami. Burzowe chmury kłębiące się nad wysokimi bukami odrywały mnie od rzeczywistości, skutecznie ściągając na siebie uwagę. Muszę przyznać, że brak przeciwnika też miał w tym swój udział. Ułożona i nierozpoczęta partia również.

Każdego dnia miałem zwyczaj grywać w szachy w parku, gdzie czekał na mnie, siedząc na wytartej przez czas kamiennej ławce, męczyzna w podeszłym wieku. Rozgrywał partię samotnie, dopóki nie przysiadalem się do niego. Za pierwszym razem, będąc szczerym, nawet nie wiedziałem, na czym polegają szachy. Przy-

wiódł mnie do starca odór samotności i znudzenia. Do dziś zadaje sobie pytanie, czy mój, czy ten należący do niego. To właśnie ten człowiek zaczął skłaniać mnie do zadawania sobie pytań, na które nie mógłbym znaleźć odpowiedzi. Nazywał to zabiegiem oczyszczania duszy, czego nie za bardzo mogłem pojąć.

– To mój sposób na pozbywanie się trosk. Szukam większych, mniej realnych. Zadaję sobie pytanie, rozważam je, nie znajduję odpowiedzi, ale wiem, że się starałem – mówił, zbijając kolejną z moich figur. – Na końcu dnia, najważniejsze są starania, synu. Nie sukcesy i osiągnięcia.

– Chcesz mi powiedzieć, że jeśli mam na przykład problem z opłaceniem rachunków, to powinienem usiąść i zacząć myśleć o tym, czy leniwiec nie jest sfrustrowany swoją powolnością? – spytałem pół żartem, pół na poważnie, rozważając swój ruch. Kamienna szachownica wciąż była dla mnie zagadką, więc byłem przyzwyczajony do popełniania błędów, które starzec wykorzystywał; nie był skory do dawania mi forów.

– A czy nieopłacone rachunki, to problem, który ciąży ci na sercu? Myślisz za bardzo przyziemnie, ja mówię o problemach sfery duchowej.

– Mój duch ma się dobrze, co u twojego? – zbiłem jego skoczka, uśmiechając się szeroko. Każde trafne posunięcie sprawiało mi niepohamowaną radość i satysfakcję. Tym razem triumfalny uśmiech zgasł, gdy jego figura znalazła się obok mojej, odsłoniętej przez wcześniejszy ruch, królowej.

– Prędszej leniwiec wygra maraton, niż ty jakąkolwiek partię szachów. Czy gdyby twój duch miał się dobrze, to zadawałbyś mi pytania?

– Zadawanie pytań jest dla mnie terapeutyczne, zwłaszcza gdy zmierzam do kolejnej przegranej.

– No widzisz, czyli jednak potrzebujesz terapii – strącił mojego króla.

Starałem się dostrzegać prawdy ukryte w jego słowach. Wiedziałem, jak duży bałagan kryje się pod moją stateczną, nienaruszalną powłoką, nie byłem jednak gorliwy do obnażania się

przed kimkolwiek. Jednak bystre spojrzenie mężczyzny, mimo podeszłego wieku, wciąż potrafiło przebić się przez moje burzowe chmury. Miewam wrażenie, że widział we mnie to, co ja teraz widzę w grzmotach i błyskawicach. Potrafił wyczuć mój gorszy czas i przeczekać go razem ze mną. Wmawiałem sobie, że to ja przychodzę w każde popołudnie do parku dla niego, podświadomie wiedząc, że jest całkiem na odwrót. Mimo zmęczenia, choroby i niedogodności z którymi wiązał się jego wiek, on czekał na mnie w tym samym miejscu, przynosząc mi spokój, chwilę wytchnienia i swoją mądrość. Po wielu rozgrywkach i mądrościach, którymi mnie raczył, traktowałem jego dłoń jak ojcowską, a jego obecność jak błogosławieństwo.

Pląkałem jak dziecko, półleżąc na kamiennej szachownicy, gdy któryś dzień z rzędu mężczyzna nie pojawił się, by rozegrać partię. Czułem przeraźliwy chłód bijący od kamienia i pustkę, która wciągała mnie w swoje objęcia. Wiedziałem, że już więcej nie zajmie ławki naprzeciwko mnie. Świadomość ta spłynęła na mnie, gdy trzeci dzień z rzędu czekałem aż pojawi się na pokrytej liśćmi alejce. Nie było go. Mogłem czuć tylko wiatr smagający moje policzki, mogłem widzieć kłębiące się na niebie chmury – zanosilo się na pierwszą burzę od dłuższego czasu, a przede wszystkim mogłem słyszeć jego gardłowy śmiech, odbijający się w mojej głowie.

– Lubisz burzę? – zapytał pewnego popołudnia, gdy skończyliśmy partię szachów. Byłem niepoczyszony moją druzgocącą i szybką przegraną.

– Nie za bardzo, jest głośna i niesie wiele szkód – odpowiedziałem. – Wolę spokojny deszcz – układałem figury w pudełku, każdą wcześniej przecierając, tak jak on zwykł to robić.

– Ja uwielbiam. Chciałbym być burzą po śmierci.

– Dlaczego?

– Bo po każdej nawałnicy wschodzi słońce. Jest straszna, ale niesie nadzieję. Jest efektowna, na pewno surowa, ale to sprawia, że każdy ją dostrzega i w jakiś sposób się nią interesuje. Czuję w kościach, że gdy umrę, przez to miasto przejdzie huczna, piękna burza, a po niej nastanie jeden z najpiękniejszych poranków.

Trzeciego dnia jego nieobecności łzy na moich policzkach mieszały się z kroplami deszczu. Granatowe chmury wisiały nade mną, wypuszczając w moim kierunku serię krzykliwych błyskawic i gromów, które swoją siłą wprawiały mnie w osłupienie. Cisza na ziemi toczyła bitwę, z rykiem, który wydawało niebo. Ptaki pochowały się w gęstych gałęziach, ulice opustoszały, zniknęli wszyscy spacerowicze i biegacze. Jedynie ja jeszcze znajdowałem się w parku, ja i wiatr, który mnie do siebie przytulał. Czułem siłę zbierającą się w powietrzu. Mimo fizycznej samotności miałem wrażenie, że ktoś jest obok mnie i przygląda się każdemu mojemu ruchowi. Mógłbym przysiąc, że pierwszy grzmot brzmiał jak „szach mat” wypowiedziany przez starca.

Burza trwała całą moją drogę do domu, cały wieczór, okryty smutkiem i pewnego rodzaju żałobą, wypełniła swoją grozą i pięknem całą noc.

Rano świeciło słońce.

Natalia Pikusa (Aire), kl. 1

Liceum Ogólnokształcące w Tuchowie

Hanahaki

Hanahaki – wywodząca się z Japonii, fikcyjna choroba kwiecistych płuc, pojawiająca się, gdy ktoś zakocha się bez wzajemności. Objawami są kwiaty, zapuszczające swoje korzenie w płucach chorego, które w przypadku dalszego braku odwzajemnienia uczucia doprowadzają wreszcie do uduszenia.

Młody mężczyzna rozejrzał się po ogrodzie. Promienie słońca przebijały się przez szczeliny między liśćmi, oświetlając łagodnie niewielką, drewnianą ławkę, stojącą pod smukłą jabłonią, na której siedział. Wokół niej rosły różnorodne kwiaty, chylące łebki w stronę złocistych promieni lub wychylające się poza niski, biały

plot, rozrzedzając się dopiero wokół wąskiej ścieżki, prowadzącej do ładnego, niewielkiego domku.

Gdy drzwi się otworzyły, a na zewnątrz wyszła młoda kobieta o sięgających ramion czarnych włosach, młodzieniec momentalnie poderwał się z siedziska, podchodząc do niej pospiesznie i odbierając jej jedną z dwóch filiżanek, które z pewną trudnością niosła.

– Dziękuję, Aubrey – uśmiechnęła się do niego, z wyraźną ulgą, oddając mu jedno z naczyń, a drugie poprawiając na błękitnym spodeczku. – Co cię do mnie sprowadza?

Szatyn dał się poprowadzić z powrotem w kierunku ławki, gdzie oboje zajęli miejsca. Położył filiżankę na kolanach, idąc w jej ślady i uniósł na nią wzrok.

– Po prostu pomyślałem, że cię odwiedzę – uśmiechnął się delikatnie, starając się zamaskować niepewność. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Kobieta odwzajemniła uśmiech. Miała delikatne rysy twarzy, noszące znamiona jej japońskich korzeni i ciepłe, brązowe oczy. Nosila prostą, granatową sukienkę, ładnie komponującą się z ciemnymi włosami i tęczówkami.

– Miło mi to słyszeć – zastukała paznokciami w spodek na swoich kolanach. – Rzadko miewam gości.

Mężczyźnie trudno było w to uwierzyć. Cadence, bo tak miała na imię, uchodziła za najpiękniejszą osobę w okolicy. Zawsze była uprzejma i spokojna, a rzadkie opuszczanie zacisza swojego domku i nieznana przeszłość dodawały jej niezwyklej tajemniczości. W pewnych kręgach została okrzyknięta ideałem, choć Aubrey nie przypuszczał, że którykolwiek z zainteresowanych ośmielił się jej to powiedzieć.

– Masz piękny ogród – zauważył cicho, czując się nieswojo w tej sytuacji. Było odrobinę zbyt pięknie.

– Dziękuję – wsunęła kosmyk włosów za ucho, unosząc wzrok na pobliskie kwiaty. – To moje główne zajęcie ostatnimi czasy. Zajmowanie się w kółko tymi samymi roślinami może wydawać się nużące, ale naprawdę kocham ten ogród.

Młodzieniec skinął głową z uznaniem i przysunął filiżankę do ust, biorąc łyk herbaty. Była pyszna. Nagle poczuł, jak coś przykleja mu się do języka. Odstawił naczynie, rozchylając delikatnie usta i wyciągając błękitny płatek. Brunetka momentalnie to dostrzegła i posłała mu przepaszające spojrzenie.

– Musiała pozostać jakaś resztką z parzenia herbaty, przepraszam – powiedziała z przejęciem. – Naprawdę nie wiem, jak do tego doszło.

– Nic się nie stało – powiedział uspokajająco, z powątpiewaniem spoglądając na roślinę. Płatek wyraźnie był świeży, co zdawało się kłócić z możliwością, iż znajdował się w herbatce, jednak nic nie powiedział. Widząc zmieszanie kobiety, postanowił szybko podjąć poprzedni temat. – Szczerze mówiąc zupełnie nie znam się na kwiatach.

Brunetka zamyśliła się na chwilę, wpatrując się w rośliny przed sobą. Minęło kilka minut nim ponownie się odezwała, jednak gdy to zrobiła, w jej głosie brzmiała melancholia.

– Każdy z kwiatów tutaj o kimś mi przypomina – zaczęła, ponownie miarowo stukając paznokciami w porcelanę. Znowu zamilkła, jeszcze przez moment wpatrując się w punkt przed sobą, nim uniosła głowę, spoglądając na mężczyznę z błyskiem w oku. – Chciałbyś o tym usłyszeć?

Aubrey poczuł nagły ścisk w żołądku, gdy pochwycili kontakt wzrokowy. Kiwnął więc tylko nieśmiało głową, przypatrując jej się z zachwytem. Kobieta odstawiła filiżankę na ławkę obok siebie i energicznie zerwała się na równe nogi. Młodzieniec zeszytywniał, gdy złapała go za dłoń, pociągając w górę, ale ani myślał się opierać. Podobnie jak ona, odstawił herbatę, dając się poprowadzić w głąb ogrodu. Zatrzymała się przy niewielkiej grządce usypanej drobnymi, barwnymi kwiatami.

– To są goździki – przykucnęła przy roślinach, wpatrując się w nie z ciepłym, promiennym uśmiechem. – To były pierwsze kwiaty, jakie posadziłam. Dostałam je od mojego dawnego przyjaciela.

Szatyn również się pochylił, zwracając głowę w stronę roślin, jednak chyłkiem cały czas zerkał na swoją towarzyszkę. Choć ko-

chał jej słuchać, to niezależnie od historii, które się za nimi kryły, była znacznie piękniejsza niż jakiekolwiek kwiaty.

– Był wyjątkowy – podjęła opowieść, zdając się w ogóle nie zauważać wzroku mężczyzny. – Od razu zwrócił moją uwagę. Wydawał się być odzwierciedleniem księcia z bajki. Odważny, uczciwy, romantyczny... Niestety nie darzyłam go takimi uczuciami, jakimi on darzył mnie i wkrótce nasze drogi się rozeszły.

Westchnęła cicho, podnosząc się i strzepując pyłki z sukienki. Zerknęła na swojego słuchacza i widząc, że zamierza coś powiedzieć, uciszyła go ruchem ręki. To nic – powiedziała bezgłośnie, ponownie łapiąc go łagodnie za nadgarstek i prowadząc w zupełnie inną część ogrodu. Tym razem zatrzymali się przy prostujących się dumnie słonecznikach.

– Te kwiaty są tutaj dzięki pewnemu bardzo serdecznemu człowiekowi – pogładziła płatki opuszkami palców, przyglądając im się z rozmarzeniem. – Ciepły, zawsze pozytywnie nastawiony do świata, najbardziej życzliwy i lojalny człowiek, jakiego było dane mi poznać.

Aubrey poczuł nagłe ukłucie zazdrości w piersi. Odchrząknął, przekręcając lekko głowę, nie mogąc znieść widoku uczuć, jakie wywoływało u niej wspomnienie o tym facecie.

– Co się z nim stało? – wrócił wzrokiem na wpatrzoną w kwiaty kobietę, przyglądając jej się wyczekująco, prawie jakby była mu coś winna.

– Nie mógł poradzić sobie z natłokiem myśli i uczuć – odparła smutno, nie dodając nic więcej.

Młodzieniec zaciął się na chwilę. Przez głowę przebiegło mu milion myśli o losie, jaki mógł spotkać kochającego życie człowieka, zapewne w sile wieku, jednak coś w głosie, jakim to wypowiedziała, sprawiał, że mógł skupiać się tylko na jednym. On nie żył.

– Czy on... – zająknął się, przetykając ślinę, bojąc się, że to pytanie wytrąci ją ze spokoju jakim emanowała, w jakiś sposób zrazi ją do niego, być może już na zawsze.

Ona jednak tylko uśmiechnęła się smutno, przenosząc na niego spojrzenie.

– Lepiej chodźmy do środka – powiedziała, jak gdyby poprzedni temat w ogóle nie miał miejsca. – Zaczyna padać.

Rzeczywiście, dotychczas skąpane w nieskazitelным błękitnie niebo, zaczęły spowijać ołowiane chmury, a z nich spadać na ziemię pierwsze krople. Drobin wody naznaczały wzniesioną twarz Cadence łagodnymi kaskadami, czyniąc niemożliwe do rozpoznania, czy kobieta płacze. Młodzieniec poczuł, jak zapada się w sobie. Nie stała już przed nim ta sama roześmiana kobieta bez przeszłości, którą pokochał, a jej cień, ciągnięty w mrok przez szpony wspomnień.

– Ja... już pójdę – rzekł cicho, czując, że kobieta potrzebuje teraz samotności.

– Do zobaczenia – skinęła głową, odprowadzając go wzrokiem. Aubrey nie wiedział, jak długo jeszcze samotnie stała w deszczu.

Tego dnia spotkali się w kwiaciarni.

– Aubrey? – pomachała do niego z drugiego końca sklepu, torując sobie drogę wśród artykułów ogrodniczych ułożonych schludnie na posadzce. – Nie spodziewałam się tu ciebie zobaczyć. Myślałam, że nie znasz się na kwiatach?

Ale ja spodziewałem się zobaczyć tu ciebie, przemknęło mu przez myśl, ale stłumił komentarz, uśmiechając się jedynie nieporadnie. Kobieta życzliwie odwzajemniła uśmiech. Oczywiście, że wiedział, iż w końcu ją tu spotka – musiała tu co jakiś czas zaglądać, a on nie bez powodu przesiadywał większość czasu wolnego w miejscach, gdzie mógł się na nią natknąć.

– Zainspirowałaś mnie – wycharczał zachrypłym głosem, w duchu modląc się, aby tego nie zauważyła. Jeszcze pomyśli, że jest palaczem i zupełnie zepsuje sobie o nim opinię.

– Masz dziwny głos – jej ton był tak zmartwiony, że pomimo za troskania malującego się na jej twarzy, szatyn poczuł ciepło na sercu. Martwiła się o niego?

– To nic, naprawdę... – zaczął nonszalancko, jednak przerwał mu niespodziewany atak kaszlu.

Cadence położyła mu rękę na ramieniu, gdy ten złożył się w pół, krztusząc się żałośnie. Kilka osób w sklepie zwróciło ku nim spojrzenia, jednak żadne z nich nie zwracało na to uwagi, zupełnie pochłonięte drugim.

– Powinieneś zobaczyć się z lekarzem – stwierdziła kategorycznie, gdy atak nieco ustąpił. – Natychmiast.

Młodzieniec zacisnął usta w wąską linię, przyglądając jej się w milczeniu. Chciał coś odpowiedzieć, jednak usta zapychały mu drobne, wilgotne płatki, które chyba jedynie cudem powstrzymał od wystrzelenia mu z ust.

– Nie trzeba – wymamrotał niezrozumiale, kierując się pospiesznie ku wyjściu. – Nic mi nie jest.

Gdy był już przy wyjściu, zatrzymała go, kładąc mu dłoń na plecach. Obejrzał się z nutą paniki w oczach, nie chcąc, aby oglądała go w tym stanie, jednak czarnowłosa uśmiechnęła się tylko łagodnie.

– Przyjdź do mnie jutro wieczorem – powiedziała cicho, przyglądając mu się z iskierkami w oczach. – Może uda mi się coś na to poradzić.

Patrzył na nią przez chwilę z konsternacją, nim wyrwał się i wypadł z kwaciarni. Gdy obejrzał się za siebie, dostrzegł, że jeszcze przez chwilę obserwuje go przez szybę, odprowadzając go spokojnym, wyrozumiałym spojrzeniem.

Był późny wieczór, gdy przyciskając zaciśniętą pięść do piersi kierował się ku znajomemu domostwu na obrzeżach wioski. Zataczał się, ledwo utrzymując się na nogach, a przed oczami mu ciemniało. Z daleka zapewne wyglądał jak zagubiony na nocnej drodze pijaczyna, jednak z bliska przypominać musiał raczej histerycznego astmatyka, z trudem chwytającego płytkie, rozpaczliwe oddechy. Usta i nozdrza napełniał mu charakterystyczny, nachalny smak i zapach kwiatów, których płatki utrwalone śliną oblepiały mu usta i brodę. Dopadł do furtki, opierając się na niej z impetem i przez chwilę szarpał chaotycznie, nim ustąpiła. Wtoczył się na

otoczoną kwiatami ścieżkę, z każdym kolejnym, chwiejnym krokiem, starając się dosięgnąć drzwi. Zapukał słabo, opadając na łagodny schodek przy wejściu, dysząc ciężko, walcząc o ostatnie oddechy.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Była ubrana w ciemną bluzkę i wzorzyste spodnie, spokojna i opanowana, jakby od dawna czekała na jego przybycie. Zbyt zajęty batalią z własnymi płucami, nie uniósł wzroku, pozwolił się podnieść i wprowadzić do środka, gdy poczuł jej ciepłą dłoń, biorącą go za ramię i ciągnącą ku sobie. Nogi się pod nim ugiwały co krok, jednak nie pozwalał sobie upaść, nie chcąc obciążać kobiety. Gdy myślał, że już nie wytrzyma długo pionowej pozycji, poczuł pod sobą miękki materiał koca. Usiadł, niemal natychmiast opadając głową na poduszki, patrząc spod przymrużonych powiek, jak świat wiruje nad nim.

– Cadence? – szepnął, obracając lekko głowę, aby na nią spojrzeć.
– Będziesz o mnie pamiętać?

Czarnowłosa popatrzyła na niego w ciszy, a smutek w jej oczach mieszał się z dziwnym, niepokojącym błyskiem, zwiastującym coś, co miała wkrótce zrobić, lecz nie zdradzającym, co to dokładnie miało być.

– Cadence? Cadence, proszę – mamrotał płaczliwym, histerycznym tonem, czując jak ulatują z niego ostatnie życiodajne resztki tlenu, a łyzy torują sobie drogę wzdłuż jego twarzy.

– Proszę, nie zapomnij o mnie...

Kobieta odczekała chwilę, aż oddech ustał, nim wzięła do ręki lśniący w bladym blasku lampy nóż. Rozpięła koszulę martwego mężczyzny, przykładając ostrze do górnej części jego odsłoniętej klatki piersiowej i robiąc głębokie nacięcie. Musiała uwolnić kwiaty.

Był słoneczny poranek, gdy ładna, czarnowłosa kobieta spoglądała z nieodgadnioną miną na artykuł, dotyczący zaginięcia młodego mężczyzny. Złożyła gazetę, przenosząc wzrok na świeżo rozkopaną ziemię u jej stóp, z której na niebiesko kwitły niezapominajki. Uśmiechnęła się ciepło, przez chwilę wpatrując się w błękitne płatki, po czym w milczeniu wróciła do domu.

**Natalia Hetman (Kawka), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące Dwujęzyczne
w Gliwicach**

Przytul

Coś bardzo niedobrego działo się z ciałem Osirika.

Jako chłopiec czerpiący bezwstydnie z licznych przywilejów, nadanych mu przez młodzieńczy jego stan bez faktycznej świadomości ich istnienia, nigdy nie zwracał uwagi na takie sprawy, sprawdzając czas poświęcany swojej tak zwanej cielesnej powłoce do koniecznego minimum.

W każdej z małych ludzkich społeczności rozproszonych po całym globie niczym kawałki rozbitej bombki choinkowej – czasem zbyt małych, by je zauważyć – jak na przykład sąsiedztwo, czy też kilka klas z tego samego rocznika, jest przynajmniej jeden chłopiec różniący się od reszty. Jeden zupełnie niezainteresowany ani piłką nożną, ani jakąkolwiek inną formą powszechnej aktywności grupowej, będącej zazwyczaj przechwalaniem się pierwszymi miłosnymi podbojami albo handlem sprośnymi żartami. Z włosami wypranymi z koloru, dłuższymi niż wymaga tego przyzwyczajenie, zawsze wygląda tak samo, a wszystko to przez jakąś bluzę z kapturem, którą ma na sobie dzień w dzień, nie robiąc wyjątku nawet w święta – śmierzdzącą i bezbarwną, lecz wygodną zbroję. I buty. Nie sposób przytoczyć takiego chłopca bez wspomnienia o samotnej parze posiadanych przez niego butów; zwykłych tramppek, konwersów, butów do biegania, wedle chłopięcej preferen-

cji, przywdzianych, by funkcjonować jako integralna część ciała. W poszczególnych przypadkach całkiem prawdopodobne wydawałoby się, iż owemu chłopcu przeznaczone zostały, by urodził się w nich i z nimi na stopach umarł. Spodnie takiego chłopca natomiast, nie posiadają żadnych szczególnych właściwości, toteż nie ma potrzeby ich opisywać.

Prezentując się w ten sposób, chłopiec zostaje wypuszczony w dzicz świata zewnętrznego, po czym przeobraża się w mistrza kamuflażu. Rzadko się go widzi, a jeszcze rzadziej słyszy. Możliwe, że utknął na wieczność z nosem wciśniętym w książkę, albo jego uszy zalepione zostały parą tanich słuchawek. Może on również kontemplować pojęcia znane wyłącznie jemu. Niepodobna odgadnąć czy jest to regularność wzorku znaczącego wnętrzości ceramicznej wazy, rytm migającej żarówki, idea uduszenia swojego stryja paskiem do spodni, czy jest to po prostu pustka objająca się o jego czaszkę niczym świeżo wybita moneta; pierwsza w skarbonce. Umysł wymieciony na czysto, czekający, by zatłoczyć się w przeszłości.

Chłopiec generalnie wydaje się dryfować we własnej przestrzeni, przestrzeni własnej świadomości, podczas gdy faktycznie to nie nieprzerwanie, tonie we własnej marności. Zaprzysiężniając się z ciszą. Pokazując oczy tylko nielicznym. Nieczęsto się śmiejąc, nierzadko uśmiechając.

Cóż, Osirik był takim właśnie chłopcem. I miał problem. Jego śmierdząca, lecz wygodna osoba została zaburzona. Zazwyczaj działo się to w tłumie; to uczucie, to swędzące łaknienie zakradało się we wszystkie zakamarki ciała, o którym tak często zapomniał. W autobusie. W klasie. W kościele. Pod bluzą, zwisającą bezwładnie z pleców czyniąc z kręgosłupa sępi garb, klatka piersiowa chłopca przeistaczała się w otwartą, odrętwiałą nieczuleniem ranę, a ogromna, niewidzialna łyżka nagle zaczynała skrobać o jej brzegi. Mozolnie, lecz nieustępliwie. Bezboleśnie, nieżnośnie. Nie miał problemu z utrzymaniem niewzruszonej miny, Osirik był chłopcem zdolnym, ale nie lubił gdy się mu przypominało, że posiada ciało, nie wspominając już o jego potrzebach.

Na domiar niewygody zaistniałej sytuacji, a czynnik ten czynił ją sto razy gorszą, w odpowiedzi na ataki niewidzialnej łyżki Osirik doświadczał nieodpartych potrzeb kontaktu fizycznego. Odnosił wrażenie – nie – jego ciało odnosiło, iż wyłącznie nacisk czyjejs klatki piersiowej na jego własną, rozwiąże problem.

Może było to niepoważne i upokarzające, jednak po jakimś czasie, siłą rzeczy, chłopiec zaczął przyglądać się powłokom cieleśnym ludzi poza jego osobistą tonią. Jego mgliste oczy należały do ciała czy się mu to podobało, czy nie.

Na przykład; był pewien człowiek u schyłku żywota, cały zielono-niebieski, z kaszkietem w kratkę, zmarszczonym nosem i ustami uśmiechającymi się w dół. Miał na sobie polar, który wydawał się być miły w dotyku, jednak jego żebra wyciągały się do przodu, jakby sięgały wolności. Poza tym skórę na jego dłoniach pokrywały liczne żółtawe zrogowacenia.

Nie nadawał się.

Był też dzieciak, młodszy od Osirika przypuszczalnie o połowę życia, o idealnie okrągłych oczach i przednich zębach długich jak u królika, gdy szczerzył się do rówieśników. Był ubrany w odblaskową kurtkę przeciwdeszczową i parę lilipucich kaloszy oraz równie małe, lepkie rączki, które wydawały się chwytać każdy przedmiot w ich zasięgu. Dzieciak wiercił się nieustannie, stąpając pewnie po nierównym gruncie.

Nie nadawał się.

Była starsza pani; jasna twarz skomponowana z odłamków szkła i pięknie zachowane dłonie z trzema złotymi pierścionkami, i paznokcie zdobione złotym lakierem, jako swoista wisienka na torcie. Jej skóra była cienka i pomarszczona, owszem, ale nie jak u starszego pana w kaszkiecie. Była pomarszczona jak najwyższej jakości materiał po praniu, kiedy wyschnie niewyprasowany. Jednak ona chowała się za swoją torebką i zasłaniała swoje intencje welonem srebrnych włosów.

Nie nadawała się.

Była dziewczyna. Znał ją z podstawówki. Cała jej osoba wydłużała się znacznie odkąd ostatnio miał z nią styczność; jej nogi, jej

włosy, jej palce, jej rzęsy. Jej szerokość natomiast nie zmieniła się wcale. Było to widać nawet przez sztywny materiał jej długiej, pudroworóżowej kurtki zwieńczonej futerkiem. Szczupła, pudroworóżowa dłoń obejmowała sztywno smartfona. Dziewczyna odgarnęła swoje długie, długie blond włosy, choć nie było to potrzebne, i uśmiechnęła się wymownie w stronę kamerki. Osirikowi przeszło przez myśl, żeby wybrać właśnie ją, ale ostatecznie doszedł do wniosku, iż jej perfum mogłby się okazać prowokatorem kichnięć, a futerko najprawdopodobniej okazałoby się zbyt łaskoczące.

Nie nadawała się.

Był robotnik, z buciorami zbrudzonymi zaschniętym błotem i ciężkimi jeansami na krzywych nogach, do złudzenia przypominającymi otwarty i zamknięty nawias. Osirik nie śmiał spojrzeć mu w twarz, ale z łatwością zauważył potężny brzuch mężczyzny, zwisający z jego torsu niczym werbel. Nikt nie chciałby obić się o niego, wywołując przy tym niepotrzebną agresję.

Nie nadawał się.

Była młoda kobieta, której ciało składało się wyłącznie z łagodnych łuków, żadnych ostrych krawędzi. Bez wątplenia była osobliwością w swojej przylegającej, czarnej sukience, w czarnych obcasach, wyglądając tak łagodnie, jak tylko kobieta potrafi, z falami złotych włosów spływającymi po jej ramionach. Przeciętny obserwator miałby każdy powód, by nazwać ją grubą, ale każdy kilogram trwał uczepony jej z taką gracją, że takie określenie zdawało się w tym przypadku błędne, a nawet uwłaczające. Osirik mógł na niej poprzestać, jednak pojawiła się przeszkoda. Talię kobiety ścisnął szeroki, czarny pas. Prawdę mówiąc, ścisnął ją tak mocno, iż jakikolwiek dodatkowy nacisk wystarczyłby, żeby spowodować wewnętrzny krwotok.

Nie nadawała się.

Był młodzieniec o twarzy starca. Reszta jego ciała była w porządku, smukła i pokryta paskami w formie wzorku na koszulce z długimi rękawami, czy też faktury sztruksowych spodni, ale to, co zaczynało się powyżej dekoltu – to zupełnie inna historia. Jego orzechowe włosy były dłuższe niż pudroworóżowej znajomej

Osirika, i zaplecione w warkocz. Oczy spoglądały płochliwie zza szklanych tarcz jego okularów, skóra była prawie przezroczysta, a na domiar wszystkiego zostawała jeszcze broda. Ta broda to było coś. Prawdziwy włochaty bór sięgający młodzieńcowi do pępka. Chłopiec natomiast miał dość drapania i swędzenia.

Nie nadawał się.

Była gospodyni w średnim wieku, z kwiatami rozsianymi po błękitnej sukience, plastikowymi siatkami w obu pięściach i śliwkowymi włosami upiętymi na czubku głowy, lokami dyndającymi przy jej uszach jak garść świeżo ściętych winogron. Jej skóra wyglądała na miękką i ciepłą, pachniała wszystkimi posiłkami, które przyrządziła rodzinie na przestrzeni lat... Ale jej piersi były wielkie. Ubliżały nawet rozmiarom nieprzyzwoicie ponadprzeciętnym, co zmartwiło Osirika. Znalazłoby się tam miejsce, gdzie mógłby złożyć głowę, jednak jego klatka piersiowa nadal pozostawała bez oparcia.

Nie nadawała się.

Był mężczyzna wyglądający jak świeżo upieczony dziadek, otoczony aurą pewnego rodzaju dobroci. Rysy dojrzałe nabytą wiedzą, czarny strój, zachowane pozory. To jest to, pomyślał chłopiec, ale... Zawsze pojawiała się jakieś „ale”. Świeżo upieczony dziadek był posiadaczem torsu iście przytłaczających rozmiarów; obciążał go niczym kolosalny balon napęczniony wodą. Przywodziło to na myśl wyłącznie strach przed nagłym pęknięciem i wszechobecną wilgocią.

Nie nadawał się.

Byli ludzie najróżniejszych rodzajów. Jednak Osirik błąkał się w samotności, z łyżką trącącają jego wnętrza. Ściskając rękawy bluzy, jakby miał zamiar wydusić z nich ostatnie tchnienie, podążając główną ulicą w uparciu godnym maniaka, czując pustkę, szukając. Dlaczego? Dlaczego to wszystko miałoby zacząć go obchodzić właśnie teraz? Dlaczego nagle wszystko zdawało się takie gorzkie? Chłopiec był przecież w pełni usatysfakcjonowany swoim śmierzącym, lecz wygodnym życiem. Co było nie tak? Co się zmieniło?

Może musiał sobie to przemyśleć, poukładać te uczucia we właściwej kolejności, sklasyfikować je i pozbyć się tych niepotrzebnych. Dla takich operacji potrzeba przestrzeni. Prywatnej, cichej przestrzeni. Domu. Ale Osirik nie mógł, nie potrafiłby wnieść tej toksyczności, tej plagi do swojego domu, dom był miejscem świętym. Szedł dalej.

Jego przystanek, jego ulubiona kryjówka była zajęta. Para nastolatków, niewiele starszych od Osirika, wypełniła go swoją wonią. Starszy chłopak siedział, starsza dziewczyna stała między jego udami tak, by ich klatki piersiowe znajdowały się na tym samym poziomie, stapiając się w jedną. Wielokończynowa masa zlepiona poliestrem, gumowymi podeszwami, dresami, włosami, niesmaczną naiwnością. Osirik zachował słuszny dystans i okrążył przystanek, zaciskając szczelnie nozdrza kciukiem i palcem wskazującym.

W miarę jak zbliżał się do miejskiego rynku, gdzie nogi zdawały się prowadzić resztę ciała, chodniki stawały się coraz bardziej tłoczne. Pokażne koleжки wpełzły mozolnie do sklepowych wnętrz, niczym stonogi ludzkich rozmiarów. Broda – kark – broda – plecy – klatka – piersiowa – broda – kark – broda i tak dalej. Gdyby Osirik był entomofagiem, mógłby się skusić na dołączenie do jednej z tych gromadek. Ale Osirik nie był entomofagiem. Chłopiec sam był konsumowany, idąc naprzód. Mozolnie, lecz nieustępliwie. Skrob, skrob, drap, echo?

Ktoś uśmiechał się przed nim. Ktoś kompletny, pobłogosławiony, rozpoznał od razu. Była to mała dziewczynka z kucykami po obu stronach małej główki, co nadawało jej twarzy wygląd dziewczęcych rozmiarów cukierka. Jej klatka piersiowa przyciskała się do drugiej, należącej do osoby, która przypuszczalnie była jej rodzicem. Dwie małe łydki dyndały przy talii rodzica. Osirik prawie czuł to ciepło, ten spokój, to życie. Odwrócił głowę z pewną dozą odrazy i przyspieszył kroku.

Rynek otwarł się przed nim, jak skóra na jego żebrach otwierała się przed niewidzialną łyżką. Na środku rynku znajdowała się fontanna z polerowanego marmuru, obmywająca zimnym stru-

mieniem nagie ciało zrodzonej z gwiazd bogini. Woda sączyła się z naczynia spoczywającego na jej głowie. Tutaj, pomyślało ciało Osirika. Zatrzymał się u skraju fontanny i z marszu upadł na kolana, kompulsywnie się przy tym trzęsąc. Obejmując otwartą ranę własnymi rękami, chłopiec usiłował złapać oddech. Łzy obmywały jego policzki zimnymi strumieniami. Delikatnie. Jedna po drugiej. Aż zasnuły jego oczy na dobre. Ktoś, ktokolwiek, proszę! Zanim mnie wypatroszy! Zanim mnie pożre! Zanim mnie opróżni. Wstał; w swojej brzydkiej bluzie, włosami w nieładzie, zgarbiony, z oczami zamkniętymi na wieczność i rozłożył ręce tak szeroko, jak tylko pozwalała mu na to rana, wyciągając palce, drżąc.

Chłopiec, któremu na imię było Osirik czekał na swoim miejscu, w bezruchu stłamszonej desperacji, a bogini nieba udzielała mu swojej opatrności, w nocy i za dnia. Komuś wydawać mogłoby się zabawne, iż wobec tak licznych obserwacji chłopca, ciągłego kwestionowania czy ktoś nadaje się do przytulenia, czy też nie, ani razu nie zastanowił się, jak będą się do tego nadawać jego własne objęcia. Wielu natknęło się na żalosnego chłopca o otwartych ramionach i poczuło pokusę, by poddać się jego niememu zaproszeniu, lecz tylko ci, którzy przybłąkali się za blisko przez przypadek czy odważyli się zbliżyć z własnej woli, poznali na własnej skórze, że bolały... choć nie na długo.

Emilia Gotfryd (Moonlight), kl. 3
II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle

Czerwona wstążka

Rozalia opuściła autobus niczym burza. Silny wiatr mieszał się z jej obawami, których potwierdzenia nie dane było jej poznać. Jeszcze nie. Kurczowo trzymała telefon w dłoni, pędząc chodnikiem i wymijając ludzi, modląc się w duchu, żeby nikogo nie potrącić. Pokonywała zakręt za zakrętem, dalej nie zwalniała. Była coraz bliżej celu, ale nie była pewna, czy przynosi jej to ulgę, czy

tylko potęguje jej strach. Zatrzymała się jedynie na chwilę, aby przytrzymać starszej pani drzwi od małej i raczej obskurnej kamienicy. Jak najszybciej wbiegła po schodach na drugie piętro. Gdy zobaczyła podrapane pomarańczowe drzwi, miała wrażenie jakby jej serce spadło co najmniej do poziomu żołądka i odbiło się kilka razy od dna.

Lecz to nie do nich się skierowała. Obróciła głowę w stronę mahoniowych drzwi – które były w nieco lepszym stanie – i jak najszybciej podbiegła by zapukać, choć zostało jej to uniemożliwione przez osobę wewnątrz. Drzwi otworzyły się i dwie pary oczu w końcu się spotkały.

– Już myślałem, że nigdy się nie pojawisz – powiedział staruszek.

– Biegłam jak najszybciej mogłam, co z nim? – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

– Nie wiem, usłyszałem trzask szkła, a potem jakby coś tak gruchnęło, nie wchodziłem do środka.

– Ale... ale... umm... – Rozalia próbowała ułożyć jakieś sensowne zdanie, ale brak powietrza po męczącym biegu skutecznie jej to uniemożliwiał.

– Odetchnij głęboko dziecko, ostatnie czego nam tu wszystkim potrzeba to kolejna zbiórka na wieniec – prychnął pół żartem, pół serio.

– Nie pomagasz, a to nie jest najlepszy moment na nasze przekomarzanki, Stefan.

– To na co czekasz, sprawdź co to było, to w końcu twój ojciec.

Twój ojciec. Te dwa słowa zadzwoniły w jej głowie z ogromną siłą. Dopiero teraz wszystko powoli do niej dochodziło, jej czarne scenariusze mogły zaraz znaleźć odzwierciedlenie w rzeczywistości. W tej sytuacji nie mogłoby być to coś pozytywnego. Nigdy w jego przypadku.

Powolnym krokiem odwróciła się w stronę tych nieszczęsnych podrapanych drzwi, które za swoją warstwą kryły część jej przeszłości, która niestety ciągle trwała. Podeszła i chwyciła za klamkę – wiedziała, że nie może dalej przeciągać tej chwili. Otworzyła

drzwi, zaskakując siebie tym gwałtownym ruchem ze swojej strony, jak i widokiem, który zastała.

Nie była w stanie się ruszyć. Ten widok przewyższył wszystkie jej obawy razem wzięte. Całe jej dzieciństwo, a potem i dorosłe życie, przewinęło się jej przed oczami. Jedynym co usłyszała przez panujący szum w jej głowie, był głos Stefana, który ujrawszy przez ramię dziewczyny, powód jej paraliżu, właśnie rozmawiał z operatorem.

Potem wszystko co się działo wirowało szybko i chaotycznie wokół Rozalii, ale bezpośrednio jeszcze jej nie dotknęło. Ona sama nie była w stanie przetworzyć tego całego szoku. Nie wiedziała, co czuła, czy wszystko z nią w porządku. Nie była w stanie odpowiedzieć na pytania ratowników. Staruszek – z sympatii i współczucia dla dziewczyny – wziął na siebie uciążliwe pytania. Roza była dla niego jak wnuczka i chciał ulżyć jej chociaż w ten sposób.

Widok pełnego czarnego worka wywożonego z zapyziałego mieszkania coś odblokował w drobnej postaci, która opierała się o drzwi sąsiada jej ojca. Nie ma go. Gdy te słowa zadźwięczały w jej głowie, wszystko ją brutalnie uderzyło.

Nogi nagle stały się zbyt słabe, by ją utrzymać chociażby sekundę dłużej. Roza upadła na podłogę. Po raz pierwszy wydała z siebie jakikolwiek odgłos. Był to krzyk bólu, rozpacz i gniewu, którego siła przeraziła i zerwała wszystkich zgromadzonych. Gdy odwrócili się w stronę źródła hałasu, zobaczyli łyzy spływające po policzkach załamanej i kruchej dziewczyny, która nie powinna doświadczyć takiego momentu w swoim życiu. Pękła.

Późniejsze wydarzenia rozegrały się bardzo szybko. Za szybko, by się w nich połapać. Przyjazd mamy Rozy, rozmowy z ratownikami i policją, napomnienie o powinności zorganizowania pogrzebu. Wszystkim zajęła się rodzicielka dziewczyny. Dziewczyny, która z pustym spojrzeniem przyglądała się swoim butom.

Rozalia po prostu tam stała. Myśłami błądziła gdzieś indziej. Łzy przestały niekontrolowanie spływać po jej twarzy. Pozostała pustka, poczucie winy, nieco żalu, gniewu, oraz... ulgi? Nie wie-

działa, jak ma rozumieć ten spokój. Może coś jest z nią nie tak? Może jest tworem pozbawionym większych uczuć? Nie.

Po raz pierwszy w swoim życiu pomyślała, że to już jest koniec. Nie chciała takiego zakończenia, ale nie mogła nie przyznać się do tego, że poczuła się uwolniona od przeszłości, która nagle zerwała ostatnią łączącą je nić.

Nie ma go. Nie musi już każdego dnia przychodzić do tego obokurnego miejsca. Nie musi już omijać wykładów tylko po to, by po telefonie od Stefana przyjeżdżać i oglądać w jak złym stanie tym razem jest jej ojciec. Nie będzie już więcej czuła tego ciężaru. Nikt od niej tego nie wymagał. Nikt oprócz niej samej. To ona zrzuciła ten obowiązek na swoje barki. Nie chciała pozwolić mu upaść. Kurczowo trzymała się tej myśli, że jeszcze może mu pomóc, mimo że on nie przyznawał się ani do swoich problemów, ani do własnej córki.

Od pięciu lat nigdy nie widziała go całkowicie trzeźwego. Od czterech już z nim nie mieszkała. Od trzech była studentką socjologii i bez większych sukcesów próbowała naprawić swojego ojca. Ale nie poddawała się. Mimo strachu – bo był nieprzewidywalny, czasem agresywny – i wcześniejszego odrzucenia przez rodzica, przychodziła do niego codziennie.

Nigdy, gdy pukała do drzwi, nie była pewna, czy tym razem wpuści ją do środka. Były bowiem dni, kiedy był nieco mniej pijany. Pamiętał wtedy swoją furję i jej łzy. W te dni zatrząskiwał drzwi przed jej nosem, a ona zrezygnowana, zmęczona i przede wszystkim zraniona wspomnieniem jego słów, wracała do własnego mieszkania.

Jednak były też takie dni, gdzie jego upojenie przysłaniało świadomość. Wtedy na jej widok rozpromieniał się, wołał: *Róziu! Słońce, nie powinnaś iść sama przez miasto, ktoś mógłby z łatwością porwać tak małą dziewczynkę jak ty.* Zapraszał ją do środka myśląc, że przed nim stoi jego dziesięcioletnia córeczka, która była dla niego całym światem – dopóki nie popadł w uzależnienie.

W te dni powtarzał się zawsze ten sam schemat. Roza wchodziła do jego mieszkania, godziła się na traktowanie jej jak dziecko,

ojciec popijał co chwilę trunki ze swojej ulubionej szklanki, a ona próbowała jakoś z nim porozmawiać, co on zbywał.

Zawsze przed wyjściem Rozalię czekał pewien rytuał. Nie mogła opuścić mieszkania bez warkocza. Ojciec upierał się, że ta fryzura do niej pasuje i powinna ją nosić na co dzień, więc sam ją czesał w ten sposób. Robił to niezdarnie. Ciągłe uciekały mu jakieś pasma, ale nie zmieniało to tego, że po prostu wiedział doskonale jak plecie się warkocze i miał w tym już wprawę. Gdy kończył, zawsze sięgał po czerwoną wstążkę, by zakryć nią gumkę do włosów na zakończeniu warkocza. Nigdy nie pomijał tego etapu, nieważne jak bardzo chwiał się na nogach.

Roza odczuwała zawsze ogromną mieszaninę uczuć. Z jednej strony cieszyła się z tej namiastki czułości rodzica, której bardzo potrzebowała, ale została pozbawiona przez to, kim była. Z drugiej strony czuła się upokorzona.

Nie potrafiła mu pomóc mimo zdobywanej na studiach wiedzy – nie mogła go zrozumieć. Zamiast spróbować innych, może bardziej radykalnych sposobów, ona siedziała na podłodze ze spuszczoną głową, pozwalając na to, by jej pijany ojciec, który – trzeźwy – ją odrzucił, dotykał jej włosów. Czuła się winna, nie знаła powodu jego uzależnienia, więc przyjęła, że to musi być jej wina. Żyła w tym bezpodstawnym poczuciu winy. Chciała się cieszyć z tej chwilowej bliskości, ale nie mogła. Wszystko niszczyła przeszłość i odór alkoholu. Gdy czuła ten zapach, pod jej powiekami zbierały się łzy, chciała od tego wszystkiego uciec. Miała wrażenie, że to wszystko jest bez sensu. Nie powinno jej tu być. Przecież to on ją odrzucił. To on wybrał alkohol. To on wybrał życie bez niej i swojej żony. Wybrał życie oderwane od rzeczywistości. Ona przecież nie miała nad tym kontroli, to nie była jej decyzja.

Szarpana przez emocje, nie mogła poukładać swoich myśli. Kiedy czesał jej włosy, płakała, bo nie była już w stanie powstrzymać buzujących w niej uczuć. Siedząc na brudnej podłodze, błagała go by przestał pić, obiecywała, że wszystko może być takie jak kiedyś. Pragnęła, by postać kochającego ojca z dzieciństwa wróciła do niej. Bez tej ohydnej aury alkoholu. On jednak jedynie słuchał

jej błagań, zawiązując powoli czerwoną wstążkę na warkoczu. Gdy skończył, obracał ją twarzą do siebie, by ich spojrzenia się spotkały. Lecz Roza nie była w stanie utrzymać kontaktu wzrokowego. To za bardzo bolało. Uśmiechał się. Ten jego pijacki uśmiech wywoływał w Rozalii tak wiele sprzecznych uczuć. Chciała płakać, bo wiedziała, że to nie jest prawdziwe. Była świadoma, że gdyby nie ilość promili w jego krwi, wyrzuciłby ją ze swojego życia jeszcze raz.

Czuła się winna, że wykorzystuje jego stan. Sfrustrowana, bo jej działania nie przynoszą skutków i utknęła w martwym punkcie. Kompletnie zrozpaczona, bo nie była akceptowana przez osobę, u której desperacko szukała wsparcia, której po prostu potrzebowała. Ta osoba, razem z szansą na pogodzenie, przepadła. Nie wyleczyła go. Gdzieś w głębi siebie czuła, że nie wygra tej bitwy. Miała jednak nadzieję, że nigdy nie dojdzie do tego, co zostało zapisane jako przyczyna śmierci: *przedawkowanie*.

– Panno Tarus? – głos policjanta wyrwał Rozalię z głębokich przemyśleń.

– Tak, tak. Przepraszam.

– Nic się nie stało – uspokoił ją. – Myślę, że to mogło należeć do Pani.

Policjant wręczył jej foliową torbę. Wewnątrz była tylko czerwona wstążka.

– Nie powinienem tego robić. Pani ojciec trzymał ją w dłoni.

Rozalia była w szoku. Poczwała zbierające się wewnątrz łzy, przez co podziękowała mężczyźnie i jak najszybciej wyszła z budynku, uprzedzając swoją rodzicielkę. Nie poszła na przystanek ani nie wzięła taksówki. Potrzebowała świeżego powietrza.

Ta wstążka obudziła zbyt wiele emocji i wspomnień. Myśleć o niej, a mieć ją w swojej dłoni robi wielką różnicę. Pamiętała, jak za każdym razem przynosiła mu ją z powrotem. Kiedy jej nie wpuszczał do mieszkania, zawiązywała wstążkę na klamce, żeby ją zauważył wychodząc do sklepu.

Wróciła do domu cała przemoczona przez nagły wybuch deszczu, który odzwierciedlał jej samopoczucie. Usiadła w kącie. Otuiliła się kocem i wcisnęła pomiędzy regały książek. Zmieściła się

w małej szczelinie i wypełniła ją od razu gorzkimi łzami. Rozczochrane włosy zasłoniły jej twarz szczelniej niż dłonie, niczym kurtyna. W jej dłoniach, oprócz łez, widoczna była mała czerwona wstążka. Na jej widok ścisnęło się jej gardło.

Nie ma go. Jedyne co po nim zostało trzymała w wilgotnych od płaczu dłoniach. Czerwona wstęga pełna żalu, złości, upokorzenia i... namiastki szczęścia małej dziewczynki z dzieciństwa. Nie tak miało być.

Minęło kilka dni. Rozalia stała, razem ze zgromadzonymi przed grobem ojca, już nieco spokojniejsza. Wiedziała, że nigdy nie pozna prawdziwej przyczyny jego odejścia. To było więcej, niż zwykle przedawkowanie. To był ostatni etap degradacji człowieka zatrutego i zniszczonego własnymi decyzjami. Nikt już się nie dowie, co było jego trucizną. Ale świadomość, że jako jedyna o niego walczyła do ostatniej chwili, nawet kiedy on sam już nie chciał, sprawiała, że nie czuła się tak winna jak wcześniej. Przecież nie mogła tego zmienić, to nie ona decydowała o jego życiu.

Więc stała teraz przed grobem swojej przeszłości, do której nabierała szacunku, bo mimo całego trudu i bólu, to właśnie ona ją ukształtowała. Sprawiała, że widzi swoją siłę. Paradoksalnie zawdzięcza to komuś, kto ją odrzucił, bo kochała inaczej. Czuła się teraz wolna, by spoglądać ufnie w przyszłość, której istnienie znowu nabrało sensu.

